

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 18 (1466) ROK XXIX

3 MAJA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

- Cienie minionego świata
- Wyrok na Świnoujście jest prawomocny
- Taksówka pełna reggae
- Taniec w tunelu

1.

Wolne kroki na marmurowej posadzce w czarno-białe kwadraty Ciche poskrzypywanie butów. Dziś buty nie skrzypią. Ten ktoś ma siwe włosy albo jest łysy, w każdym razie jest stary. Sześćdziesiąt ile? Siedemdziesiąt? Lubie ten odgłos, to zwolnione życie. Powolne kroki znamienną refleksję. Na ulicy zwracam uwagę na stukot damskich obcasów, na ogół szybki, ulotny, a także na ów dystansujący się od pośpiechu skrzyp skórzanych butów, o których z góry wiem, że mają o połowę lat mniej od ich właściciela, co w obu przypadkach jest równoważne.

2.

Zatrzymał się. Tam, prawie pośrodku hallu, postawiono składany stolik. Na blacie leży krótkowarty arkusz formatu A-4 oraz tani długopis. Arkusz upstrzony jest prawie setką podpisów. — Rozmaite charakterystyki pisma — kalliograficzne posiadające jakiś styl, zdradzające godziny mozolnych treningów, archaiczne już, a także pozbawione piętna minionych czasów, eklektyczne, niepewne postrzeżenie. Jeden podpis ledwo się zmieścił na szerokości

kartki. Dowiedziałem się, że należy do gościa ze Szwecji. Ktoś odszukał jego adres, wyszperał go z tysięcy innych obco brzmiących nazw z przyklejonymi dwoma polskimi słowami.

Dyskretny urok Virtuti Militari

WŁADYSŁAW MALKA

wami — imieniem i nazwiskiem, wysłał zaproszenie Uczucie podobne do tego, które towarzyszy wrzucaniu kamienia do bardzo głębokiej studni. Czy ciemna czelusia odczuwa się przytłumionym, dalekim odgłosem? Czy nie będzie zadnego dźwięku? Niczego? Wielu nie odczuwało się. Może to upływ czasu, oddalający, destrukcyjny, może coś innego, dawna uraza, zakonserwowana, termolityczna, paraliżująca nagły porwy serca. Może kres wszystkiego, całkowita pustka. Nagro-

bek w Sheffield. Podpis, który zajął całą szerokość arkusza, trudny do odszyfrowania, zrobiony był dygoczącą, roztrzęsioną ręką. Można ulec pozorom, jej właściciel nie miał objawów

parkinsonizmu występujących w podeszłym wieku. To piętno wzruszenia.

3.

Nie pomyliłem się. W drzwiach pojawia się wysoki, masywnie zbudowany mężczyzna. Siwe, przeczyszczone włosy, gładko przylegające do głowy, twarz o rysach grubych, nieco obwisłe policzki pokryte prze-krwionymi żyłkami. Garnitur szary, biała koszula, przekrzywiony krawat. Szuka wzrokiem

jakiegoś wolnego krzesła. Znajduje je bez trudu, mimo że sala jest prawie zapelniona. Blisko sto osób, w większości w wieku podeszłym. Gdzieniegdzie ktoś zdecydowanie młodszy.

4.

Na ścianie, na wprost siedzących na krzesłach ludzi, wisi portret mężczyzny w wojskowym mundurze z dystynkcjami majora. Portret jest pokazany rozmiarów. Być może takie wrażenie sprawia jego usytuowanie, centralne, przyciągające wzrok. Major spogląda na salę z sympatycznym uśmiechem. W palcach prawej dłoni trzyma zapalony papierosa. Na jego lewej piersi spoczywa Krzyż Niepodległości, obok zaś srebrne Virtuti Militari. W okolicy odległości od portretu także pod ścianą stoi makieta żołnierza: wojskowy płaszcz opięty skórzanym pasem, kabura z pistoletem, oficerki z przypiętymi ostrogami, bryczesy czapka polowa. Tuż pod portretem leży siodło kawalerskie z szablą zakniętą za tybinke. Człowiek na portrecie, to major Henryk Dobrzański.



Foto: Grzegorz Gałasiński

Linia

Rozmowa z profesorem ZDZISŁAWEM GRZELAKIEM, dyrektorem Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych Uniwersytetu Łódzkiego, członkiem KC PZPR.

— Jesteśmy już w dość zaawansowanym okresie kampanii przed X Zjazdem PZPR. Wybrano delegatów na Zjazd w dużych organizacjach partyjnych, odbyły się konferencje zakładowe, a także dzielnicowe i miejskie lub jeszcze się odbywają. Trwają przygotowania do konferencji wojewódzkich. Powstała zatem możliwość zrobienia pewnych porównań. Zdać sobie doskonale sprawę z trudności dokonywania takich porównań, ponieważ jednak w różnych grupach społecznych takich porównań dokonuje się, nie możemy zatem przejść wobec nich obojętnie. Stąd moje pytanie: jakie podobieństwa i jakie różnice występowały w okresie

przygotowania do IX i występowania w okresie przygotowania do X Zjazdu PZPR?

— Różnice są zasadnicze i to zarówno na płaszczyźnie politycznej, jak i społeczno-gospodarczej. Są one oczywiście i łatwo dostrzegalne, ale mimo to warto o nich parę słów powiedzieć. Przygotowania i sam IX Zjazd odbywały się w atmosferze pełnej napięcia politycznego, kontrowersji, sprzeczności. Była to atmosfera otwartego kryzysu politycznego, ostrej walki o socjalizm. Był to też okres pustych półek, braku towarów, ogromnych trudności aprowizacyjnych, ciągłych strajków, rozpadających się więzi produkcyjnych, kooperacyjnych.

Po pięciu latach, jakie minęły od tamtego czasu, mamy sytuację zupełnie inną. Sytuacja polityczna jest w zasadzie ustabilizowana. Podkreślam: w zasadzie, gdyż występują jeszcze różne napięcia, istnieją różne przejawy nieprzewidywanego do końca kryzysu. Ale — generalnie biorąc — w okresie od IX Zjazdu PZPR nastąpiło opanowanie sytuacji politycznej i gospodarczej.

— Chociaż nadal występują różne ujemne zjawiska.

— Są takie problemy i zjawiska i tego nie ukrywamy. Na przykład poza nurtem pracy na rzecz kraju, na rzecz socjalizmu pozostają członkowie niektórych środowisk inte-

lektualnych. W wyższych uczelniach jest sytuacja nie taka, jaką chcielibyśmy mieć. Na uboczu pozostaje część młodzieży. Słabość w swojej pracy wykazują organizacje młodzieżowe.

— Jak można ocenić sytuację w partii?

— Nie można jej określić jako dobrą. Występują jeszcze oznaki słabej kondycji wielu organizacji podstawowych. Również i w pracy instancji partyjnych różnego szczebla można zaobserwować okresowe słabości. Ale tej sytuacji — jakkolwiek ciągle jeszcze nie-

Władysław Strzelecki

Codziennosc

Zbieram w sękatę proste wiersze
Myśl dojrzałą i pieszczę w sercu.
Wznoszę, powinność pełniąc pierwszą,
Przeciw mordercom.

Chciałbym dzisiejszy trud i przyszłość
Zwolnić od trucizn, intryg, wojen.
Ludzie pragną po wiekach zniszczeń
Czasu pokoju.

Słońcem na ziemi w ciężkich latach
Ustanawia go moc walczących.
Światłem we wszystkich częściach świata,
Radością twórcom.

Szczęściem jest czynić szczęście innym
W każdym działaniu, w każdym słowie.
Ulepszaj życie coraz czynniej
Zwycięski człowiek.

Wśród trosk i zmagania z każdym rokiem
Jednoczy wszystkich biały gołąb.
Jaśnieje światu dzień wysoki
Masową szkołą.

Wiary w człowieka i miłości
Ku ludziom nijak nie wypowiem.
Kładę, jak umiem, myśl najprościej —
Cegłą w budowę.

1951

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113,
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Doroszyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałąnski.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błazewski,
Krzysztof
Drzewiecki, Bohdan
Gadomski, Witold
Kasperkiewicz, J. Stanisław
Knypl, Włodzimierz
Krzemiński, Alfred
Lutrzykowski, Władysław
Malka, Marek Mamos,
Zenon J. Michalski,
Jerzy Panasiewicz, Karol
J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch”
— Książka — Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady
Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch”
— Książka — Ruch” Łódź, ul. Armii
Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla
instytucji i zakładów pracy: —
zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— instytucji i zakładów pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” opłacają prenumeratę
w urzędach pocztowych i u dorę-
czyteli. 2. dla indywidualnych
prenumeratorów osoby fizyczne
zamieszkałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” opłacają prenumeratę
w urzędach pocztowych i u dorę-
czyteli. 3. osoby fizyczne
zamieszkałe w miastach —
siedzibach Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzędach
pocztowych nadawców od-
dawczych właściwych dla miej-
sca zamieszkania prenumerato-
ra. Wpłaty dokonuje się używając
blankietu wpłaty na rachunek
bankowy miejscowego
Oddziału RSW „Prasa — Książka —
Ruch” 3. Prenumerata z zaleceniem
wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa —
Książka — Ruch” Centrala Kol-
portażu Prasy i Wydawnictw
ul. Towarowa 28 00 958 War-
szawa konto NBP XV Oddział
w Warszawie nr 1153 201045.
— 139 11 Prenumerata z zaleceniem
wysyłki za granicę pocztą
zwykłą jest droższa od prenume-
raty krajowej o 50 proc. dla
zleceniodawców indywidualnych
i o 100 proc. dla zleceniodawców
instytucji i zakładów pracy. Ter-
miny przyjmowania prenumera-
ty na kraj i za granicę — do
dnia 10 listopada na I kwartał
i półrocze roku następnego oraz
cały rok następny — do dnia
1 każdego miesiąca — poprze-
dzającego okres prenumeraty
roku bieżącego.

Zam. 1281. B-2.

NA WŁASNY RACHUNEK

Święto klasy, święto narodu

Wyobrażam sobie, że uczciwego, wykonującego solidnie swoją
pracę robotnika, musi ogarniać zafascynowanie, kiedy się schlebia
klasie robotniczej, idealizując ją jako całość, jakby ją już nową
ustroj automatycznie „za zjadaczy chleba w aniołów przerobił”.
Tak dobrze przecież nie jest i nie można się nawet dziwić, że
mało kto, bez względu na przynależność klasową wolny jest od
wad i ludzkich ułomności i że żadna klasa jako zbiorowość nie
reaguje na zjawiska społeczno-polityczne ściśle według „notat-
nika agitatora”.

Wielu ludzi całkowicie obcych sprawie robotniczej zaczęło się
obnosić w latach 80/81 z nagle i nieoczekiwanie wzbudzoną w ich
duszach miłością do klasy robotniczej, pasując ją na rycerza i
obrońcę — konserwatywnie rozumianych — ogólnonarodowych
interesów i tradycji. Nie wszyscy robotnicy i nie od razu zaczęli
pojmować, że opozycja polityczna traktuje ich całkowicie in-
strumentalnie, chcąc w nich widzieć siłę, która dałaby się użyć
do przywrócenia klasom posiadającym utraconą po wojnie po-
zytywną symbolikę i propagandę. Usiłowano światu przedstawić
1-majowego święta, o 90-lecie już wtedy międzynarodowej (i
zarazem polskiej) tradycji. Usiłowano światu przedstawić
wieloletni dzień 3-maja, mimo iż to nie konserwa uchwałała Konsty-
tucję 3 Maja, lecz obóz społeczno-polityczny, którego przedłu-
żeniem jest współczesny nam ruch robotniczy.

Co ciekawe, wielu owym ludziom, gdy doznali ostatecznie za-
wodów w swoich politycznych rachubach, odeszła jak ręka odją-
mą do klasy robotniczej, a powróciło skrywane poczucie
wyższości wobec plebsu, po prostu przestali już udawać, że wi-
dzą w proletariacie podmiot historii. Bo ludzkie tego pokroju,
których obserwuje w kolejnych „zakrętach” niełatwych dziejów
Polski Ludowej, nigdy przecież nie traktowali serio tezy o histo-
rycznej misji klasy robotniczej w obaleniu ustroju kapitalistycz-
nego i budowaniu socjalizmu.

Jest niepokojące, że również wśród części inteligentów, wywo-
dzących się z klasy robotniczej, chłopstwa lub warstw drobne-
go rzemiosła, którzy socjalistycznym przemianom zawdzięczają
swoją awans społeczną, spotyka się nieraz odżegnywanie się od
tego ustroju i lekceważenie swojej klasy. Ich rozczarowanie uzys-

kanym awansem odnosi się nie tylko do — jakże skromnego —
materiałowego statusu inteligenta, często natomiast ich wyobcowanie
z klasy robotniczej ma osobliwe podłoże psychologiczne.

Otóż w ślad za masowością awansu często nie nadążają zmia-
nienie świadomości politycznej, które by pozwoliły docenić zna-
czenie przebytej drogi. Niejeden z tych, co uzyskali społeczny
awans czuje się pozbawiony tych małoskownych satysfakcji, jak-
kie towarzyszą w kapitalizmie wybieciu się jednostkowemu, wy-
wyższeniu się ponad przypisaną urodzeniem kondycję społeczną,
zapewniając upragnioną asymilację do ekskluzywnego kręgu oby-
czajowo-towarzyskiego, niedostępnego ogółowi. To dopiero po-
zwala odczuć całą odległość od współtowarzyszy i świadków lat
młodości, którzy pozostali „na dole”, pełni podziwu i zazdrości
wobec tych, którym udało się wspiąć na „wyzyny”.

Oczywiście źle to świadczy o wyborze systemu wartości, mówi
o zaniku wyższych motywacji, a ponoszą za to winę wielolet-
nie niedostatki społeczno-politycznego wychowania młodego po-
kolenia, co powinniśmy teraz nadrobić. Tak więc, jak sądzę,
odwracanie się plecami do klasy robotniczej, nieuznawanie jej
— nadal aktualnej w Polsce — funkcji hegemonu, ciągłe, moim
zdaniem, ważne, dopóki socjalistyczny system wartości nie objął
wszystkich dziedzin naszego społecznego życia, jest postawą z
ogólnego punktu widzenia szkodliwą. Jej szczególny przejaw
to dochodząca nieraz tu i ówdzie do głosu swoista inteligentka
solidarność w obliczu rzekomego zagrożenia ze strony klasy ro-
botniczej, insynuacje się bowiem ogółowi robotników nastroje
antyinteligentkie.

Ta insynuacja pojawia się nie po raz pierwszy w burzliwych
dziejach PRL, ale co do mnie, to muszę wyznać, że choć wywo-
dząc się ze środowiska inteligencji nie odczuwałem nigdy ze
strony klasy robotniczej zagrożenia dla możliwości wykonywania
swojego inteligentkiego zawodu. Jestem przekonany, że nie wy-
stępuje w klasie robotniczej na większą skalę brak zrozumienia
dla roli nauki w rozwoju życia społeczno-ekonomicznego. Cze-
ściej wśród proletariatu spotyka się prawdziwy szacunek dla
wiedzy i wykształcenia niż w środowiskach dorobkiewiczowskich,
w których pieniądź rodzi pieniądź z dwuznacznym udziałem
pracy, w których też ma się w pogardzie zarówno „robota”, jak
i „głogole” inteligenta, jako życiowego nieudacznika. Jestem
przekonany, że właśnie te kolia, w których panują nastroje an-
tyrobotnicze pomawiają klasę robotniczą o nastroje antyinteli-
gentkie.

Jest więc 1 Maja nadal, czy już nie jest świętem klasy robot-
niczej, może należałoby ten dzień proklamować świętem całego
narodu? Otóż myślę, że jest to sprzeczność pozorną, bo jeśli
ktoś uznaje przewodnią rolę klasy robotniczej, powinien tym
samym uznać jej interes i ogólnie światła pracy (a nie np. in-
teres klasy posiadającej) za tożsame z długofalowym interesem
narodu, za decydujący o przyszłości narodu i państwa.

Pod hasłem 1 Maja zawsze jednoczy się cała społeczność pracu-
jąca.

JERZY KWIECIŃSKI

Przegląd prasy

Niedawno wspominałem w
„Przeglądzie prasy”, że w
„SZTANDARZE MŁODYCH” z
11-13 kwietnia 1986 roku u-
każ się artykuł Bartłusza Szym-
czycha pt. „Gdzie lewicy a
gdzie lewizna?” będący żartobli-
wym sprawozdaniem z „pro-
cesu”, jaki odbył się we Wroc-
ławiu, a w którym oskarżano
tamtejszy tygodnik „Sprawy i
Ludzie”. Zobowiązałem się też,
że przy okazji i wrocę do tej
sprawy i opowiem Czytelnikom
o tym dość oryginalnym proce-
sie. Tak się jednak składa, że
„Przegląd prasy” nie ukazuje
się — nie z mojej winy — re-
gularnie, wypierając go inne,
ważniejsze artykuły, stąd też
powracam do tego „procesu”
przy okazji, ale z pewnym opóźnieniem.

Ta okazja jest sprawozdanie
Wojciecha Roszewskiego za-
mieszczane w 15 numerze
„SPRAWY I LUDZI” z 10 kwiet-
nia 1986 roku, w którym opi-
sane jest, jak

O co oskarżano tygodnik
„Sprawy i Ludzie”?
Oto fragment z cytowanego
przez W. Roszewskiego oskar-
żenia Janusza Zagórskiego:

„Nie twierdzą, że klasy w
Polsce nie istnieją. Ale sposoby
ich przedstawiania sugeruje,
jakoby wszystko co dzieje się
wokół, było przejawem walki
klasowej. I było interesem zar-
wsze jakiejś klasy”.

A oto fragment z cytowanego
oskarżenia Jarosława Ba-
rańskiego:

„Otóż „Sprawy i Ludzie” wy-
chodzi z nieustannego założenia,
że interes robotniczy opar-
ty jest na interesie partii. A
przecież przez czterdziście lat
klasa robotnicza niejednokrot-
nie doświadczała i doświadcza
sprzeczności tych interesów”.

Temu pierwszemu oskarżeniu
próbowałem przeciwstawić inny
podział: na rządzących i rzą-
dzonych. Temu drugiemu — o-
samotnienie robotników, konie-
czność zajmowania się własnymi
sprawami. Z pierwszym roz-
prawił się Jan Kurowicki, wy-
jaśniając, że ówczesny zarząd-
ca i zarządzi, ale ci pierwsi ro-
biają to zawsze w interesie jak-
iejś klasy. „Bronią się —
napisał Wojciech Roszewski —
nie diabolizowali kwestii
podziałów klasowych. Podtrzy-
mywali jednak tezę, że by-
ły one i pozostają istotne, i że
nawet przy ich istnieniu możli-
we jest normalne istnienie sto-
sunków społecznych”.

Z tą drugą rozprawił się
Julian Bartosz:

To, że mieliśmy i mamy na-
dal do czynienia z nierozumi-
aniem celów partii przez duże
odłamy klasy robotniczej, to
wcale nie znaczy, że zachodzi
tutaj jakaś zasadnicza sprze-
czność między rozumieniem in-
teresu partii a rozumieniem in-
teresu robotników”.

Zacytowałem te fragmenty,
aby pokazać jakich istotnych
spraw dotyczyła ta dyskusja
prowadzona w formie rozpra-
wy sądowej. Wysoki Sąd w o-
sobie Ewy Ciechan, do której-
goś ktoś zwrócił się per: —
„Piękny Sądzie!” — umorzył
sprawę i wszystko dobrze się
zakończyło, a Julian Bartosz
mógł spokojnie powiedzieć: —
„wiemy swoje i wiemy dobrze”.
Natomiast Dariusz Szymczycha
ze „Sztandaru Młodych” chce
nadać sprawie właściwą rangę,

napisał, że działalność „SIL”
nie jest wcale taka nieznaczna,
bo przecież pismo ukazuje się
„w nakładzie około 50 tysięcy
egzemplarzy”.

Chciałbym w tym miejscu
zwrócić uwagę, że „SIL” są
tygodnikiem polityczno-społecz-
nym i nakład 50 tysięcy egzem-
plarzy, do których uparcie i
wytrwale się zbliża, wcale
nie jest taki mały dla tygodni-
ka wychodzącego poza Warsza-
wę. Zresztą kilka tygodników
centralnych nawet tego nakła-
du nie osiąga. A „Sprawy i
Ludzie” można kupić poza
Wrocławiem. Widać istnieje za-
potrzebowanie również na p-
smo polityczno-społeczne, a mo-
że nawet przede wszystkim.

Te uwagi nasunęły mi się
po lekturze artykułu Bogusława
Sławomira Kunda pomieszczo-
nego w krakowskim miesięcz-
niku „ZDANIE” numer 3 z
1986 roku. Tytuł tego artykułu:
„Po zjeździe ZLP”, ale autor
przekazuje też

B.S. Kunda nie radzi jednak
zamykać rąk i proponuje
korzystać z promocji literatury
dokonywanej „o prasie co-
dziennej, szczególnie w jej ma-
gazytowych wydaniach, osiąga-
jących w piątki lub w soboty
większą niż w pozostałe dni
tygodnia nakład, a także czyn-
nych przez większy niż w inne
dni odsetek osób”. Na zakończe-
nie B.S. Kunda stwierdza na
podstawie badań Ośrodka Ba-
dań Prasoznawczych w Krako-
wie, że „najlepiej w Polsce
realizują te formuły promocji
literatury gazety krakow-
skie: „Dziennik Polski” i „Ga-
zeta Krakowska”. Pogratulo-
wał!

UWAGI O PISMACH LITERACKICH

jakie padały nie tyle w cza-
sie obrad, co na wcześniejszym
posiedzeniu Partynego Zespołu
Krytyki. „Wedle wygłoszonych
wtedy — pisze — o także przy
innych okazjach — opinii ist-
nieje coś w rodzaju zmywu u
redakcji różnych pism spo-
łeczno-kulturalnych, które — z
jednej strony — nie chcą dru-
kować tekstów literackich (a
także krytycznych), z drugiej
— nie chcą dostarczać literac-
kiej strawy pragnącym jej czy-
telnikom. W skrajnym sformu-
lowaniu opinia ta przybrała
postać twierdzenia, że mogli-
byśmy wydawać tygodnik lita-
racki o nakładzie miliona (!)
egzemplarzy i nie byłoby zwró-
tów”. Powstrzymam się od ko-
mentarzy. Zresztą Bogusław
Sławomir Kunda zrobił to sam.

„Tymczasem — pisze —
sprawa wygląda inaczej, a opi-
nie — podobne do powyższej —
są wyrazem subiektywizmu pi-
sarzy, którym ciele wyraża się,
że literatura jest najważniejs-
za”.

LUCJAN BOGUSZ

Naszemu Koledze
red. Eugeniuszowi Iwanickiemu
serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci

M A T K I
składa:
ZESPÓŁ „ODGŁOSÓW”

ze str. 1

zadowalającej — nie moż-
na w żadnym wypadku przy-
równać do sytuacji z 1981 ro-
ku. Wtedy mieliśmy na przy-
kład do czynienia ze zjawis-
kiem odchodzenia od partii.
Dziś mamy już zjawisko od-
wrotne, choć jeszcze w nie-
wielkiej skali, przychodzenia
do partii.

Te zmiany, jakie dokonały
się w okresie od IX Zjazdu
PZPR, pozwalają optymistycz-
nie patrzeć w przyszłość, a to
ma zasadnicze znaczenie dla
przygotowywania programów.
Tak dla naszych zamierzeń na
nabliższe pięć lat, jak i na
dalejsze lata, sięgając już po-
czątków XXI wieku. Przygoto-
wujemy te programy w atmos-
ferze spokojnej, bez nerwowo-
ści i bez napięcia, jakie wystę-
powały wówczas. To też ma
swoje znaczenie.

Co byśmy jednak nie mó-
wili o okresie przygotowań do
IX Nadzwyczajnego Zjazdu
PZPR, jak i warunkach, w ja-
kich toczyły się obrady, to nie
da się zaprzeczyć, że IX Zjazd
ma znaczenie historyczne, że
mimo toczącej się walki, a mo-
że właśnie dlatego, linia wów-
czas wypracowana ma zna-
czenie historyczne i osiągnięta
stabilizacja polityczna, jak i
gospodarcza — inna sprawa
czy uznamy ją za zadowala-
jącą — jest wynikiem realiza-
cji linii IX Zjazdu PZPR, a
nie wynikiem odejścia od tej
linii.

Byliśmy już przekonani w
czasie trwania Zjazdu o jego
historycznym znaczeniu. I dziś
— patrząc z perspektywy mi-
nionych pięciu lat — pozosta-
jemy przy tym przekonaniu.
Może nawet więcej: przekona-
nie to utrwaliło się w nas.
Dlatego stale podkreślamy, że
istnieje potrzeba konsekwen-
tnego trzymania się linii IX
Zjazdu, utrwalania jej, umac-
niania.

Spotkałem się z obawa-
mi, można je nazwać łagodnie
wątpliwościami, wyrażanymi w
różnych sytuacjach, że X Zjazd
PZPR może wprowadzić korek-
ty do linii IX Zjazdu, które
wypaczyłyby jej poprzedni, his-
toryczny już sens.

Nie podzielał takich o-
baw, nie zakładał takiej mo-
żliwości. Muszę jednak przy-
znać, że takie tendencje, poglądy
czy wątpliwości istnieją.
Występują poglądy, według
których w czasie IX Zjazdu
dużo silnie gwałty emocje i na-
stroje, że nie wszystko tak u-
stalono, jakby było potrzeba,
że niektóre sprawy przejawia-
ły się, inne silnie wyścielowa-
no. A więc teraz, na X Zjeź-
dzie trzeba będzie wprowadzić
korekty, aby te sprawy wy-
prostować.

Jako przykład takich tenden-
cji wysuwa się sprawę dwóch
kadencji, jakie można pełnić z
wyboru jedna po drugiej. Ta
zasada ma wielu przeciwni-
ków. Dla nas była ona gwa-
rancją przed możliwością wy-
stąpienia nieprawidłowości.
Dla mnie nadal tym pozostaje.
— Wyssuwa się zastrzeżenie,
że dwie kadencje to bardzo
mało, bowiem młodzi działa-
cze, którzy często są wybierani
na różne partijne funkcje,
nie zdążyli nabrać niezbędnego
doświadczenia i już muszą być
wymieniani. Taka rotacja kadr
partyjnych przerywa ciągłość
działania, osłabia siłę instancji
partyjnych, skuteczność ich
działania. Muszę przyznać, że
nie są to argumenty, które nie
zawierająby sporej dozy racji.
I gdy się nad tym zastana-
wiam, to mam poważne wątpli-
wości, czy rzeczywiście te dwie
kadencje, to był najlepszy po-
mysł?

Pozostaje nadal przy po-
glądzie, że jest to właściwe
rozwiązanie. Wymaga ono tyl-
ko z jednej strony tego, aby
nie było traktowane mecha-
nicznie, bo to nie o to chodzi-
ło. Z drugiej strony — zasada
ta jest połączona z możliwością
takiego rozwiązania, aby do-
bry działacz partijny mógł
pełnić swą funkcję dłużej niż
dwie kadencje. Tyle, ile tego
wymaga dobro instancji part-
yjnej, którą kieruje lub — w
której działa. Potrzeba do tego
tylko rzetelnej, uczciwej,
mądrej oceny jego działania i
umiejętności skorzystania z
tych możliwości, jakie daje
Statut PZPR i uchwały IX
Zjazdu. Każda instancja part-
yjna może w stosunku do
konkretnego osoby podejmować
odpowiednie decyzje. Niczego
nie trzeba zmieniać.

Uważam, że świętym ob-
wiązkiem Komitetu Centralne-
go PZPR, który przygotowuje
X Zjazd jest troska o to, aby
nie odejść od linii IX Zjazdu,
gdzie jest ona nadal gwarancją
prawidłowej budowy socjalizmu
w Polsce. I sądzę, że Komitet
Centralny właściwie wywiązu-
je się ze swojej roli.

— Przed IX Zjazdem PZPR, w trakcie Zjazdu, jak też po Zjeździe i dziś w przygotowaniach do X Zjazdu byłeś i jesteś mocno zaangażowany. Bieżesz w tym wszystkim czynny udział. Występowałeś i występujesz na różnych spotkaniach, poradach, konferencjach, brałeś udział w pracach przy przygotowaniu „Programu PZPR”. Jesteś członkiem Komisji Ideologicznej, Nauki i Komisji Zagranicznej KC PZPR, udzielałeś i udzielasz wywiadów, publikowałeś i publikujesz swoje przemyślenia. Czy w swoich poglądach, jak je dziś porównasz, w okresie od przygotowań do IX Zjazdu do przygotowań do X Zjazdu zaszła jakaś ewolucja i jeśli tak, to jaka?

— Też się nad tym zastanawiałem. Dokonałem swojej analizy moich poglądów z tych ostatnich pięciu lat. Generalnie podtrzymuję to wszystko, co w tym czasie mówiłem. Gdyby dana mi była taka możliwość, dokonałbym wstecz korekty moich poglądów, to generalnie nie bym nie zmieniał.

— A w szczególności? — Nie sprawdziły się niektóre moje przewidywania. Otoż przewidywałem na przykład, że będziemy z końcem 1985 roku mieli zadłużenie w wysokości 33 miliardów dolarów, a mamy 20,2 miliarda dolarów. To dobrze — można powiedzieć — że mamy mniejsze, ale mamy mniejsze na skutek znacznego redukcji importu. Tylko, że to obciążenie importu dało również reakcję łańcuchową — często odłożona w czasie — spadła produkcja, a przez to również spadł eksport.

Muszę się przyznać, że byłem „romantycznym” w ocenie skuteczności i szybkości rozwiązywania niektórych problemów. Uważałem na przykład, że uda się pełniej i szybciej zrealizować program antyinflacyjny. Nie doceniłem siły presji na centrum w sprawie podwyżek płac i stopnia ulegania tej presji. Ta presja nadal istnieje i jest to zjawisko bardzo niebezpieczne, gdyż tej presji nie towarzyszy wzrost produkcji i wydajności pracy. Spodziewałem się, że uda się stosunkowo szybko wypracować swoistą „filozofię systemu płac” i w jej wyniku dopiero będziemy tworzyli szczegółowe zakładowe systemy płac. Stało się inaczej. Powstały zakładowe systemy płac, a nie ma nadal tej „filozofii”. Innym problemem obrazującym mój zbyt optymistyczny jest kwestia tzw. małej restrukturyzacji gospodarki, jaką włączono do zakończonego w 1985 roku planem trzyletnim. Myślałem o progu tego planu, że uda się osiągnąć znaczące sukcesy. Zakończyliśmy ten plan bez efektów zasługujących na uwagę.

— Do tej pory rozmawialiśmy o uwarunkowaniach politycznych przed IX i X Zjazdem. Zastanówmy się teraz przez chwilę nad sytuacją gospodarczą. Przypomnę tylko, że był to okres strajków, nieustannych braków w zaopatrzeniu, wprowadzania reglamentacji, a przy tym wszystkim walki o wolne soboty. Po IX Zjeździe PZPR mieliśmy w Łodzi marsze głodowe. Sytuacja stawała się więcej niż tragiczna. Gospodarka nasza znalazła się w stanie pełnego chaosu. Warto zatem sobie uświadomić, co od tamtego czasu zrobiliśmy, co zmieniło się?

— Plan wychodzenia z kryzysu został zarysowany przez IX Zjazd, został skonkretyzowany i był realizowany przez rząd. Z tych działań wyłonił się program wychodzenia z kryzysu, plan antyinflacyjny oraz plan trzyletni. Co mogliśmy zapisać po stronie osiągnięć w realizacji tych antykryzysowych zamierzeń i planów?

Zapisałbym po tej stronie zasadnicze opanowanie tych sił i mechanizmów, które w gospodarce powodowały kryzys, jak też określone ustabilizowanie gospodarki i przywrócenie równowagi rynkowej. Oglądanie gospodarki poprzez polski sklepowe jest dużym uproszczeniem, ale często tak się robi, więc w tym oglądaniu widać, że sporo udało się już zrobić. Równowagi w gospodarce jednak nie ma nadal. Zapisałbym dalej po tej stronie niejako wyniki w rolnictwie. One są po części darem przyrody, ale też i rezultatem polityki rolnej PZPR i ZSL. Nawet na rynku mięsnym, który jest widomym skutkiem braku równowagi i naszych trudności, nastąpiły pewne pozytywne zmiany.

Po tej stronie zapisuję też korzystne zmiany jakie zaszły w handlu zagranicznym. Użytkujemy od trzech lat nadwyżkę eksportu nad importem — co prawda kosztem znacznego

obniżenia importu, ale ją uzyskujemy. Jest to wprowadzenie nadwyżki niewystarczająca — w granicach 1,5 mld dolarów. Potrzebna nam jest nadwyżka na poziomie około 3 miliardów dolarów. Jest to przede wszystkim konsekwencja faktu, że nie udało się ustawić eksportu na takim poziomie, jak to postulowaliśmy na IX Zjeździe. Ale podkreślić to: dokonuje się proces powracania na rynki zagraniczne.

Jesli dalej mam zapisywać po stronie korzyści, to zapisałbym tu bez wątpienia powrót naszego handlu na rynki RWPG i odbudowę więzów kooperacyjnych z tymi krajami. Tu przy okazji warto przypomnieć, że Polska w ogóle powróciła na arenę międzynarodową i to zarówno w sferze działań politycznych, jak i gospodarczych.

— Czego natomiast nie uzyskaliśmy? Jaki jest rejestr naszych braków? Co trzeba zapisać po stronie negatywnej? — Nie uzyskaliśmy takiej równowagi gospodarczej, jaka byłaby konieczna i oczekiwana, nie ograniczyliśmy w dostatecznym stopniu inflacji, nie osiągnęliśmy potrzebnego poziomu eksportu, nie zapoczątkowaliśmy w sposób zadowalający przekształceń strukturalnych. To w największym skrócie.

Myślę, że ważniejszym od wymienienia rejestru braków jest stwierdzenie, że stopień skomplikowania naszej gospodarki, jakkolwiek różny od tego, który był w 1981 roku, jest nadal wysoki i wcale stan gospodarki nie jest taki, abyśmy mogli spokojnie i optymistycznie patrzeć w przyszłość.



Foto: Ryszard Luczynski

bo najgorsze mamy już za sobą. Dotychczasowe wprowadzenie w życie reformy gospodarczej spowodowało, że wyzerpane zostały rezerwy proste. Gospodarka nasza musi wejść teraz w nowy etap, wykorzystywania rezerw złożonych. Proces ten będzie odbywał się w złożonych i wysoce skomplikowanych warunkach, przede wszystkim drogą wykorzystania postępu naukowo-technicznego.

— Wyobrażam sobie, że zespoły powołane przez KC PZPR do przygotowania materiałów na X Zjazd, a w tym i projekt „Programu PZPR”, zdawały sobie sprawę z tych wszystkich uwarunkowań i przemian.

— Oczywiście, że tak. Ale też musieliśmy postawić sobie również inne pytanie: jak ludzie, do których te dokumenty będą adresowane, tak w partii, jak i poza partią będą je czytali, czego będą w nich szukali, odpowiedzi na jakie pytania? Nie ulega wątpliwości, że przyszłość Polski rozgrywać się będzie na płaszczyźnie gospodarczej. Ale w żadnym wypadku nie można zlekceważyć spraw związanych z nadbudową, a konkretnie z przyszłym kształtem demokracji socjalistycznej. A zatem ludzie będą szukać w projekcie „Programu PZPR” i w „Tezach KC PZPR na X Zjazd partii” odpowiedzi na pytanie, jak w bliższej i w dalszej przyszłości będzie

wyglądał poziom ich życia i jaki będzie ich udział w rządzeniu krajem?

— Jest to jednak daleko idące uproszczenie.

— Bez wątpienia. Ale czy nam się to podoba, czy nie ludzkie socjalizm oceniają przez pryzmat tego, co on im daje, co może dać, czyli przez poziom życia. Rozmawianie jest takie: jesteśmy w centrum Europy, 40 lat budujemy socjalizm, mamy prawie 40 milionów ludzi, określony potencjał produkcyjny, przyroda dała nam takie a nie inne bogactwa naturalne, porównajmy to z innymi i z tych porównań, biorąc pod uwagę określone standardy i modele życia, powinniśmy wyjść takie a nie inne cele rozwojowe.

— Wprowadzenie niezbędnych korekt do obu dokumentów to zaledwie część pracy. U nas często można spotkać się z takim poglądem, że odbyliśmy dyskusję, wymieniliśmy poglądy, uzgodniliśmy stanowiska, w wyniku tego powstał dokument i możemy spokojnie iść spać z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. A tymczasem, to nie jest koniec pracy, tylko jej początek. Teraz trzeba bowiem przystąpić do realizacji tego, co zostało uchwalone, postanowione. A jeśli mamy przystąpić do pracy, to musimy też uświadomić sobie, jakie napotkamy przeszkody, albo — jak to się dziś modne mówi — jakie musimy pokonać bariery. Właśnie, jakie?

— Jest ich kilka i wszystkie są jednakowo ważne, ale zaczynam od tej, którą uważam za najważniejszą. Dla mnie taką barierą jest społeczna akceptacja celów zawartych w „Programie PZPR” i w „Tezach KC PZPR na X Zjazd partii”. Jest to problem uświadomienia sobie celów indywidualnych czy grupowych z celami nadrzędnymi, a który wyraża się stosunkiem do pracy na każdym stanowisku, od robotnika, który się do tej pracy nie przykłada, do wysokiego urzędnika, który blokuje różne decyzje i rozwiązania systemowe. Nazywam tę barierę — barierą konserwatywną.

— Pokonanie jej może odbywać się głównie w świadomości.

— Owszem, ale przestrzegalbym przed uproszczeniem. Jeśli uznamy, że dla jej pokonania wystarczą wysiłki edukacyjne, to niczego nie osiągniemy. To musi wiązać się z widocznymi zmianami w praktyce i jej społecznym postrzeganiem i ocenie. Ludzie muszą przekonać się, że praktyka jest dobra i dalsze jej kontynuowanie rokuje następne sukcesy.

— Jakże są inne bariery?

— Nie potrafimy na przykład utrzymywać na właściwym poziomie proporcji między przyrostem produkcji i wydajnością pracy a wzrostem płac. Płace — na skutek różnych nacisków — rosną szybciej niż produkcja i przyrost wydajności pracy. Na rynku trafia więcej pieniędzy niż jest na nie pokrycia w towarach i mamy inflację. Rezultatem tego są podwyżki cen i usług jako rozpacza próbą szukania równowagi.

— Skoro już padło słowo: ceny, to chciałbym zapytać, gdzie jest granica ciągle rosnących cen? Czy w ogóle jest taka granica? — Nie. Takiej granicy nie ma. Ceny muszą rosnąć z kilku powodów: aby dorównać wzrostowi cen światowych, aby poprawić strukturę cen — co z reguły musi odbywać się poprzez ich podnoszenie. Po prostu na ich przyczynach. Problem nie leży we wzroście cen. Ruch cen w górę jest w określonym sensie naturalny. Rzecz natomiast w tym, czy panuje się nad wzrostem cen i czy odpowiednio do tego następuje wzrost płac i dochodów oparty o wzrost produkcji i wydajności pracy. Powinien tu działać swoisty mechanizm. Zaczęliśmy dopiero go tworzyć.

— Na czym ten mechanizm ma polegać? — Wymaga on określenia minimum socjalnego i stosowania indeksacji płac. Płace minimalne, renty i emerytury oraz płace w sferze budżetowej, podlegają odpowiednio za

wzrostem kosztów utrzymania. Wymaga to ewidencji wzrostu cen i wydatków robionej przez kilka ośrodków, w tym związków zawodowych, tak aby poziom wzrostu kosztów utrzymania był średnią kilku notowań. Na tej podstawie odpowiednio rośnie minimum socjalne, płaca minimalna i płaca w sferze budżetowej. Wzrost kosztów utrzymania oraz minimum socjalnego jest sygnałem potrzeby wzrostu płacy średniej w gospodarce, a to odbywa się w oparciu o zakładowe systemy płac i układy zbiorowe. Gdy ten mechanizm działa sprawnie, wówczas wzrost cen nie budzi takich obaw i traktowanie może być jako zjawisko naturalne. Tworzy się podstawy „pokoiu społecznego”.

— W tej dziedzinie również, obok uruchomienia tego mechanizmu, potrzeba odpowiedniej pracy edukacyjnej. U nas ruch cen nie traktuje się jako zjawiska ekonomicznego, a jako dopust boży a ściślej jako rządowe manipulacje o nieczystych intencjach. Powróćmy jednak do dalszych barier, jakie będziemy musieli pokonać.

— Kolejną barierą jest poziom efektywności naszej gospodarki. Zakładamy, że połowa przyrostu produkcji musi dokonać się w wyniku oszczędności surowców, materiałów i energii. Inaczej mówiąc, mamy na pokrycie całego przyrostu produkcji tylko połowę surowców, materiałów i energii według obecnych norm zużycia.

— Ale znów trzeba będzie przekonać ludzi, że oszczędzanie leży w ich interesie. Jest to przykład kolejnego sprzeczenia zwrotnego działań w sferze materialnej z działaniami mającymi wpływać na świadomość. Nie będzie to łatwe.

— Nikt nie obiecuje nikomu łatwego życia. Ale to jest konieczne. Nasze produkty powstają przy zbyt dużych nakładach surowców i energii. Od tego, jak będziemy umieli oszczędzać zależy nasza przyszłość. I to nie jest ani piękny slogan, ani tym bardziej tania demagogia, to jest twarde wymaganie ekonomii.

— Wprowadzamy już w życie reformę gospodarczą. Stosunek do niej jest bardzo różny. Na ogół jednak krytyczny. Niezadowoleni są zwolennicy, jak i przeciwnicy. Z reformy jednak zrezygnować nie można. Czy zatem reforma pomocna będzie w pokonywaniu tych barier?

— Trzeba tu wyjaśnić kilka kwestii. Po pierwsze — reforma nie była i nie jest celem samym w sobie. Jest narzędziem, przy pomocy którego chcemy i musimy racjonalizować naszą gospodarkę. Po drugie — reforma nie jest wynysiem węgierskim czy polskim. W wielu państwach socjalistycznych podejmuje się działania podobne do węgierskich czy naszych, choć nie zawsze nazywa się je reformą. Reforma jest obiektywną koniecznością. Socjalizm chcąc rywalizować z kapitalizmem i być bardziej efektywny musi stosować nowoczesne rozwiązania. Z tego wyciągam wniosek, że dla reformy nie ma alternatywy. Po trzecie — reforma nasza ma przeciwników. I nie ma co tego ukrywać. Na ogół lokuje się ich „na górę”. Otoż prawda jest taka, że reforma ma przeciwników również „na dole”. I śmiem twierdzić, że w miarę jej rozwoju ci przeciwnicy z dołu będą coraz głośniejsi.

— Czy dlatego, że reforma postawi ich wobec innej gospodarki? — Reforma zakłada posikowanie się kategoriami ekonomicznymi, a więc ludzie staną wobec przymusu ekonomicznego, co nie zawsze będzie się pokrywało z ich osobistymi interesami i zamierzeniami. Ot, choćby przerosty w zatrudnieniu. Reforma musi doprowadzić do ich likwidacji. Nie wszyscy będą zadowoleni z tego, że będą musieli zmienić pracę. Reforma musi doprowadzić do większej wydajności pracy, do stosowania wyższej techniki, automatyzacji, co znowu nie wszystkim będzie się podobało. Wyczerpalimy już proste rezerwy i musimy sięgnąć po złożone, to też musimy mieć swoje społeczne konsekwencje. A zatem w miarę postępów reformy rosnąć będzie wobec niej zagrożenie. Brzmi to może trochę paradoksalnie, ale tak w istocie jest. Jest to realne zagrożenie. Jeśli opory „na górę” zbiegną się z oporami „na dole”, to może to oznaczać koniec reformy.

— Czy zatem w dokumentach przygotowywanych na X Zjazd PZPR nie zapisano sprawy realizacji reformy w sposób zbyt ogólnikowy? — Takie zarzuty stawia się w dyskusji. Ale biorąc się one — według mego zdania — nie

tylko z widzenia tych zagrożeń, o których mówiłem, ile z historycznego doświadczenia. Trzeba sobie uświadomić, że w Polsce do tej pory nie udało się żadne reformy. Ale, jeśli na przykład w latach pięćdziesiątych i siedemdziesiątych niepowodzenie reform zależało od czynników politycznych, to obecna reforma ma zupełnie inne zagrożenia.

— Czy można byłoby je wskazać? — Po pierwsze — jest to błędne przekonanie, że dla reformy istnieje alternatywa. Nie ma jej. Przeciwnicy reformy takiej alternatywy nie sformułowali.

— Zatem jedynie możliwy jest powrót do starego systemu nakazowo-rozdzielczego, który nie zdał już egzaminu.

— Nie wiem nawet, czy taki powrót jest już możliwy. Reforma poczyniła już znaczne postępy, choć jeszcze są duże w tej dziedzinie braki. Ale o tym może za chwilę.

Po drugie — gospodarka nasza ma duże kłopoty ze zbilansowaniem surowców i energii, nie jest zrównoważona i stabilna. Byłoby lepiej dla reformy, gdyby można ją było przeprowadzać w ustabilizowanej gospodarce. Ale tak nie jest i trzeba się liczyć z realiami.

Po trzecie — występują silne tendencje konserwatywne na różnych szczeblach zarządzania, a dla powodzenia reformy potrzeba poszukiwania nowoczesnych rozwiązań.

Po czwarte — istnieje poważne niebezpieczeństwo, że w wyniku działania przymusu ekonomicznego może się pojawić niezadowolone robotników i pracowników innych grup z negatywnych skutków reformy. Ale o tym już wspominałem.

— A inne niedostatki reformy? — Gdyby mnie zapytano, co jest dziś najważniejszym ogniwem w łańcuchu spraw ważnych dla teraźniejszości i przyszłości Polski, to powiedziałbym bez wahania, że gospodarka. Gdyby mnie następnie zapytano, co jest najważniejszym ogniwem w łańcuchu problemów naszej gospodarki, to powiedziałbym znowu bez wahania, że eksport.

— Polacy bardzo nie lubią eksportować. Wokół eksportu narosło wiele mitów i nieporozumień. I tu znowu mamy do czynienia ze spletem niebezpiecznych oddziaływań tak w sferze materialnej, jak i na świadomość.

— Gospodarka nasza cierpi na niewydolność eksportową. Czym jest eksport dla gospodarki — trudno to tłumaczyć, bo to jest — a właściwie powinno być — aż nadto oczywiste. Bez eksportu nie ma importu, a bez importu gospodarka dostaje zadyszki, cierpi na niedowład.

— Ale może inaczej spojrzmy na sprawę eksportu. Otoż zakładamy, że eksport w stosunku do obecnego poziomu musi wzrosnąć 2,5 raza. To bardzo dużo. I będzie to trudno osiągnąć. Ale, jeśli nawet ten zakładany poziom osiągniemy, to nadal będziemy „czerwoną latarnią” w statystyce państw socjalistycznych i nie osiągniemy poziomu eksportu przeliczanego na jednego mieszkańca Bułgarii, Czechosłowacji i NRD. Wzrost czeka nas więc duży.

Poza tym kraje socjalistyczne w tym czasie nie będą stały w miejscu. Inny jeszcze sens eksportu. Otoż, aby płacić tylko odsetki, potrzebujemy 2,5 miliarda dolarów rocznie, a żeby płacić raty, ta suma przekracza 5 miliardów dolarów.

W Uchwale IX Zjazdu PZPR bardzo mocno akcentowaliśmy znaczenie eksportu, ale zalecenia te nie zostały zrealizowane.

— Dlaczego?

— Do przedsiębiorstw zajmujących się eksportem nie weszła jeszcze reforma. To jest przed nami. Tu też są potrzebne nowoczesne rozwiązania, jakie już stosuje świat. My nadal handlujemy, a świat nie tyle mówi o prostym handlu, ile o współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej. Około 30 procent obrotów w handlu zagranicznym świata odbywa się bez pieniędzy, w drodze wymiany produkt za produkt. Ale ten nowoczesny i tani produkt trzeba mieć i umieć elastycznie się nim posługiwać. To jest przed nami i tego trzeba się nauczyć. Jak zresztą wielu innych rzeczy. Inaczej Polskę grozi stagnacja, upadek. A wszystkie piękne myśli i pragnienia pozostaną na papierze.

— W tym czasie mówiłem, że w Polsce do tej pory nie udało się żadne reformy. Ale, jeśli na przykład w latach pięćdziesiątych i siedemdziesiątych niepowodzenie reform zależało od czynników politycznych, to obecna reforma ma zupełnie inne zagrożenia.

— Czy można byłoby je wskazać? — Po pierwsze — jest to błędne przekonanie, że dla reformy istnieje alternatywa. Nie ma jej. Przeciwnicy reformy takiej alternatywy nie sformułowali.

— Zatem jedynie możliwy jest powrót do starego systemu nakazowo-rozdzielczego, który nie zdał już egzaminu.

— Nie wiem nawet, czy taki powrót jest już możliwy. Reforma poczyniła już znaczne postępy, choć jeszcze są duże w tej dziedzinie braki. Ale o tym może za chwilę.

Po drugie — gospodarka nasza ma duże kłopoty ze zbilansowaniem surowców i energii, nie jest zrównoważona i stabilna. Byłoby lepiej dla reformy, gdyby można ją było przeprowadzać w ustabilizowanej gospodarce. Ale tak nie jest i trzeba się liczyć z realiami.

Po trzecie — występują silne tendencje konserwatywne na różnych szczeblach zarządzania, a dla powodzenia reformy potrzeba poszukiwania nowoczesnych rozwiązań.

Po czwarte — istnieje poważne niebezpieczeństwo, że w wyniku działania przymusu ekonomicznego może się pojawić niezadowolone robotników i pracowników innych grup z negatywnych skutków reformy. Ale o tym już wspominałem.

— A inne niedostatki reformy? — Gdyby mnie zapytano, co jest dziś najważniejszym ogniwem w łańcuchu spraw ważnych dla teraźniejszości i przyszłości Polski, to powiedziałbym bez wahania, że gospodarka. Gdyby mnie następnie zapytano, co jest najważniejszym ogniwem w łańcuchu problemów naszej gospodarki, to powiedziałbym znowu bez wahania, że eksport.

— Polacy bardzo nie lubią eksportować. Wokół eksportu narosło wiele mitów i nieporozumień. I tu znowu mamy do czynienia ze spletem niebezpiecznych oddziaływań tak w sferze materialnej, jak i na świadomość.

— Gospodarka nasza cierpi na niewydolność eksportową. Czym jest eksport dla gospodarki — trudno to tłumaczyć, bo to jest — a właściwie powinno być — aż nadto oczywiste. Bez eksportu nie ma importu, a bez importu gospodarka dostaje zadyszki, cierpi na niedowład.

— Ale może inaczej spojrzmy na sprawę eksportu. Otoż zakładamy, że eksport w stosunku do obecnego poziomu musi wzrosnąć 2,5 raza. To bardzo dużo. I będzie to trudno osiągnąć. Ale, jeśli nawet ten zakładany poziom osiągniemy, to nadal będziemy „czerwoną latarnią” w statystyce państw socjalistycznych i nie osiągniemy poziomu eksportu przeliczanego na jednego mieszkańca Bułgarii, Czechosłowacji i NRD. Wzrost czeka nas więc duży.

Poza tym kraje socjalistyczne w tym czasie nie będą stały w miejscu. Inny jeszcze sens eksportu. Otoż, aby płacić tylko odsetki, potrzebujemy 2,5 miliarda dolarów rocznie, a żeby płacić raty, ta suma przekracza 5 miliardów dolarów.

W Uchwale IX Zjazdu PZPR bardzo mocno akcentowaliśmy znaczenie eksportu, ale zalecenia te nie zostały zrealizowane.

— Dlaczego?

— Do przedsiębiorstw zajmujących się eksportem nie weszła jeszcze reforma. To jest przed nami. Tu też są potrzebne nowoczesne rozwiązania, jakie już stosuje świat. My nadal handlujemy, a świat nie tyle mówi o prostym handlu, ile o współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej. Około 30 procent obrotów w handlu zagranicznym świata odbywa się bez pieniędzy, w drodze wymiany produkt za produkt. Ale ten nowoczesny i tani produkt trzeba mieć i umieć elastycznie się nim posługiwać. To jest przed nami i tego trzeba się nauczyć. Jak zresztą wielu innych rzeczy. Inaczej Polskę grozi stagnacja, upadek. A wszystkie piękne myśli i pragnienia pozostaną na papierze.

— Czy zatem w dokumentach przygotowywanych na X Zjazd PZPR nie zapisano sprawy realizacji reformy w sposób zbyt ogólnikowy?

— Takie zarzuty stawia się w dyskusji. Ale biorąc się one — według mego zdania — nie

Recepty dla „kuchni przyszłości”, czy naukowe prognozy?

PAWEŁ SAMUŚ

W każdej epoce historycznej powstawały wizje lepszego społeczeństwa, wybiegające w przyszłość, choć czasem odwołujące się do ideałów dalekiej przeszłości, systemy poglądów oparte na negacji aktualnie istniejących stosunków społecznych i politycznych. Wiekoszność z nich, jak wiadomo, zyskała sobie w historii myśli społecznej miarę utopii, czyli koncepcji rozumianych najczęściej jako antynomia realizmu lub nauki. Ruch socjalistyczny również stworzył ideał społeczeństwa przyszłości. Jego idealne modele tworzyli myśliciele nazywani socjalistami utopijnymi. Twórcy socjalizmu naukowego, którzy odcięli się od utopijnego w sferze teoretycznej i praktycznej, negując zaproponowane przez poprzedników metody urzeczywistnienia owego ideału i jego modele, sami również wypowiadali się, choć z powściągliwością, na temat obrazu ustroju przyszłości.

Jakie były wyobrażenia pierwszych generacji socjalistów polskich o kształcie społeczeństwa przyszłości? Jakimi treściami teoretycznymi polskiego socjalizmu z okresu przed 1918 r. wkładali w pojęcie „socjalizm”, jak rozumieć ten termin szeregowi uczestnicy tego ruchu? Czy był to tylko abstrakcyjny skrót ich ideału, czy też może wkładano w to pojęcie konkretne treści, kiedy na przykład propagowano wśród nas druki ulotne i broszury kreujące wizję przyszłej socjalistycznej Arkadii rządzonej przez robotników? Jakimi granicami określonych prognoz teoretycznych na temat społeczeństwa przyszłości?

Historyk poszukuje dziś odpowiedzi na owe pytania, sięgając do różnorodnych źródeł. Przy rekonstrukcji wizji ustroju przyszłości zawartej w polskiej myśli społecznej pomocne są oczywiście programy partii socjalistycznych z owego okresu (do 1918 r.). Dokumenty te najwięcej uwagi jednak poświęcały przede wszystkim krytyce istniejących stosunków kapitalistycznych oraz prezentacji środków i metod walki o ich zmianę, dając tylko lakoniczny zapis przyszłych form ustrojowych. W publicystyce i innych wydawnictwach socjalistycznych z tej epoki znajdziemy natomiast zarówno komentarz do owych zasad programowych, jak i znacznie więcej elementów opisu przyszłego ustroju społecznego.

Stosunek polskich teoretyków socjalistycznych do zagadnienia przewidywania kształtu społeczeństwa przyszłości cechowała dwójność właściwa postawie twórców socjalizmu naukowego. Jak wiadomo, historycy zwracają uwagę na ambiwalentną postawę Karola Marksa i Fryderyka Engelsa do kwestii modelowania przyszłego ustroju socjalistycznego. Obaj myśliciele z jednej strony odnosili się niechętnie do szczegółowego projektowania i opisu modelu przyszłego ustroju, uznając to za przedsięwzięcie za co najmniej ryzykowne, grożące odwróceniem się od reguł naukowego myślenia — jak napisał Karol Marks byłoby to przygotowywanie recept „dla kuchni przyszłości”; z drugiej jednak strony nie mogli ze względu na zasadniczych zrzeczących z określenia i przedstawienia konkretnych celów, do których dążył ruch socjalistyczny. Twórcy socjalizmu naukowego zatem, pomimo sprzeciwu wobec rozbudowy i eksponowania tego elementu ideologii, mieli swoje wyobrażenia o przyszłym ustroju i jego zarysowaną koncepcję, wykazującą najwięcej zainteresowania stosunkami ekonomicznymi w społeczeństwie socjalistycznym, ale generalnie wypowiedzi ich na ten temat były dość skąpe i znalazły się na dalszym planie w ich twórczości.

Polscy teoretycy socjalizmu omawianej epoki byli również dość powściągliwi i ostrożni w przedstawianiu opisów kształtu przyszłego społeczeństwa, przy czym kierowali się motywami podobnymi jak twórcy marksizmu. Tak więc polscy myśliciele w swoich rozważaniach związanych z projekcją społeczeństwa przyszłości zazwyczaj akcentowali, że ich obowiązkiem jest dążenie do zachowania rygorów poprawności naukowej, zgodności z zasadami socjalizmu naukowego. Zastrzegali się również, że nie potrafią dać gotowych formuł ani recept na konstrukcję gmachu przyszłego ustroju socjalistycznego.

Jedynie twórcy pierwszych programów w polskim ruchu socjalistycznym, jak na przykład tzw. programu brukselskiego (1878), programu socjalistów galicyjskich (1881), czy też partii Proletariat (1882), chętniej zapuszczali się do krainy przyszłego społeczeństwa równości i sprawiedliwości. Formułowano zasady jego funkcjonowania w sferze politycznej i moralnej, ekonomicznej i organizacyjnej. W pionierskim okresie ruchu socjalistycznego na ziemiach polskich rysowano ową wizję, kierując się niewątpliwie potrzebami agitacji — sugestyjnie prezentowany ideał przyszłości miał oddziaływać na wyobraźnię pierwszych zwolenników socjalizmu.

W drugim dziesięcioleciu jego istnienia stanowisko twórców programów stało się bardziej powściągliwe w zakresie owego prognozowania. Program Partii Socjalistycznej (1892) stwierdzał wyraźnie, że „swe cele formułuje ona, opierając się na rzeczywistych stosunkach społecznych. W dążeniach swych występuje ona nie jako sentymentalny architekt społeczny, ale jako świadoma organizacja polityczna mas pracujących”. Natomiast w artykule redakcyjnym „Przeglądu Robotniczego” (IX 1900), organu Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy podkreślano, że jej założenia programowe biorą za swą podstawę zasady socjalizmu naukowego, zaś „myśl przewodnią tego programu polega na tym, że działalność rewolucyjna proletariatu nie może kierować się żadnym widzimisiem najdowcipniej wymyślonych planów o urzadzaniu społeczeństwa wymarzonego”.

Róża Luksemburg (1871—1919), najwybitniejszy ideolog tej partii, przywódczyni lewicowej socjaldemokracji, wyjaśniała w jednym ze swych artykułów na początku naszego stulecia, że marksizm umożliwia tylko „poznanie drogi historycznej, która z ostatniej antagonizującej formy społeczeństwa, opartej na przeciwieństwach klasowych, prowadzi do społeczeństwa komunistycznego, zbudowanego na solidarności interesów wszystkich jego członków”. Trzy lata później w komentarzu do programu SDKPiL („Czego chcemy?”, Warszawa 1906) rysując wizję socjalistycznej społeczności, nie omieszczała podkreślić: „Przedstawić sobie we wszystkich szczegółach, jak będzie wyglądał przyszły ustrój socjalistyczny, niepodobna, i wszelkie próby tego rodzaju polegają na fantazji. Ale zupełnie wyraźnie i z całą pewnością można już dziś poznać główne podstawy przyszłego ustroju”.

Podobnie Kazimierz Kelles-Krauz (1872—1905), wybitny działacz i publicysta PPS, teoretyk materializmu historycznego, podkreślał, że zasady socjalizmu naukowego „zawierają tylko wskazówki dla rozwiązywania konkretnych zagadnień danego czasu i kraju, ogólny jego kierunek — a nie gotowe raz na zawsze formuły”. Myśliciel ten w innym miejscu tak pisał o metodzie badawczej: „Socjaliści oparli na wnioskach nauki społecznej biorą już teraz

zawsze chwilę dzisiejszą za punkt wyjścia, za rodzicielską jutrzejszą, stają na gruncie faktów i sił obecnych, przedstawiają im inne, dane również obecnie, siły i fakty — jedyna to jak wiadomo, naukowa przyrodnicza metoda „tworzenia” — starają się przewidzieć konieczną przyszłość na mocy dzisiejszego układu sił i idą ku niej od etapu do etapu, rozwiązując jedną po drugiej wszystkie nasuwające się kwestie praktyczne z punktu widzenia interesów klasowych proletariatu” („Międzynarodowa polityka proletariatu”, „Przedświt” 1897).

Nawiązywał też Kelles-Krauz do opinii wyrażonej na ten temat przez wybitnych teoretyków socjalizmu, aprobując pogląd Karola Kautskiego i stwierdzając w ślad za nim, że „jeśli nie można żądać od partii oficjalnego podpisu na podobne obrazy przyszłości, to jednak każdy myśliciel socjalista zupełnie naturalną drogą dojdzie do rozważania szczegółów tej przyszłej organizacji i do wytworzenia sobie o niej jakiegos pojęcia”.

Karol Kautsky (1854—1938) przywódca i najbardziej wpływowy ideolog socjaldemokracji niemieckiej oraz II Międzynarodówki, nazywany „papieżem marksizmu”, poświęcił w swej twórczości nieco uwagi wizji socjalizmu. Także on uważał, że próby budowania bardzo szczegółowych modeli przyszłego społeczeństwa socjalistycznego nie mogą mieć charakteru naukowego, ale też potrzeby agitacji i walki ideologicznej skłoniły go do zajmowania się takimi prognozami.

Jego refleksje na ten temat znajdujemy przede wszystkim w komentarzu do Programu Eufurckiego (1892), niezwykle popularnym na świecie, nazywanym niekiedy „katechizmem socjalizmu”, a także w pracy „Rewolucja socjalna” (1902). Kautsky w rozważaniach o ideałach socjalizmu zwrócił uwagę głównie na zagadnienie ekonomiczne socjalistycznej, przedstawił swoje wyobrażenia o kształcie społeczeństwa i państwa socjalistycznego, o równości i wolności w przyszłym ustroju.

Próbę przedstawienia wizji ustroju socjalistycznego podjął również August Bebel (1840—1913), przywódca i teoretyk socjaldemokracji niemieckiej. Obraz nowego społeczeństwa rysował on dość dokładnie na kartach książki „Kobieta i socjalizm” (1883). Praca ta zyskała sobie nadzwyczajną popularność w całym świecie i doczekała się kilkudziesięciu wydań w języku niemieckim, a także kilkunastu tłumaczeń na inne języki, a po polsku ukazała się drukiem po raz pierwszy w 1897 r.

W polskim piśmiennictwie socjalistycznym nie powstała w omawianym okresie taka praca, która podejmowałaby próbę przedstawienia całościowego obrazu przyszłego społeczeństwa. Wyobrażenia polskich myślicieli o ustroju przyszłości zawarte są w licznych, ale na ogół obszerniejszych komentarzach do programów partyjnych. Tak więc nieznadko ich wizje socjalizmu możemy zrekonstruować tylko swego rodzaju metodą układania mozaiki. Jednak w miarę upływu czasu, narastania doświadczeń i pogłębienia refleksji, ich wyobrażenia o przyszłości ulegały pewnej przekształcaniu, zwłaszcza i wojna światowa i rewolucja październikowa 1917 r. przyniosły więcej szczegółów do zarysowanych wizji, a ponadto zmusiły ich autorów do przeprowadzenia korekt i dokonania uściśleń.

Twórcy polskiej myśli socjalistycznej z omawianej epoki rzecz jasna opierali swoje rozważania na temat wizji przyszłości na fundamentalnych założeniach teorii marksistowskiej. Podejmowali w swych poszukiwaniach oryginalną interpretację klasycznych sformułowań doktryny marksowskiej. Byli wśród nich, poza nurtem decydującym, także teoretycy tylko czasowo związani z marksizmem, potem odchodzący od niego.

Jedną z cech charakterystycznych wizji przyszłości zawartych w polskim piśmiennictwie socjalistycznym tego okresu było wspólne dla wielu autorów przeświadczenie, że socjalizm jest koniecznością historyczną, a także optymistyczne przekonanie o automatycznym przemianach socjalistycznych wraz ze zmianą stosunków własnościowych. W tej ostatniej sprawie dość rzadko wyrażano ostrożne opinie o skomplikowanym charakterze przyszłych przeobrażeń.

Polscy teoretycy pozostając na ogół wierni przyjętemu rygorom naukowemu, nie potrafili wszakże niekiedy w swoich wypowiedziach, jak gdyby oprzeć się pokusie zastosowania efektownej metafory dla określenia ideału przyszłego ustroju.

Maria Koszutska (1876—1939), działaczka i ideolog lewicowego nurtu PPS, napisała w artykule o rewolucji rosyjskiej (1918), że ustrój socjalistyczny to „prometeuszowy ogień szczęścia ludzkości”. Bolesław Limanowski (1835—1935), działacz polskiego ruchu socjalistycznego poczynając od okresu pionierskiego i jego wybitny teoretyk pragnął urzeczywistnić ideał „socjalizmu integralnego”, który miał powstać nie tylko w rezultacie rozwoju ekonomicznych i politycznych form życia, ale także przemian w sferze moralności, wiedzy i kultury.

Kazimierz Kelles-Krauz określił socjalizm jako „drugie Odrodzenie”, „drugą retrospekcję”. Opracował on teorię retrospekcji rewolucyjnej, w której dowodził powtarzania się w dziejach ludzkości pewnych elementów świadomości społecznej w rytmach określonych przez przeciwstawiające się sobie zasady indywidualizmu i socjalizmu.

Róża Luksemburg za Fryderykiem Engelsem nazywała przyszły ustrój socjalistyczny „skokiem z królestwa konieczności do królestwa wolności”, a także „prawdziwą nową erą człowieczeństwa”, „światłym celem” i „ratunkiem dla cierpiącej ludzkości”.

Ideał socjalizmu pojmowany był przez wszystkich tych myślicieli jako wizja całkowitego odrodzenia życia ludzkiego w przeciwstawieniu do wszelkich społeczeństw klasowych. Punktem wyjścia dla nich w konstruowaniu modelu przyszłego ustroju było zagadnienie zdobycia władzy politycznej dla proletariatu.

Twórcy polskiej myśli socjalistycznej rozwijali antropocentryczną wizję ustroju przyszłości. W poszukiwaniach swoich za jedną z centralnych kategorii uznali wolnego człowieka w wyzwolonym społeczeństwie przyszłości, istotę społeczną działającą świadomie na rzecz przekształcenia siebie i świata. Docieklivi krytycy ustroju kapitalistycznego, podejmujący próby naukowego prognozowania kształtu przyszłego społeczeństwa, ale niekiedy także w jakimś sensie wizjonerzy przyszłości, rysowali jej obraz formułując uniwersalne cele rewolucji społecznej i poszukując jej właściwości w warunkach polskich.

ze str. 1

Portret, o czym wiem dobrze, jest kopia zrobiona ze zdjęcia. Nie stanowi szczytu malarzkiego kunsztu, ale też nie trudno nabrać przekonania, że nie o to w tym przypadku chodziło. Należało powiększyć zdjęcie w odpowiedni sposób. Czyż małe zdjęcie o formacie pocztówki mogłoby zostać zawieszone centralnie w dużej muzealnej sali naprzeciw zgromadzonego tłumu ludzi? Stanowczo nie! Tej roli zdjęcie pełniłoby nie mogło. Intencja mogła być zresztą inna, portret mógł być wykonany z innych powodów, teraz zaś wywołano takie wrażenie. W ostateczności liczy się wrażenie.

Zdjęcie znajduje się na tej samej sali, na jednej z plansz zawieszonych na bocznej ścianie.

Dyskretny urok Virtuti Militari

nie. Najprawdopodobniej zrobione zostało latem 1936 roku. Ktoś stanął naprzeciw majora z aparatem fotograficznym w ręku i zwracając fotografujących poprosił o przyjemny wyraz twarzy. Uwieczniona została chwila, w której człowiek z dystynkcjami majora przybiera swobodną pozę: łączy się między palcami papierosa, skrzywienie ust w stonowanym męskim uśmiechu, pionowa brzośka przedzielająca czoło u nasady nosa, oczy wesołe, nieco ironiczne. Trzy lata będą go dzielić od dnia, w którym przybierze pseudonim „Hubal” i postanowi nie przerywać wojny. Mizeria okupacji nie będzie dla niego.

Na planszach wiele innych zdjęć, a także dokumentów. Historia powinna być wdzięczna za pragnienie tamtych ludzi uwiecznienia się na fotografiach. Mógłbym przypatrywać się im całymi godzinami. Tyle w nich treści. Niejednokrotnie miały one moc zabijania. Były dowodem, któremu nie dało się zaprzeczyć. Oto jedna z nich: zafatyłowana: „Przyjazd kurierek”; dwie dziewczyny w otoczeniu umundurowanych, nonszalanckich chłopców. Cała grupa na chłopczych saniach. Jeden z żołnierzy z mandoliną w ręku. Ktoś z ledwo widocznymi dwoma gwiazdkami na pagonach, w polowej czapce przekrzywionej na bok, z fajką o prostym cybuchu w zębach, to podporucznik Marek Szymański-Sep. Ten sam, już w stopniu kapitana, w cywilnym ubraniu, z dodatkowym balastem 45 lat, jest w tłumie ludzi, na których spoczywa zabarwione uśmiechem spojrzenie majora z portretu. Jest także dziewczyna z zdjęciem, otyła, emerytowana nauczycielka muzyki.

Monotonne, usypiające zdania prelegenta. Niektórzy skupiają się na nich, inni oparci o łaskę, poręcz krzesła, wyraźnie drzemają. Według tego, co mówi organizatorzy, przyjechało trzydziestu „hubalczyków”. Nie należy się sugerować listą, wpisuje się na nią każdy. Przyjechała połowa ze wszystkich rozrządów po kraju i świecie. Chwila była odpowiednia: 45 rocznica śmierci majora. Za 5 lat ta liczba się zaokrągli, świat lubi okrągłe rocznice, w 2000 roku, jeśli ktoś podejmie trud uczczenia tego, co dziś, przybędzie ich garstka. Z tych, któ-

rzy widzieli jego śmierć nie ma już nikogo. Tylko ośmiennastu było z nim do tamtego solitu pod Anielinem, otarli się o tamtą ową. Spośród nich, jeszcze trzech żyje. Na uszach wyłożonej w halu muzeum, gdzie nieje podpis jednego „uswetkie” tego typu spotkania i wojna dostarczyła pretekstu dla niejednego, ocierają się o palto. Podskórnie przenika je melancholijne przekonanie o nie-trwałości życia.

Człowiek, który wszedł na sale godzinę temu, to P. Ma 73 lat.

Rozmowa podsłuchana przez mnie podczas obiadu: „Gdzie pan mieszkał w czasie wojny? Tutaj? Na Rolandówce? Czekaj pan!” Reka sięga do kieszeni marynarki. Pojawia się wytarty skórzany portfel, a za chwilę niewielkie zdjęcie. Tamten milczy. „Nie! Nie przypominam sobie. Tyle twarzy, tyle lat”. Westchnienie właściciela zdję-

cia. „Tak! Tyle lat...”. Zdjęcie z powrotem wędruje do siatkowanego portfela.

Po obiedzie zmieniają się prelegenci. Mało ciekawie. Nad sają krąży duch prowincjonalizmu. Gdyby żył, pewno przyjechałby Melchior Wańkowicz. Pewien miejscowy artysta-plastyk prezentuje plik dokumentów, wywiadów, jest nawet nagrana taśma — pion jego zarządów o zidentyfikowanie miejsca, w którym miał być pochowany major Dobrzański. Niemcy starannie ukryli grób „Hubala”. Tenże plastyk, dziś mężczyzna w osiem dekadzie życia, w latach pięćdziesiątych natknął się przypadkowo w lesie niedaleko Spawy na anonimowy grób. Był tam wójt drewniany krzyż, a na nim takież tabliczka z napisem w języku niemieckim: „Hier liegt ein Held”. Co do lat pięćdziesiątych trudno mieć wątpliwości, że władzy nie zależało na ekshumacji prochów majora. Iż zresztą było wówczas w Polsce takich grobów, także w lasach spalskich. Tylko dlaczego ta tabliczka? Świadek tamtych wydarzeń, niemiecki oficer łącznikowy. Heinrich Schreihage, który widział zabitego majora Dobrzańskiego, twierdzi, że pochowany został w lasach spalskich w odległości około siedmiu kilometrów na północny zachód od Tomaszowa Maz. Czyżby w odnalezionym przez miejscowego plastyka grobie istotnie leżał bohater przedłużonego epizodu wrześniowej kampanii? Pewnego dnia przyroda zadecydowała za ludzi, wichura powaliła drzewa nad grobem, znikła tabliczka z niemieckim napisem i wiatry drewniany krzyż. W miarę upływu czasu teren uległ dalszym przeobrażeniom. Dziś odnalezienie tamtego miejsca graniczy z niemożliwością. Może tak lepiej. Akcja plastyka przez wielu uznawana jest za nieszkodliwą maniactwo. Ktoś postanowił udać się w to miejsce samochodem. Oczywiście, weźmie plastyka.

Dla przyjezdnych nocleg w hoteliku. Miesiąc się on na terenie klubu sportowego. Przeniesiony jest dla sportowców. Hotel miejski jest w tym czasie w remoncie. Panowie o posiwiałych włosach, o sylwetkach naznaczonych podeszłym wiekiem posród roślących, niekiedy kilkunastoletnich chłopców. Raptem wyniki kontrast.

Gdzie indziej nie byłby tak wy-
razny. Nie przedstawiam się P.,
zrobię to jutro, w Anielinie.

12.

Plac w centrum miasta naz-
wany imieniem naczelnika po-
wstania z 1794 roku. Mierne
kamieniczki, zawieszane nad nimi
szare niebo śniące skąpy
deszczem. Starsi panowie w
prochocach, niektórzy w gar-
niturach choć zimno przenikli-
we. Po południu zacznie padać
śnieg. Podjeżdża biało-żółty au-
tokar, otwierają się pneuma-
tyczne drzwi. Gest, którym wy-
prostowany, elegancki mężczyz-
na gasi papierosa: robi to sta-
rannie, bez pośpiechu, jakby
zacierzał za sobą ślad.

13.

Autokar przejeżdża przez
miasto. Smutek prowincjonal-
nej niedzieli, banalność dnia
spotęgowana pustką ulic. Lu-
dzie których dostrzega się po-
raz pierwszy i ostatni. P. mil-
czy, śledzi przesuwały się
oczami szpaler niskich kamie-
nic. Autokar mijając wysokie ko-
miny zakładów chemicznych,
roznosi się woń siarki. Czym
oddychają ludzie? Pojawia się
las. P. mówi coś do mężczyzny
siedzącego obok niego.

14.

Autokar przejeżdża przez
Spalę. Znowu las, a później
droga i rzeka obok siebie.
Przez jakieś trzy kilometry.
Świadomość, że tysiąc lat te-
mu prowadziła tędy ta sama
droga. Nie mogło być inaczej.
skoro z jednej strony jest rze-
ka, a z drugiej, wysoki poro-
śnięty lasem brzeg. Wydeptany
rąciami byłaby i końskim ko-
pytami trakt, podobnie jak o-
becna wąska asfaltowa stozą,
prowadził do Inowłodzi. Tam
rzeka rozstaje się z drogą. Au-
tokar wjeżdża w cichy las, po
kilku minutach pojawia się
młyn we Fryszce. To tutaj
cicho zapukali w noc z 29 na
30 kwietnia 1940 roku, a mły-
narz aż wzdrzgnął się, widząc
kto wyłonił się z ciemności.
„Poprowadzi pan?” — zapytał
major. Było ich ośmiastu.
resztki rozproszonych oddziału,
głodnych, łaknących schronie-
nia i snu widm. Żółto-białe
autokar jedzie jakby pod prąd
wydarzeń, które dopiero od te-
go młyna nabierają właściwej
dramaturgii. Oto ostatnia noc
i ostatni świt. P. jest jedynym,
który nadal przebywa tę dro-
gę.

15.

Autokar na koniec skręca w
leśne wertepy, toczy się wolno,
majestatycznie, ociera się o
gałęzie drzew. Nagle las traci
swoją monotonną kolorystykę, po-
jawiają się zaparkowane między
drzewami samochody, grupki
ludzi, widok do pewnego stop-
nia niezwykle, coś w rodzaju
pikniku w pobliżu miejsca, w
którym niegdyś zakiełkowała
śmierć. Jest kierzmasz książek i
wystawa obrazów. Obrazy za-
wieszane są na długim sznur-
ku rozciągniętym pomiędzy
drzewami. Na większości z nich
brzaski major galopuje na ko-
niu otoczony grupką ułanów.
Obrazy nie są duże i takież są
ceny na przypiętych doń kar-
teczkach. Obok drewniane, ni-
skie podium do wystaw. Lśni
pokryta wyczuwalną na twarzy
mżawką, na skraju lasu gran-
itowy obelisk. Tłum skupiony wokół niego.

16.

Rozmawiam z P.: „Mówi pan,
że jestem jednym z trzech o-
statnich hubalczyków, którzy
dotrwali do samego końca?
Może być... A którzy to jesz-
cze żyją? Rodziewicz i Alicki?
Nie ma ich tutaj. Nie przyje-
chali. Rodziewicz po wojnie
został w Anglii, Alicki od
dawna się nie jawia, mimo że
mieszka w kraju. Nie bierze
udziału w naszych spotka-
niach”. Jest czymś zaaferowa-
ny. Idzie w stronę szale-
rowy. Rozpięty płaszcz, mijając
kręcących się wszędzie ludzi.
Nikt z nich nie wie, że ten

zwalisty, podobny do omszale-
go pnia drzewa mężczyzna nie-
sie w sobie obraz, który oni
daremnie starają się sobie wyo-
brać. Żadne słowa nie zastę-
pią tego, co on może wywołać
pamięcią. Trzeba by zrekon-
struować wszystkie gesty, twa-
rze ludzi, ich zmęczenie, prze-
strach, a także zapach konskie-
go potu, odgłosy trąających
las kopyt, świst kul, krew i
przekleństwa. I szarość nieba
ustępująca powoli, nieba obo-
jętnego, wiecznego.

17.

„Ten las nie był taki, jak te-
raz. Przykrywał zaledwie ko-
nie i ludzi”. Szczupły mężczyzna
z wąsem przyczernionym hen
na podnosi rękę na wysokość,
do której sięgały drzewa.

18.

Tuż za plecami tłum rozpó-
ciera się pole pokryte zieloną
mgiełką wykluwającą się zbo-
ża. W odległości kilkuset me-
trów widać pojedyncze zabudo-
wania: dom, stodoła i rachity-
czny sad. Wszystko to zupełnie
nie ogrodzone. Zresztą po co?
Naokoło jest las. Nie ma ser-
ca do ceremonii, przy tym tak
zmoczonej uporczywą mżawką.
Szukam drogi do tamtego do-
mu. Tam dowiedziony był „der
trolle Major”, z miejsca, gdzie
znajduje się obelisk. Jakies
pięćset metrów. Zachowało się
zdjęcie zrobione przez niemiec-
kiego żołnierza: grupka żołnie-
rzy Wehrmachtu otacza unie-
sione nieco do góry za obo-
żucha oczwładne ciało majora.
„Hubal” ma lekkie rozchylone
usta i wpolprzymknięte po-
wieki. Nie żyje już? Tak
twierdzą podpisy pod zdja-
ciem. Zapewne stało się to nie-
dawno. Niewiele chwil przed
naciśnięciem migawki. Major
Dobrzański nie zginął od kuli
w anielńskim zagajniku. Kie-
dy pochylili się nad nim tro-
piacy oddział żołnierze Wehr-
machtu, żył jeszcze, był jedy-
nie ciężko ranny. Później wie-
czono go kilkaset metrów od
skraju lasu do samotnego o-
bejsca należącego do sołtysa
Laskowskiego. Niemcy kilka-
krotnie zatrzymywali się i
znęcali nad rannym. Iżąc,
bijąc go kolbami karabinów i
klując bagnietami. Zdjęcie nie
ujawnia, że major ma przekłu-
te bagnietą gardło. Laskowski,
kilkunastoletni wówczas, cło-
pak twierdzi, że zawleczony na
podwórkę domu Dobrzański da-
wał oznaki życia, ale był to
już stan agonii.

Kiedy tu dojeżdżam zaskakuje
mnie cisza. Dom z pustaków,
niedawno postawiony, jest zam-
knięty. Nikt nie odpowiada na
pukanie do drzwi. W odległości
kilku metrów stoi zaparkowa-
ny trabant. Nieco dalej dwa
małe flinty. Przez podwórkę
prowadzi polna droga, która tu
zanika, wtapia się w teren
wokół domu. Schodzę ze scho-
dów, zatrzymuję się niezdęcy-
dowanie. A kiedy zamierzam
odejść z powrotem nie nie u-
zyskawszy poza nieokreślonym
odczuciem szczególności tego
miejsca, dochodzi mnie cichy
chrobot otwieranych kluczem
drzwi. Na progu pojawia się
młody mężczyzna. Nie jest za-
skoczony tą wizytą. I z gory-
wco, o co chodzi. Pokazuje,
gdzie stała stodoła, przed któ-
rą Niemcy rzucili rannego „Hu-
bala” i gdzie następnie fotogra-
fowali się, by przejść do histo-
rii. To wszystko wie od swoje-
go ojca, owego kilkunastolet-
niego chłopca, dziś sześćdziesięci-
letniego mężczyzny. Zapra-
sza mnie do domu. Mam
zaczekać na jego ojca, który
poszedł na ceremonię pod la-
sem. Popijam herbatę, oglądam
sterkę wycinków prasowych i
książki, których treścią są wy-
darzenia sprzed wielu lat. To-
czy się rozmowa wypełniona
raczej teraźniejszością, jakbyś-
my spotkali się gdzieś indziej i
z zupełnie innego powodu. Dla
niego, to po prostu kawałek
niezbyt urodzajnej ziemi, miej-
sce uśpione, odludne. Historia?
Tak. Ale przede wszystkim ży-
cie. To, co oddziela ją zawsze.

19.

W trzy miesiące później, w
domu P. Dom jest piętrowy, z
czerwonej cegły. Stoi przy pe-
referyjnej ulicy w S.P. w drel-
chowym, roboczym uoraniu,
wnosi ze sobą zapach pszczoł i
uli, przy których pracował.
Gdyby wiedział, dlaczego tu
jestem! Przywiodła mnie obo-
wa, że mogę nie zdążyć... „Jak
pan tu dotarł?” — pyta. Chyba
dlatego, że od centrum miasta

jest tu rzeczywiście daleko.
Wyjaśniam, że podjechałem
miejscim strefowym autobu-
sem, który tu dociera. Kiwa
głową. „Okropnie nie lubię
chodzić pieszo — mówi. Fa-
ka kawalerska mania. Nawet jak
mam do przejścia kawałek dro-
gi, to muszę wsiąść na rower”.

20.

Slucham, jak P. opowiada o
tym, co wydarzyło się 45 lat
temu. Mówi wolno, z namasz-
czeniem, porusza własną pa-
mięć w sposób, w jaki rzeka
obraca młynskie koło. Twierdzi,
że wojsko było jego powoła-
niem, do tego stopnia, że w
dziecięcych latach marzyła mu
się służba w Legii Cudzoziem-
skiej. Na szczęście nie musiał.
został zawodowym podoficerem
w pułku ułanów. Wrzesień
wyrł mi się w pamięć udręka
stałych odwrótów. Grunt pod
nogami zapał a progu zimy,
kiedy stanął przed obliczem
człowieka w stopniu majora,
ubranego w biały półkonuszek,
którego ręka niecierpliwie ude-
rzała ramięmno pejemem a
cholewy długich oficerskich
butów. Kilka pytań, z jakiej
formacji, którego pułku i cich
uśmiechu na twarzy majora.
Major cenil kawalerzystów.
Sam należał do nich. Do woj-
skowej kurtki i piaszcza przy-
szły nasywki plutonowego.
Miał wrażenie, że doświadczam
wyjątkowego zrzadzenia losu. Z
niemieckich gazet dowadywał
się, że należy do bandy liczą-
cej sześć tysięcy ludzi. Wiele-
wesołości wywoływały wśród
nich te komentarze. Pamięta
plagę wsi w każdym zaka-
marku ciała, w ubraniu i w
bielźnie. Batowali się proszkiem
de-de-te przywołanym przez
dwie kurierki. Kiedy nie było
proszku, jedynym umiarkowa-
nym skutecznym środkiem była
końska derka wyciągnięta spod
siodła. Należało się w nią owi-
nać i zagrzebać w siano lub
słomie. Wszy nie znosiły zapa-
chu konskiego potu. Mno
wszystko, była to zwyrodnia-
służba wojskowa, czyli to, co
lubił. Wiosną Niemcy zaczęli
zarzucać na nich sieć. Nie
sprawdziło się skrycie pielęgn-
owane pragnienie, które prze-
filtrowało okupacyjną Polskę:
„Słoneczko wyżej, Sikorski bli-
żej”. P. rozkłada ręce w bez-
radnym geście. Z Warszawy
przyjechał podpułkownik Oku-
licki i w imieniu centrali za-
rządził rozwiązanie oddziału. Z
trzystu dwudziestu ludzi zos-
tało sześćdziesięciu kilku. To już
była agonia. W ostatnich dniach
kwietnia, po kilku starciach z
Niemcami, jest ich tylko o-
siemnaście. Do tamtego miejsca
pod Anielinem dotarli o świcie.
P. mówi: „Pojawio się cze-
rwo, jaskrawe słońce”. Byli
śmiertelnie zmęczeni. Sen aka-
zał się silniejszy od instynktu.
Bezludna strzelanina nad ranem
kładzie kres pewnej historii.

21.

P. pokazał mi dokument, któ-
ry zawierał lakoniczne uzasad-
nienie odmowy przyznania mu
Virtuti Militari. Mówił o tym
z zażenowaniem. A więc takie-
buty! Postanawiam zasięgnąć
języka. W kilkanaście dni póź-
niej wykrecał numer telefonu do
ZBoWiD-u. Klaruję, w czym
rzecz. Głos w słuchawce wy-
jaśnia, że Virtuti Militari jest
odznaczeniem bojowym, przy-
znawanym w czasie działań wo-
jennych. Gram va banque i
wyrażam wątpliwość, że niby
wiem o przyznaniu VM także
w czasach, kiedy rdzewiaja
miecze. Owszem — pada odpo-
wiedź — to jest możliwe, ale
gdy gdzieś tam zaginał wnio-
sek. Oczywiście, wydany w
latach wojny. Takie przypadki
bywały. Być może ten przypa-
dek, o którym „wiem”, należy
do tego sortu? Być może.

22.

Tego samego dnia idąc uli-
cą, słyszę to dające wiele do
myślenia skrzyp, skrzyp
czyichś wiekowych butów.
Rzecz jasna, nie należą one do
P. Lecz to ta sama generacja,
podobna filozofia życia i kto
tam wie, może baretką Virtuti
Militari na piersi?

WŁADYSŁAW
MALKA

Tekst nadesłany na konkurs
Łódzkiego Oddziału SP PRL,
KAW i „Odgłosów” „W środku
Polski, w środku życia”.

Jak polski agent „Brutus” wyprowadził w pole Adolfa Hitlera

(2)

Ktorego dnia w sierpniu 1943 do-
znałem ogromnej radości. Angli-
czycy uruchomili pewne urządzenie, zwa-
ne „System Ultra”, które pozwalało
im przechwytywać i rozszyfrowy-
wać wszystkie meldunki wymie-
niane między wojskami niemieckimi w Euro-
pie.

Pewnego dnia jeden z tych meldunków po-
zwolił zrozumieć ogromną wagę, jaką Abwehra
przywiązywała do jej pracy. Wszystkie infor-
macje, które wysyłałem do Paryża, były rze-
czywiście przekazywane tego samego dnia do
Berlina, do biura centrali wywiadowczej armii
niemieckiej z taką adnotacją: „źródło agent
bardzo ważny”. Dla mnie był to wielki sukces.
Anglicy wiedzieli odtąd, że zdobyłem całkowite
zaufanie Niemców. I z tej racji, na początku
1944 roku zdecydowali się użyć mnie w przy-
gotowanej operacji: „Overlord”.

— Czy to w tym czasie zaczął pan przekazy-
wać fałszywe informacje?

— Nie, Jeszcze nie. Operacja „Overlord” zo-
stała zdecydowana w styczniu 1944. Lecz dopie-
ro od marca tego roku rozpoczęto prawdziwe
przygotowania, gdy desant był nieuchronny.
Należało całkiem po prostu przekonać Niemców
o ogromnej, milionowej armii-widmie, z-
grupowanej w południowo-wschodniej Anglii,
naprzeciw Pas-de-Calais, która oczywiście nigdy
nie istniała — jedynie w mych meldunkach do puł-
kownika Reilego. Należało straszyć Niemców tą
armią. Powinni wyniosować z jej istnienia,
że desant będzie miał miejsce w rejonie Calais
i nigdzie indziej. A jeśli nawet nastąpi inny de-
sant, na przykład na wybrzeżu normandzkim, bę-
dzie to w rzeczywistości operacja myląca!

Alancji wiedzieli dobrze jakie ryzyko podej-
mują, próbując lądować na wybrzeżach fran-
cuskich. Niemcy dysponowali we Francji dużo
liczącym wojskiem i większą ilością czołgów
niż Brytyjczycy i Amerykanie mogli ich do-
starczyć. Jeśli Niemcy na „Dzień J” zdecydo-
waliby się skoncentrować swoje siły w Nor-
mandii, w rejonie lądowania katastrofa byłaby
nieunikniona. Należało więc, za wszelką cenę
powstrzymać od wysyłania posiłków a szczegó-
lnie dywizji pancernych stacjonujących na pół-
nocy Francji. Dla osiągnięcia tego celu, był
tylko jeden sposób: spowodować, ażeby wwie-
rzyli, że lądowanie w Normandii, do którego
przygotowania nie można było ukryć, będzie
jedynie preludium do prawdziwego desantu
przewidzianego w rejonie Calais. Czy pan mnie
rozumie?

— Rozumiem dobrze cel tej mistyfikacji, lecz
nie rozumiem, ciagle jak mógł pan umówić
Niemcom, którzy, mimo wszystko, nie byli głup-
cami, istnienie całej armii, która nie istniała.

— Wydało się to niewiarygodne, niepraw-
daż? A przecież wpadli w pułapkę. Trzeba po-
wiedzieć, że to Anglii opracowali całą kombi-
nację, i to w sposób absolutnie makiawelski i
szczegółowy.

Na początku, ta armia-widmo otrzymała naz-
wę: pierwsza grupa armii amerykańskiej. Po
angielsku: First US Army Group, czyli Fusag.
Ta formacja składała się z dwóch armii, pierw-
szej armii kanadyjskiej i trzeciej armii amery-
kańskiej. Dwadzieścia dywizji, w tym pięć
pancernych. Milion ludzi. A całość pod dowód-
stwem cieszącego się największym autorytetem
szefa: sławnego generała Pattona.

Z mej strony informowałem Niemców, że
właśnie zostałem mianowany oficerem łącz-
nikowym sztabu polskiego przy Pattonie i Eisen-
howerze; zajmowałem więc najlepsze miejsce
dla uzyskiwania najważniejszych informacji o
Fusag. Właśnie w tym momencie, ja, który od
początku nigdy nie przekazałem Niemcom naj-
mniejszej informacji nieprawdziwej, zacząłem
im przekazywać raporty coraz dłuższe.

Dawałem im kawałek po kawałku, wszystkie
elementy puzzle (układanki) co pozwoliło im
namieścić, na ich mapie Anglii, kompletne roz-
mieszczenie tej armii-widma. Przekazałem więc
kolejnie siedem dużych raportów, wszystkie
całkowicie fałszywe.

— Podjął się pan ogromnego ryzyka.

— Tak, ogromnego. I to nie zapominając o
mych 64 przyjaciół, których los miałem za-
decydować. Jeśli Niemcy zorientowaliby się w o-
szustwie, nie tylko „Overlord” spaliłby na pa-
newce, co dla Aliantów byłoby straszną kata-
strofą, lecz również moi towarzysze, służący za
zakładników, zostaliby rozstrzelani. Lecz Angli-
cy naprawdę wszystko przewidzieli. Na przy-
kład, samochody-radiościgające krążyły bez przer-
wy w regionie, który miała zajmować nasza
armia-widmo, wysyłając setki tysięcy meldun-
ków, jakie armia rzeczywista musi emitować:
z naczelnego dowództwa do szefów korpusów,
od nich do ich podwładnych, i dalej aż do po-
ziomu dowódców batalionów. A oprócz tego
dowcipy, protesty w sprawie aprowizacji, któ-
ra nie docierała na czas, kłótnie personalne, słow-
em wszystko to, czego można oczekiwać w po-
dobnej organizacji. Oczywiście, Niemcy byli na
podstęgu, i byli stopniowo przekonani, że ta
nadzwyczajna aktywność odbywała się z drugiej
strony Kanalu na wysokości Calais.

Mogli również zapytać swoich pozostałych
agentów, rozmieszczonych w Anglii, o szczegó-
ły w takim lub innym punkcie. Lecz ci agenci
mogli jedynie potwierdzać moje raporty: wszy-
scy oni byli kontrolowani przez Anglików, o
czym oczywiście Niemcy nie mieli absolutnego
pojęcia. Poza tym były bombardowania. Alanc-
ci wysyłali coraz więcej samolotów bombardu-
jących niemieckie pozycje obronne w całej pół-
nocnej Francji.

Organizację ruchu oporu otrzymały również
rozkaz nasilić do maksimum akcje sabotażowe
w tym regionie. Wszystko to utwierdzało Niem-

ców w ich przypuszczeniach: jakaś bardzo po-
ważna sprawa przygotowuje się na kierunku
Pas-de-Calais!

— Lecz co pan powie o obserwacjach do-
wiedźnych? Wystarczyło przeczenie nad tym
obszarem, żeby stwierdzić, że nie ma tam ar-
mii!

— Ależ tak! Ona tam była! Całkowicie fikcyjna,
naturalnie. Angliści wyprodukowali u Goodyeara
w USA tysiące sztucznych czołgów, samochod-
ów, samolotów, bardzo dobrze odrobionych, z
nadmuchiwaną gumą. Przywieźiono je po kil-
kanaście w samochodach do przewidzianych
miejsc i następnie nadmuchiwało. Złudzenia
było pełne.

Widzi pan, wszystkie te szczegóły miały je-
dyńce potwierdzać prawdziwość moich rapor-
tów. Przez cały czas mieliśmy dowody, że Niem-
cy nigdy nie mieli najmniejszego podejrzenia.
Wierzyli naprawdę w istnienie tej armii-widma
i przygotowywali się ze wszystkich sił do przy-
jęcia ataku od strony Calais i do odrzucenia go.
Jak podkreślił to generał Jodl, szef sztabu ge-
nerała Hitlera komentując jeden z mych ra-
portów: „Praca tego agenta pozwala nam roz-
szyfrować przygotowywany plan inwazji Ahan-
tów”.

— Ostatecznie, nadchodzi 6 czerwca: lądowa-
nie w Normandii. Wszystko rozegra się w ciągu
kilku dni: fantastyczne zagranie pokerowej de-
sji Niemcy będą w dalszym ciągu panu wie-
rzyć, zwycięstwo jest zapewnione. Jesli dostrze-
ga, że pan ich oszukał, rzucą wszystkie swe
siły do Normandii i Alancji będą zniszczeni.

— Tak jest. Lecz należy przeczytać książkę
Larry Collinsa, żeby stwierdzić do jakiego stop-
nia Niemcy byli otumanieni przez „Overlord”,
jak bardzo wahał się i byli podzieleni. Na
przykład, o świcie 6 czerwca, von Rundstedt
wydał rozkaz dwóm dywizjom pancernym, sta-
cjonującym o sto kilometrów od wybrzeży nor-
mandzkich, posuwać się w kierunku miejsc lą-
dowania. Lecz za niciecia godzinę rozkaz ten
został odwołany przez Berlin. Jodl rozkazał
obu dywizjom zatrzymać się. Musiały pozostać
w rezerwie przeciwko desantom z Pas-de-Cal-
ais, który nigdy nie nastąpił!

— Jaka była pana rola po 6 czerwca?

— Kontynuowałem swoją grę. Co mogłem
robić innego? Na początku, wieczorem tegoż 6
czerwca, wysłałem meldunek, który można na-
prawdę uznać jako historyczny: „Dzisiaj wi-
działem na własne oczy generała Eisenhowera
towarzyszącego królowi Jerzemu IV i Chur-
chillowi składających wizytę Pattonowi w Dover,
dowódcy Fusag”. To, że król pojechał do Do-
ver w tym samym czasie, gdy wojska alian-
skie walczyły desperacko w Normandii, wskazy-
wało bezspornie, że przygotowuje się w Do-
ver inna operacja, jeszcze ważniejsza. Poł
godzinę później dowiedziałem się, że mój raport
znalazł się na biurku Hitlera.

To dobrze, że udało się nam doprowadzić
Niemców do wahań. Kilkakrotnie von Run-
dstedt próbował odzyskać inicjatywę, wycofu-
jąc z północy i wysyłając posiłki do Norman-
dii. Lecz za każdym razem jego rozkazy były
kontrowane przez Berlin.

I ostatecznie, 10 czerwca, Hitler podjął nie-
odwołalną decyzję: nie tylko, że sprzeciwił się
osłabieniu swej armii na północy Francji, lecz
rozkazał, aby dwie dywizje pancerne SS wró-
ciły jak najszybciej z Polski, aby ją wzmocnić.
Wierzył ciagle, że Patton był gotowy do lądo-
wania w Calais i chciał być przygotowany na
jego przyjęcie.

W tym czasie wojskom Eisenhowera udało
się solidnie ułokować w Normandii. Operacja
„Overlord” osiągnęła sukces przewyższający
nadzieje jej twórców.

— A co stało się z pana 64 towarzyszami, w
dalszym ciągu zakładnikami Niemców?

— To właśnie dla próby uratowania ich w
dalszym ciągu przekazywałem wiadomości
Niemcom. Najpierw dałem im do zrozumienia,
że Alancji, szczęśliwie zaskoczeni swym sukces-
em w Normandii, opóźnili nieco swą operację
w Calais. Następnie, poinformowałem o roz-
bieżnościach między Eisenhowerem i Montgo-
merym (co wcale nie było kłamstwem!) Słow-
em, próbowałem uzyskać na czasie. Niepraw-
dopodobnie lecz prawdziwie: Niemcy nigdy mnie
nie podejrzewali. Uspokojony przez Reilego co
do losu mych zakładników, wysłałem mu jesz-
cze przez kilka miesięcy sporadyczne infor-
macje. Następnie, na początku 1945 zerwałem
ostatecznie kontakt wyjaśniając, że zostałem
przeniesiony na jakiś czas do Szkocji, i że tam
nie będę mógł na nic się przydać.

— I wtedy ukrył się pan w anonimowości,
strzegąc aż do ostatnich miesięcy swoja fan-
tastyczną tajemnicę... A co stało się z tymi 64
francuskimi przyjaciółmi?

— Według moich wiadomości, wszyscy oprócz
jednego przeżyli i zostali uwolnieni z końcem
wojny. Lecz nigdy, aż do ostatnich czasów, nie
rozumieli co im się przytrafiło, dlaczego gesta-
po tak ich oszczędziło.

— A czy pan widział się z nimi po tych wy-
darzeniach?

— Nie, Nie widziałem jeszcze żadnego. Nie
wiem również, ilu z nich jest jeszcze na tym
świecie! Lecz marzę, żeby ich zebrać pewnego
dnia, dokoła mnie. Czyż nie są po trosze moi-
mi dziećmi?

Tłumaczył:
W. L. KOBIELA
(według „Paris Match”)

Lato 1985 roku miało być ostatnim sezonem turystycznym w Swinoujściu. Niedawna „Perła Bałtyku” — uzdrowisko o rzadkich walorach klimatycznych znalazło się na krawędzi ekologicznej katastrofy. Wieleletni niekontrolowany rozwój przelotowy uroczysk kurortu w portowo-wczasowo-przemysłowym mołoch nad cudnym szambem zwanym Zalewem Szczecińskim. Skutkiem rabunkowej eksploatacji złóż glinowych zniszczono i prawie wyczerpano naturalne zasoby wody pitnej. W interesie stałych mieszkańców i permanentnie gwałconej przyrody miasto zamyka bramy dla turystów. Uchwała Miejskiej Rady Narodowej w Swinoujściu nakazuje drastyczne ograniczenie wczasowych funkcji uzdrowiska, aż do czasu zagwarantowania mu odpowiednich dostaw wody pitnej. („Odgłosy” nr 43 z 28 października 1985 roku — „Obecny wstęp wzbroszony”).

Ale decyzja władz, która daje miastu szansę przetrwania, natrafia na zdecydowany sprzeciw ekonomicznie zagrożonych stron. W twardej opozycji stała zwartym szeregiem przemysłowe giganty z południa kraju, niektóre federacje związków zawodowych, właściciele prywatnych pensjonatów i wszyscy ci, którzy mają w Swinoujściu obiekty wczasowe. Skargi, zażalenia i odwołania lawinowo płyną do wojewody szczecińskiego, Wojewódzkiej Rady Narodowej, do ministerstw, Rady Państwa, organizacji społecznych. Ich nadawcy domagają się natychmiastowego cofnięcia uchwały, która każe zrezygnować z letnich urlopów nad morzem. Mało kto chce zrozumieć, że z powodu „głupiej” wody trzeba zaciąć pas. Prośby i groźby nie zmieniają decyzji radnych ze Swinoujścia.

W grudniu 1985 roku Wojewódzka Rada Narodowa w Szczecinie uchyla ratunkową decyzję swinoujskich ojców miasta uznając, że jest ona niezgodna z obowiązującym prawem. Lecz odrębne veto nie przysparza usychającemu miastu ani odrobiny życiodajnej cieczy. Jest za to woda na młyn bezstronnych właścicieli wczasowych ośrodków, którzy pełną parą wchodzi w nowy, bezpardonowo wywalczony, otwarty sezon turystyczny. „Zwycięcy” czują się silni — silniejsi od natury. Trwa jawna i ukryta rozbudowa wczasowej bazy. Ludzie interesu nie chcą pójść dla ratowania nadmorskiego miasta. Jakby nie rozumieć, że ignorowana przyroda mści się okrutnie.

Największy polski kurort wbrew własnej woli kontynuuje obłąkaczy lot ku niechybnej zagładzie. Jego mieszkańcom, którym wytracono, oraz samoobrony, pozostała jedynie modlitwa o deszcz.

DROGA DO KŁĘSKI

Swinoujście leży na wyspie otoczonej słonymi wodami Zalewu Szczecińskiego. Jedynym naturalnym źródłem wody pitnej dla miasta są urobki ze złóż powstałe z opadów atmosferycznych. Dla dwudziestotysięcznego niegdyś miasteczka złoże to w zupełności wystarczało. Ale Swinoujście rozwija się w tempie szybszym niż nakazuje zdrowy rozsądek i warunki naturalne. Z roku na rok male nadabitych uzdrowisko przepoczwarza się we wczasowo-przemysłowy kombinat. Wyrastają kompleksy domów wypoczynkowych, sanatoriów, pensjonatów, szpitali. Obok nich rosną obiekty towarzyszące — stolówki, restauracje, sklepy, pralnie. Za plecami uzdrowiska rozkwita wielki przemysł — fabryki mączki rybnej, przetwórcze, stocznie. Rosnie zespół portowy i baza rybacka. Niebawem miasto doliczy się czterdziestu tysięcy mieszkańców. Kilkakrotnie zwiększa się zapotrzebowanie na wodę pitną. Dwa istniejące ujęcia nie mogą już zaspokoić smoczego apetytu ludzi i przemysłu.

Miasto usilnie poszukuje nowych źródeł wody pitnej. Za wszelką cenę. Pojawia się kompletnie godziwa wyobraźnia koncepcja wypompowywania wody zalegającej w korzeniach drzew Wolńskiego Parku Narodowego. Swinoujście zamierza okradać przyrodę pompując sześćset metrów szczeniennych życiodajnego płynu na dół. Badania hydrologiczne wykazują, że spełnienie zachcianek kurortu w szybkim tempie może doprowadzić do spadku poziomu wód gruntowych pod Parkiem aż o sześć metrów, co zamieni bażę zieleni w stonę pustynię. Centralny Urząd Geologii nie wyraża zgody na ten zbrodniczy plan. Mimo to budżet miasta systematycznie przeznaczają spore kwoty na próbną odwierty i pompowanie parkowej wody.

Intensywne badania geologiczne na wyspie Uznam kończą się fiaskiem. Trzyletnie poszukiwania złóż wody na wyspie Wolin również nie przynoszą oczekiwanego sukcesu. Swinoujście zapada na długotrwałą chorobę niedostatków słodkiej wody.

Rok 1975. Doraźnym sposobem złagodzenia kryzysu może być budowa trzeciego glinowego ujęcia wody z już eksploatowanych pokładów. Zapada decyzja uruchomienia stacji pomp w Wydrzanach. Lecz zanim to nastąpi, pojawiają się pierwsze symptomy nadciągającej klęski ekologicznej. Z kranów w lewobrzeżnej części miasta płynie słona woda. Oznacza to, że skutkiem bezwzględnej rabunkowej czerpania wody z glinowego ujęcia nastąpiła jego degradacja, czyli naruszenie równowagi między soczewką wody słodkiej a zalegającymi pod nią pokładami cięższej wody morskiej. Pompy zostają zatrzymane. Wzrasta deficyt wody.

Rok 1979. Konsekwentnie ignorowanie praw natury omal nie doprowadza do dramatu. Późny kombinat wczasowy znacznie przekracza dopuszczalne limity poboru wody glinowej, co powoduje, że poziom solanki w złóżach podnosi się o kilka metrów, groźba degradacji kolejnego ujęcia. Pokłady wody słodkiej mogą nabywać tylko deszcze. Trzeba ograniczyć pobór wody aż o połowę.

Rok 1983. Centralny Urząd Geologii określa średni dopuszczalny pobór wody z ujęć glinowych Swinoujścia. Racjonalna gospodarka pozwala na czerpanie pięćset siedemdziesięciu metrów szczeniennych wody w ciągu godziny. Potrzeby miasta wynoszą ponad osiemset metrów szczeniennych. Deficyt sięga prawie trzydziestu procent.

Swinoujście podejmuje dalsze starania w celu odkrycia nowych źródeł wody pitnej. Poszukiwania geologiczne przenoszą się na ląd stały. Niestety kolejne próbne odwierty dają wyniki negatywne — natrafiono jedynie na pokłady wody o zasoleniu przekraczającym zasolenie

Miasto i woda

Wyrok na Swinoujście jest prawomocny

ROMAN KUBIAK

morza. Ostatnia szansa miasta wydaje się być niezwłoczna budowa wodociągu z odległego o czterdzieści kilometrów jeziora Ostrowo. Projekt upada z powodu gigantycznych kosztów realizacji — sześć miliardów złotych.

Nie skutkują apele kierowane do obywatelskiej świadomości mieszkańców ani limity narzucone fabrykom i ośrodkom wczasowym. Prezydent Swinoujścia wydaje kolejne rozporządzenia porządkowe. Za podlewianie ogródka, mycie samochodu i czerpanie wody z ulicznego hydrantu grozi kara pięćdziesięciu tysięcy złotych. Kąpiel w wannie dozwolona jest tylko po godzinie dwudziestej drugiej, zaś możliwa tylko wówczas, gdy centrala dyspozycji wlaży dopływ wody do osiedla. Przemysł płaci drakońskie kary za nieprzestrzeganie limitów. Ale duże nawet pieniądze nie są tak cenne jak zwykła woda.

Rok 1984. Woda w prawobrzeżnej części miasta nie odpowiada normom sanitarnym: jest słona, mętna. Przemysł ciągle zwleka z podjęciem starań oszczędnościowych. Władze Swinoujścia nie kryją, że noszą się z zamiarem wprowadzenia w życie decyzji radykalnych — być może nawet zamknięcia placówek wczasowych. Ale rozpedzona machina inwestycyjna sama nie potrafi uruchomić hamulców bezpieczeństwa. Bogate instytucje z gieł kraju mające w Swinoujściu swoje ośrodki wypoczynkowe uparcie je rozbudowują, chociażby pod pozorem modernizacji. Narasta konflikt interesów między stałymi mieszkańcami i turystami. Po ulicach miasta krąży radiofonizowane samochody, z głośników których płynie apele o oszczędzaniu wody. Coraz wyraźniej wyczuwa się nadciągającą katastrofę.

SZOK

Rok 1985. Pomysł dowożenia wody do Swinoujścia okazuje się nierealny — po prostu nie ma jej skąd brać. Całe Pomorze Zachodnie cierpi na tę samą dolegliwość niedostatków czyściej słodkiej wody. Miasto nie posiada środków na kompleksowe rozwiązanie problemu ani też sprzymierzeńców w walce o byt. Za-

pada więc decyzja, która zapasł musi. 4 lipca Miejska Rada Narodowa w Swinoujściu podejmuje bezprecedensową uchwałę.

„Do czasu zagwarantowania odpowiednich dostaw wody pitnej dla mieszkańców miasta — w celu zabezpieczenia odpowiedniego stanu sanitarnego, a także ochrony istniejących ujęć wody i utrzymania równowagi przyrodniczej (...) z początkiem sezonu 1986, aż do odwołania uchwała się ograniczenie ruchu turystycznego z wczasowego, zorganizowanego i indywidualnego”.

W praktyce oznacza to zmniejszenie ilości miejsc w domach wczasowych, zamknięcie pola namiotowego, likwidację kilkudziesięciu tysięcy kwaterek prywatnych oraz zawieszenie działalności sanatoryjnej w obiektach zakładów pracy od października do maja każdego roku. Jednocześnie nieogłoszone miasto gwarantuje dostawę wody pitnej dla uprzywilejowanych placówek wczasowych, ale tylko w okresie czterech miesięcy sezonu letniego.

Decyzja MRN wywołuje szok i... oburzenie. Po stronie władz opowiadają się wyłącznie mieszkańcy uzdrowiska, którzy nie czerpią dochodów z turystyki. Dla nich uchwała jest szansą na normalne codzienne życie bez konieczności dzielenia się wodą z wczasowiczami. Jest szansą na szybszy rozwój budownictwa mieszkaniowego, dotychczas stopowanego z powodu braku wody i zawsze pilniejszych potrzeb turystycznych. Po drugiej stronie „barykady” staje blisko półtora tysiąca osób, głównie kobiet, zatrudnionych przy obsłudze sanatoriów i obiektów wypoczynkowych. Dla nich uchwała oznacza bezrobocie. Pomstują właściciele kwaterek prywatnych, agenci małej i dużej gastronomii, taksówkarze — którym decyzja władz likwiduje kokosowe interesy.

Najgłośniejsi protestują dyrekcje wielkich przedsiębiorstw: śląskich hut i kopalń oraz stołecznych zakładów pracy. One to dysponują w Swinoujściu najokazalszą bazą wypoczynkową. Padają ostre słowa protestu często wspierane nie tylko ekonomicznymi argumentami. Przerazający jest fakt, że niewielu usiłuje pojąć rzeczywistość powagi sytuacji i uzmysłowić sobie konsekwencje dalszego gwałtu na naturze.

Przedsiębiorstwu Usług Turystycznych „Pomerania”, któremu lipcowa uchwała odbiera piętnaście tysięcy miejsc wczasowych, grozi bankructwo. Kierownictwo „Pomeranii” oskar-

ża swinoujskich radnych o podejmowanie zaślepienych decyzji godzących w interesy reszty kraju. Doświadczeni organizatorzy ruchu turystycznego twierdzą, że nie ma siły na zażalenie napływu turystów indywidualnych — chyba żeby przy wejściu na przystawki uboższe warty. Inaczej goście znajdą noclegi w „długich” kwaterek, których ilość można śmiało szacować na ponad trzydzieści tysięcy. Wszelkie dochody z turystyki trafiały wówczas w prywatne ręce, a nie do kasy miasta.

Zespół szpitali i sanatoriów — „Uzdrowisko Swinoujście” nie przyjmuje do wiadomości rozporządzeń gospodarzy miasta. Uzdrowisko leczy chorych górników, chemików i metalowców. Po sezonie letnim dzierżawi obiekty wczasowe zakładów pracy, które w myśl ustawy mają być zamknięte. Likwidacji powinien ulec również zakład przyrodolecniczy obsługujący trzy tysiące pacjentów. Dyrekcja uzdrowiska składa zażalenie do Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej oraz wnioskuje o skontrolowanie legalności uchwały MRN przez Wojewódzką Radę Narodową w Szczecinie.

Protesty i odwołania napływają do Urzędu Miasta Swinoujścia. Ich nadawcy liczą na niekonsekwencje terenowych władz. Proszą o wyjątkowe przywileje dla własnych ośrodków wczasowych, domagają się statusu nietykalności, obiecują pomoc w zamian za ustępstwa, grożą... Przyzywają emisariusze z całego kraju. Ale ojcowie miasta są stanowczy. W ślad za uchwałą, Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Swinoujściu wypowiada właścicielom ośrodków wczasowych dotychczasowe umowy o dostawę wody. Ten krok wzniesie otwartą „wojnę”.

W IMIĘ WYGODY

Zakreślenie wodociągów kurków praktycznie zmusza wczasowiczów do rezygnacji z urlopów nad morzem. Dyspocenci ośrodków wypoczynkowych jednomyślnie odrzucają takie rozwiązanie. Szukają sojuszników w walce z władzami nieogłoszonego kurortu, zabiegają o wsparcie ministerstw, Rady Państwa, wojewody szczecińskiego. Powstaje zwarty „front odnowy”.

Niektórzy idą jeszcze dalej. Przedsiębiorstwo Przemysłu Chemicznego „Monto-Chem” z Gliwic, oznajmia, że wprowadzenie antywczasowej ustawy zmusza je do wkroczenia na drogę postępowania sądowego. Łabędzi „Rumar” zwracają gwizdząc sobie na lokalne zakazy i spokojnie kontynuują wznoszenie amachu ośrodka wczasowego.

Instytucje o mniejszej sile przebiecia próbują znaleźć kompromis. Wielu deklaruje chęć ograniczenia swej bazy wypoczynkowej oraz umiarkowanie przestrzeganie limitów oszczędnościowych. Kaliszy budowlani ofiarują pomoc przy realizacji inwestycji wodociągowej. Podobne wnioski zgłaszają zakłady pracy z Katowic i Wrocławia. Miejska Rada Narodowa w Swinoujściu proponuje utworzenie specjalnego funduszu celowego na rzecz budowy przyszłego wodociągu, którego koszt przekracza zdolności finansowe miasta i regionu.

Najcięższe zarzuty formułują związki. Federacja Zakładowych Organizacji Związkowych Pracowników Państwowych Przedsiębiorstw Uzdrowiskowych PRL oskarża swinoujskich radnych o pozbawienie pracy dwóch tysięcy osób zatrudnionych w sanatoriach. Spor trwa, wody w ujęciu nie przybywa, władze miasta twardo podtrzymują swą decyzję.

30 października 1985 roku przewodniczący MRN w Swinoujściu Lsk uzasadnia nieugięty postawę władz, w piśmie skierowanym do WRN w Szczecinie:

„Zdaniem Rady zostały wyczerpane wszystkie środki organizacyjne i interwencyjne będące w jej dyspozycji, w zakresie pogarszającego się stanu zaopatrzenia miasta w wodę. W tej sytuacji każda próba kwestionowania podjętych przez Radę działań, a nie wskazująca na inne szybkie kierunki rozwiązywania występującego problemu, jest tylko próbą formalną, nie ma ona znaczenia, ani nie odpowiada na pytanie, jak uniknąć próby ekologicznej w mieście”.

Lecz Wojewódzka Rada Narodowa najwyraźniej nie chce ratować „usychającego” kurortu. 18 grudnia 1985 roku w Szczecinie zapada decyzja uchwalenia lipcowej uchwały radnych ze Swinoujścia, jako niezgodnej z normami prawnymi.

Ruszą przygotowania do nowego sezonu turystycznego. Być może ostatniego...

CORAZ BLIŻEJ TRAGEDII

Szczecin obiecuje, że wystara się o środki finansowe na doprowadzenie wody do uzdrowiska. Zadania inwestycyjne zostały ponownie wprowadzone do projektu planu centralnego. W najlepszym razie minie kilka długich portnych lat, zanim z kranów pocieknie słodka woda. Dziś inwestycja taka pochłonie już nie sześć, a dwadzieścia miliardów złotych. Trzeba wybudować zbiornik retencyjny, oczyszczalnię ścieków i czterdziestokilometrowy wodociąg. Swinoujście lęka się, że do tego czasu zostanie po nim skansen na pustyni.

Póki co władze wojewódzkie proponują miastu znacznie tańsze rozwiązanie doraźne — prowizoryczny wodociąg z Miedzyzdrojów. Ale Miedzyzdroje, które jako jedyne na Pomorzu Zachodnim mają jeszcze rezerwy wody pitnej, wypompowują ją spod Wolńskiego Parku Narodowego. Ekologowie uderzają na alarm: dalszy ubytek wody wysysanej z korzeni drzew zabije parkową przyrodę!

Tymczasem popychane do samobójczej śmierci uzdrowisko z trwogą spogląda w najbliższą przyszłość. Jeszcze rok, może dwa lata... A co potem? Zalew Szczeciński już teraz jest wielkim zlewiskiem, którego gęste wody zawierają niespotykana w skali świata ilość metali ciężkich i związków toksycznych. Niebawem trzeba będzie zamknąć plażę i... modlić się o deszcz.



Foto: Grzegorz Galasiński

Mieszkają wystarczająco wysoko, aby wzrokiem sięgać ponad dachami Warszawy. Jadwiga prowadzi mnie do okna, które przez kontrast z maleńkim pokoiem przy ulicy Wawelskiej wydaje się być prawdziwym oknem na świat i skąd w słoneczne dni naprawdę można ujrzyć stopy Pana Boga.

— Zobacz jak blisko mamy do opery i do Akademii Muzycznej — pokazuje — a tam Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście. Wiesz Kościół Świętego Krzyża. Widzisz, pod względem położenia to nasze małe mieszkanko jest idealne. Tylko, że takie maleńkie — wzdycha.

Mieszkanie stryjcznego wnuka Witkacego — MACIEJA WITKIEWICZA, w którym mieszka z żoną, śpiewaczką operową JADWIGĄ GADULANKĄ i trzyletnią córeczką Emilką jest istotnie niewielkie, lecz urok gospodarzy, atmosfera jaką potrafili wytworzyć, sprawiły, że nie tylko nie czułem ciasnoty, ale także miałem wrażenie, że przeniosłem się gdzieś daleko w czasie i w przestrzeni. Warszawa, Polska, 1986 roku, to zostało za nami, jako coś nieokreślonego; bo mimo, iż razem nie mamy nawet siedemdziesięciu lat, to przez wspomnienia ożyły cienie przedwojennego Zakopanego. Maciek był po premierze opery, w której śpiewał główną partię, lecz chociaż zmęczony, powoli rozkręcał się opowiadając o rodzinie Witkiewiczów. Ze ściany przyglądali nam się rodzice Witkacego.

— Te dwa portrety są właściwie ostatnimi pamiątkami, jakie mi pozostały po Witkacym. Resztę rozdaliśmy, do Muzeum w Zakopanem, do Muzeum Literatury i tak dalej. To jest ojciec Witkacego — Stanisław. Mimo dość surowego wyrazu twarzy człowieka zmęczonego życiem, był to wspaniały artysta, pełen fantazji i wyobraźni twórczej, łagodny, kochający ludzi. A matka — no cóż, ktoś musiał się zajmować domem. Przyzwyczajona była do tego, że pieniądze na życie ona musi zapewnić rodzinie, dając lekcje gry na fortepianie i prowadząc pensjonat.

— Oddaliście „Witkiewiczówkę”?

— Oddaliśmy „Witkiewiczówkę”, porożdawiałyśmy pamiątki, obrazy. Ostatnio kustosz „Atmy” poprosił mnie o „coś”, co należało do Witkacego. Podarowałem mu ciupagę, którą ponoć Witkacy dostał na chrzcie od ojca chrzestnego Jana Krzeptowskiego Sabaty.

— Matką chrzestną była Helena Modrzejewska.

— Tak. Od niej prezentem był zegarek „cebulka”. Nawet kiedyś sfotografował się z nią Witkacy. Jest taka fotografia z lat trzydziestych.

— Portrety rodziców są bardzo realistyczne. Musisz wiedzieć, że Witkacy nie deformował nikogo z rodziny. Miał do niej bardzo ciepły, serdeczny stosunek. Prowokacje i deformacje zostawiał dla innych — na pewno nie dla rodziców, których bardzo kochał.

— Jaki był wzajemny stosunek ojca i syna?

— Stanisław Witkiewicz był wspaniałym artystą. Za takiego uważała go cała rodzina, której był chlubą. Sam wychowywał syna, a ten od małego chłopca był dzieckiem szczególnym. Zastanawiające są jego lektury, jego wnikliwe obserwacje i wnioski wypływające z towarzyszenia dorosłym, ich rozmowom. Kolekcje kamieni, możył, przeróżnych przedmiotów, które każdy chłopak w tym wieku zbiera, były jak najdokładniej systematyzowane. Stanisław chciał wychować syna na artystę. To pewnie, że jeżeli Witkacy miał być prawdziwym artystą, w pełni oryginalnym i twórczym, a nie tylko „kopista” i kontynuatorem stylu ojca, to musiał dojść do konfliktu. Tym bardziej, że obydwoj byli tak silnymi osobowościami.

To był konflikt dwóch artystów, a nie ojca z synem. Witkacy ratował samego siebie jako artystę i dlatego odszedł od modelu proponowanego przez ojca.

— Był za to potępiany?

— Nie. Stanisław jako artysta rozumiał inną rolę syna. Mógł nie akceptować jego drogi rozwoju twórczego, ale miał dla niej zrozumienie. To nie był ten typ człowieka, dla którego każda inność, odstępstwo od jego przekonań było czymś niebezpiecznym, czymś co należało potępić. Sam był przecież artystą. Poświęcił się sztuce i nie chciał zarobić na życie. Gdy był bardzo chory, a zaista konieczność wysłania go za granicę, na kurację, to tylko dzięki akcji Sienkiewicz i zebraniu przez niego odpowiednich funduszy mógł wyjechać do Szwajcarii.

— Chyba nie wszyscy członkowie rodziny mieli taki „ojcowski” stosunek do Witkacego?

— Mój ojciec, który był synem pastierbicy Stefana Zeromskiego, córki Oktawii Zeromskiej, reagował bardzo gwałtownie na moje zachowanie, które jego zdaniem było zbyt ekstrawaganckie. Mawiał, że „już jednego blazna mieliśmy w rodzinie”. To przecież wystarczy za komentarz do jego opinii o Witkacym. Owszem byli i tacy, którzy uważali Witkacego za kome-dianta, wariata, blazna, erotomana i tak dalej, ale naprawdę to większość rodziny rozumiała go i lubiła. W końcu zachowanie Witkacego było reakcją na szorstkość, na nieszczerłość ludzi w kontaktach między sobą. Mój dziadek, który zresztą był wspaniałym architektem — Jan Koszczyk-Witkiewicz i jego siostra Maria, zwana przez nas „ciotką Dziudzia”, nie tylko podziwiali i cenili Witkacego, ale także i starali się we mnie rozwijać te talenty, czy inklinacje artystyczne, które ojciec uważał za zbyt „blazeńskie”. Wiele godzin spędziłem w pracowni dziadka, rysowałem razem z nim. Towarzyszyłem mu przy desce, gdy kreślił projekty. Także ciotka „Dziudzia”, która była rzeźbiarką starała się rozwijać moje zamilowanie plastyczne.

— Porzuciłeś jednak rysunek?

— Każdy z nas musi znaleźć własną drogę życia i rozwoju twórczego. Ja znalazłem ją w muzyce, w sztuce wokalne.

— Twój dziadek, Jan Koszczyk-Witkiewicz, współpracował z ojcem Witkacego — Stanisławem?

— Jan Koszczyk jest bardzo ciekawą postacią, która wciąż czeka na to, aby ktoś się nią zajął dokładnie, zbadał i opisał. To był człowiek, który większą część życia, a urodził się w 1881 roku, zmarł w 1958, walczył o swoje ideały i musiał się ukrywać przed represjami. No a poza tym, a może przede wszystkim, był znanym architektem i konserwatorem zabytków. Między innymi dwukrotnie prowadził prace konserwatorskie romanskiego kościoła w Turmie pod Łęczycą. Jako architekt starał się wypracować „polski styl narodowy”. Chętnie stosował w swoich projektach stylizowane motywy ludowe. Dziełem jego życia jest gmach Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie

i SGPiS. A przecież to on zbudował Stefana Zeromskiemu „Chate” i „Ochronkę” w Nałęczowie.

— A w Zakopanem?

— Sanatorium przeciwgruźlicze dla dzieci. No i „Witkiewiczówka” jest wspólnie budowana przez niego razem ze stryjem Stanisławem.

— Skąd wziął się Koszczyk przy nazwisku Witkiewicz?

— Dziadź Ignacego Witkiewicza, dziadka Witkacego, starosta zaręczył się z Antonim Koszczykiem. Związana z nim jest mroczna historia. Na ile prawdziwa trudno orzec. Ten prawnik bardzo pragnął mieć potomka płci męskiej. I wreszcie, pewnego roku urodził mu się syn. Nieszczęśliwym trafem matka, która karmiła dziecko usnęła w trakcie karmienia, przycisnęła je swoim ciałem i udusiła. Koszczyk wpadł w szal i dziewczynę żywcem pogrzebał. Na brzegu jakiegoś jeziora czy rzeki. Podobno od tej pory ścigają tam jakieś duszy potępionej. Antoni Koszczyk targany wyrzwaniami nie tylko kościół i klasztorzy fundował, ale i miał do Rzymu i do Ziemi Świętej w pielgrzymce pokutnej wyruszyć.

Cienie minionego świata

Rozmowa ze stryjcznym wnukiem Witkacego — MACIEJEM WITKIEWICZEM.

Maciek na chwilę znika za ścianą. Słychać szmer przesuwanych pudeł. Wychodzi stanąć z ciemną szkatułką, z której wyciąga papier zwinięty w rulon. Rozwija go przede mną.

— To jest całe nasze drzewo genealogiczne. Po śmierci ojca na mnie spadł obowiązek dopilnowania tego i badania historii rodziny, ale chyba nie robię tego zbyt pilnie — krzywi się trochę. — Popatrz — wskazuje na długą linię usianą zapisanymi maczkiem nazwiskami. — To moi dziadkowie, babki, stryjeczne i ciocięczne, wujowie i ciotki Witkacego. Stanisław Witkiewicz miał tylko jedno dziecko — mojego stryjcznego dziadka Stanisława Ignacego Witkacego. Wśród pozostałych aż się roi od buntowników i powstańców. Pradziad Ignacy zmarł na syfilis, a właściwie w drodze powrotnej z Syberii. Nie doczekał rodzinnej Litwy. Po 1863 roku, wszystkie dzieci Ignacego poza jedną córką, zostały zesłane na Syberię. Jedyną moją stryję zginął w Katyniu. W Łodzi żyje jeszcze wuj, który ma teraz około osiemdziesiąt lat i pamięta Witkacego, ale zdaje się, że nie jest zbyt do niego żywciliwie nastawiony.

— Rodzina Witkiewiczów była spowinowacana z wieloma znanymi nazwiskami?

— A pamiętasz jak to jest w „Panu Tadeuszu”? Same te Witkiewicze, Bilewicze, Wańkowicze. Przez Bilewiczo, jesteśmy spowinowaceni z Józefem Piłsudskim. Parę razy bywał w „Witkiewiczówce”, lecz częściej przejeżdżał jego bratanek, Bywali i Gabriel Narutowicz, i brat Albert Chmielowski. A spowinowaceni jesteśmy i z Wańkowiczem, i z Józefem Beckim, ze Stefanem Zeromskim i z Pawlikowskimi. Chociaż raczej należałoby zacząć od Kossaków. Wańkowicze, podobnie jak i Witkiewicze, pochodzący ze Zmudzi mieli w swojej rodzinie utalentowanych malarsko ludzi i jeden z nich wleczł któregoś z moich pradziadów na płótnie. Natomiast z Magdaleną Samozwaniec-Pawlikowską, córką Wojciecha Kossaka i siostrą Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, wiąże się pewna zabawna historia. Otóż owa pani szczęśliwa na łamach „Przekroju” pokrewieństwem z Witkacym. Utrzymywała, że jest jego siostrzenicą czy bratanicą. Na jakimś bardzo oficjalnym

bankiecie podszedłem do niej i ostentacyjnie głośno zawołałem „Dzień dobry ciociu!” i rzuciłem się jej na szyję. Ona lekko przerażona, odwróciła się w moją stronę i w kompletnej ciszy, jaka zapadła wycedziła: „W pańskim wieku miewam kochanków, a nie siostrzeńców”. Jednak ukrótce okazało się, że skoro utrzymuję, iż jest spowinowacana z Witkacym, to jednak mam prawo nazywać ją ciotką. I skwapliwie to czyniłem.

— W jaki sposób Stanisław Witkiewicz trafił do Zakopanego?

— Jan Witkiewicz, brat Stanisława, był powstanicem 1863 roku i zesłanym na Syberię. Po powrocie ze sztyki zajął się gospodarowaniem na roli, gdzieś na Białorusi. Był bankiem rodziny. Za jego pieniądze wykupiono parcelę na całej prawie Antałówce. Dla swojej córki, jako posag, wybudował dom — „Witkiewiczówkę”, w którym mieszkali prowadząc pensjonat, dwie panny na Witkiewiczówce — Maria, „Dziudzia” i jej ciotka Maria, nazywana Mary, autorka „Witki w Monachium”, „Wspomnień o Stanisławie Witkiewiczu” i „Wspomnień o Bracie Albercie Chmielowskim”.

— Witkacy nie był łatwym człowiekiem do współżycia. Był artystą i jako taki postrzegał świat w sposób, który przeciętnemu człowiekowi wydaje się nie tylko niezrozumiały, ale i obcy. Jego inność dotyczyła nie tylko przemysłu, refleksji nad światem i istotą egzystencji człowieka, sformułowań odnoszących się do sztuki, nie tylko sposobu zachowania, który był konsekwencją jego świata wartości, ale także ludzi, którymi się otaczał. Nie znosił nieszczerości, zakłamanego świata wartości i moralności drobnomieszczańskiej, dlatego go szokował, burzył. Chciał przebić tę skorupę, poza którą schowała się rzeczywistość i prawdziwe oblicze człowieka.

Inność, oryginalność, zawsze szokują maluczkich, którzy w najlepszej chwili swej tolerancji zdołają się na dla nich bezpieczny, a ocenianemu nie ujmujący w niczym epitet — ekscentryczny. W ostateczności maluczkich zawsze może machnąć ręką z politowaniem — przecież to artysta. Witkacy tępił takich ludzi, chociażby przez swoje prowokacje. A szukał tych „innych”. Szukał także kobiety, która będzie mu odpowiadała pod względem nie tylko intelektualnym, z którą nie tylko będzie miał taki kontakt emocjonalny, jaki miał z Jadwigą, lecz także pod względem seksualnym. I znalazł ją. Ciotka Jadwiga nazywała ją „rudą matką”. Przeżyła ona ciotkę o kilka lat. „Ruda matka” starała się przekonać otoczenie, że to ona była matką Witkacego, a nie tylko kochanką, o czym wszyscy wiedzieli.

— Z nią spędził swoje ostatnie godziny życia?

— Z nią uciekał przed nadciągającym zewsząd katalizmem. Ją też podobno chciał adoptować. Przekonywał ciotkę, że skoro nie mają dzieci, to „rudą matkę” mogliby adoptować. Ciotka sprzeciwiała się temu stanowczo, utrzymując, że sypanie z córką byłoby niemoralne. „To już lepiej niech ona będzie twoją kochanką niż naszą córką” miała powiedzieć.

— Witkacy uciekał z „rudą matką” i znalazł śmierć daleko od Zakopanego.

— Leży na Białorusi. Na pomniku napis w języku polskim i rosyjskim głosi, że tu spoczywa wielki twórca radziecki i polski, który nie mógł znieść okropieństwa nadciągającej zagłady popełnił samobójstwo.

— Podobno w 1985 roku, w Zakopanem, w czasie Dni Witkacowskich pojawił się człowiek, który opiekuje się grobem.

— Tak i to już w drugim pokoleniu. Jego ojciec odnalazł ciało, postawił Witkacemu pomnik i opiekował się mogiłą. Teraz robi to syn.

— Czy staraliście się o sprowadzenie zwłok do Polski?

— Już, już porozumieliliśmy się z ówczesnym ministrem kultury i sztuki Józefem Tejchmą, lecz czegoś zabrakło, jakiegoś dokumentu, no i potem nie było na to ani czasu, ani głowy, żeby o takich sprawach myśleć. Teraz trzeba całą kampanię zacząć od nowa.

— Zakopane lata dwudzieste, lata trzydzieste. Znakiem życia kulturalnego. Jakie miejsce wśród nich zajmował Witkacy?

— Był tmy niż otaczający go twórcy. A były to przecież czasy, gdy Zakopane tętniło życiem kulturalnym. Od nazwisk polskich malarzy, pisarzy, poetów aż kręciło się w głowie. Ale jednocześnie Witkacy stanowił integralną część tego świata. Był postacią barwną, która tworzyła codzienność Zakopanego i to uwalniała nie szarą codzienność. Oczywiście byli i tacy, którzy go nie znosili, których przerażała fantazja i rozmachem, szarpaniem świętości, konwenansów. Byli tacy, którzy go uwielbiali za tę inność. Ciotka Mary, siostra Stanisława Witkiewicza, która mieszkała w „Witkiewiczówce” często zapraszała Witkacego na kolację. Nie tylko bardzo go lubiła, ale był dla niej miłym urozmaicheniem.

— Witkacy nie mieszkał wtedy w „Witkiewiczówce”?

— Miał tam swój pokój. — Maciek wyciąga stertę albumów z pozłótkami fotografiami. Na jednej z nich znany kształt góralskiej willi, pokazuje okno w szczytowej części domu.

— Zdaje się, że to ciotka Maria (Dziudzia) miała największy wpływ na ukształtowanie twojego obrazu Witkacego?

— Ciotka Maria (Dziudzia) i mój dziadek. Najbardziej byłem z nimi związany. Instytucja ciotek zawsze była bardzo oddana rodzinie, szczególnie najczęściej znajdującym się w opałach jej męskim reprezentantom. Ciotka Mary nie tylko opiekowała się spuścizną artystyczną Stanisława Witkiewicza, ale także już po jego śmierci dbała o jego dobre imię. Ciotka Eugenia była jego najukochańszą siostrą, dowodem tego są jego listy do niej.

Maciek zamknął na chwilę. Patrzy na portret Stanisława Witkiewicza.

— Tak, to w stawie i w legendzie jego nazwiska i jego osoby wszyscy żyliśmy i mnie tak wychowywano. Nie w legendzie Witkacego. A wracając do mojego świata dzieciństwa i do ciotki Dziudzi, to tym światem była „Witkiewiczówka”.

I znów przeglądam fotografie, na których mały Maciek Witkiewicz ugania się za cieniami świata zabaw. Wszędzie w planie „Witkiewiczówka”. Bastion rodzinnych tradycji i korzenie, z których wyrastał.

— Na koniec chciałbym usłyszeć twoją opinię o drugim z wielkich XX wieku polskiej literatury, o Witoldzie Gombrowiczu?

— To nie jest szowinizm rodzinny, ale muszę ci się przyznać, że Witkacego cenię o wiele bardziej niż Gombrowicza. Temu drugiemu brakowało fantazji, wyobraźni. Witkacy to człowiek o nieposkromionej, niebywalej wyobraźni twórczej. To jedna jego cecha. Drugą, którą koniecznie trzeba podkreślić, to jego bardzo „rodzinna” postawa życiowa. Wreszcie trzecia, a po zapoznaniu się z historią rodziny Witkiewiczów wyda ci się tak oczywista jak i dwie pierwsze — to jego przywiązanie do polskości. Konflikt z serdecznym przyjacielem, Bronisławem Malinowskim, miał swoje źródła właśnie w odmiennej postawie w stosunku do kraju. Poza tym Witkacy był wizjonerem. Przecież wystarczy przeczytać „Nienasyceń”. On przewidywał upadek kultury, degrengoladę artystyczną i intelektualną, krach moralności i etyki jakich doświadczamy w naszym, fin de siècle.

Rozmawiał:
ANDRZEJ BETULSKI



Stanisław I. Witkiewicz: Portret Bronisława Malinowskiego (1911)

Fragmenty

Uczestnikom kursu dla pracowników oświatowych, odbytego w Łęczycy od 3 do 8 stycznia 1938 roku.

Przez okna na ulicę przekradal się Szopen.
Biały mazur wraz z nocą ugwieżdżoną przebrzmiał.
W chatkach w ziemię zapadłych budzili się chłopcy.
Na nogi się zerwali. — Ktoś uderzył we drzwi.

Z Empiru wieść o godach chywały anteny,
A kapłan biogostawiał: — Ile misa est!
Pierś im się rozwarła wiarą uwzmożliwioną
I głosy o strup biły: — Bracia, patrzcie jeno!

W trudzie codziennych godzin wasza pieśń
urasta.
Tu Polska! — W słońce prawdy kierujecie jej
marsz,
Przez rozdroża przy krzyżach, przez gwar ulic
w miastach,
Ludzie moi najbliżsi — brygada bez szarży.

1938

Późna jesień

Wale przypuły do ziemi,
Jak stada kuropatw,
Tuła się chalupey
W kępy nagich sadów.

Chmury nad polami
Mgła kryje widnokrąg.
Deszcz siąpi leniwie,
Szumi i mamroce.

Smutek siadł na drogach.
Smutek — opuszczenie.

1939

Przedwiośnie

Jeśli ci kiedy ból uczynił
Rzucaniem słów jak głośnie ognia,
Powiedz, czy jest-żo moja wina,
Ze głowę mam płonącą co dnia?

Jeśli z mych słów, co w bólu krzepły,
Krzyk buntu płacze ścieżki twoje —
Rodzin ogniskom przywróć ciepło.
Ten krzyk zostanie prawem moim.

Mazole matek w pieśniach rozślaw.
W ośłów dążeń pewność utrwal.
Spraw, niech idąca z przykrych rozstań
Wolność ciału dzieciom usta.

Strudzonym, gdy się w niepodległy
Pod płoncem w dymach był rozterzem,
Daj spocząć, w sobie się ukorzyć
I nowe czyste rozpał żorze.

O każdej porze, w noc czy we dzień,
Gdy nam przez życie trzeba śmiecieć,
Przy każdym domu z nową cegłą
Zwól, niech bociany gniada ściecia.

Mnie, który nie chcę nie próż wieszać,
Roboty wciąż mam pełne ręce,
Sił przypór i nim syn mój wzrośnie,
Na pracę czasu daj mi więcej.

1946

Malowane luśnie

Chalupe rozspane. Jakoś pod południe
Wyszedł Kania w podwórze oglądać dobytek.
Nie spieszne mu, więc wyniósł z gumna
snopek żyta
I rzucił go na błoto. Usiadł kolo studni.

Głową ręką wsparł. Dumał. Słońce ochry smuga
Znaczący chałę. Oczy wyrzucił na słońce.
— Wiosna idzie! Dzieciśka! Muzyki trza!
Fronceki! —
Zza pazuchy wysunął nóż i zaczął strugać.

Gdy zmierzch płoć okrajał i czerwienił ściany,
W poprzek drogi brat chłopca na radę stanął.
— Ta wiosna nasza będzie. Jutro! Jutro rano.
Ta wiosna nasza będzie. Hej chłopci!

Nim świt chaty pobielił, zwarł pierś tysiącem.
— Chodźmy! Trudnych rozliczeń zbliża się
godzina.
Uczymy ją zbiorowym gospodarskim czynem. —
I szedł dziad spracowany, szedł wnuk obok syna
W dzień przez wieki pragniony, w wyświeśnione
słońce.

Chleb

Ten, kto sam orał, nie uroił
Kruszyny chleba przy swym stole
I na obrusie ściągnie w węzeł
Ścieżki zdeptane w żniw mozele.

W polu wrosły i okrzepły,
Ja w moim kraju nie przechodniem.
Więc wedle ludzkiej czi dla chleba
Dobieram druchów niezawodnych.

(Z Nikolaja Rylenkowa)

(Wiersze z tomu „Jestem”).

Nikt już nie stawia takiego tytułu nad recenzją z tomu poezji, bo też i poezja jakby zrezygnowała z mowy „w imieniu milionów”, oddała pole lirycy intymnej, neurasztelniej i zapatrzonej w samą siebie. Stała się intelektualnym sztyrem, którego klucz znany jest nielicznym. Popadła w płacizność, w rozpanietywanie ran powstałych na skutek samookaleceń, w pesymizm i egzystencjalny tunel bez nadziei na jakiegokolwiek światła.

Może zbyt pośpieszne to uogólnienie i nazbyt felietonowe. Ale przecież umotywowane tym co rozgrywa się obecnie zwłaszcza w poezji młodej i najmłodszej. Odchodzą w historię całe pokolenia, dla któ-

świecniają wiele antologii i bywały tłumaczone na obce języki, choć pisze od przeszło pięćdziesięciu lat nigdy nie popadł w profesjonalizm rodem z gabinetów i domów pracy twórczej. Ktoś z recenzentów jego poezji przywołał słowa Norwida „pieśń a praktyczność — jedno” i jest to najbardziej celna charakterystyka tego — wszystkich co Władysław Strzelecki swoim życiem, działaniem i twórczością dokonuje.

Można rozmaicie sądzić o związkach biografii i twórczości artystycznej. W przypadku Władysława Strzeleckiego nie sposób tych dwóch obszarów rozdzielić. Urodzony na wsi w rodzinie farnaliskiej przeszedł drogę, która dzisiaj z perspek-

tyzacji. Od czasu tomu „Czerwone jagody”, opublikowanego w 1936 roku po teksty ostatnio napisane poezja Władysława Strzeleckiego potwierdza swoją wiarygodność niezmiennością postawy ideowej, tożsamością przekonań i humanistycznego optymizmu. Zmieniały się poetyki, szkoły i dekalogi obowiązujących tematów. Poetę autora tomu „Jestem” wciąż trwa i broni się prostym słowem, regularną miarą i tematem, który rodzi codzienność.

Może zbyt prosta to formuła, w której ujmuję literackie dokonania Władysława Strzeleckiego. Bo przecież czytelnik odnajduje w nich także tony mniej paletyczne, jakby mniej

Słowa serca i czynu

rych poezja była odpowiedzialnością nie tylko za siebie, kończą się poetyki głęboko ukorzone w przeszłości tradycjach, przez te tradycje rozpoznawalne i z nich czerpiące swoją żywotność i siłę oddziaływania. Dzisiejsza zmiana wart przechodzi niezauważona. To znaczy dostrzega się tych co odchodzą i nie oczekuje nadchodzących.

I co symptomatyczne: w dzisiejszej poezji zdaje się brakować autentyzmu wyrastającego z rzeczywistości istotnych przejawów życia i rzeczywistości. Współczesny poeta to erudyta i teoretyk profesjonalista i laborant słowa. Wyszczepiony chirurg, mędrzec ze szkieletem w oku, w którym nawet jeśli dostrzeżemy iż albo blysk wzruszenia, to przecież odbieramy je jako skutek odkrycia nowego neologizmu albo oryginalnej metafory.

W tym co napisałem ani nie rozdzielać ocen ani nie próbuję niczego wartościować. Ani — tym bardziej — osądzać. Powód dla powyższych uwag znalazłem w ostatnio opublikowanym przez Władysława Strzeleckiego zbiorze wierszy „Jestem”.

Jego autor choć ma w swoim dorobku kilkanaście tomików poezji, choć jego wiersze u-

żyły roku 1986 może wydać się jakimś pozytywnym czy socrealistycznym mitem literackim. Bo była to droga mozolnego awansu społecznego człowieka w pełni świadomego swojej teraźniejszości i swojej przyszłości nierozdzielnie związanej z przyszłością klasy społecznej, z której się wywodził oraz przyszłości kraju, o którą trzeba było zabiegać, walczyć i tworzyć.

Popadam w jakże niemodny patos. Ale i ta poezja, którą Władysław Strzelecki pisze od półwiecza, której się poświęcił właśnie z autentycznej potrzeby, a nie z aspiracji do akademickiego lauru jest patetyczna i żarliwa. Tak ją odbierają czytelnicy do których autor się zwraca i tak powinien ją widzieć krytyk. Pisałem wyżej o potrzebie korzeni, w związkach z tradycją upatrując możliwości nieprzerwanego rozmowy poety i jego odbiorcy. Tym związkiem, świadomym lub nie — to nieważne, odwołującym się do ideowych i światopoglądowych intencji poezji zdeterminowanej celami pragmatycznymi, dydaktycznymi i perswazyjnymi, poezji określanej mianem robotniczej, proletariackiej czy lewicowej, zawiązuje Władysław Strzelecki największą.

I co trzeba podkreślić: nigdy nie była to koniunkturalna sty-

okazjonalne i zasadnicze, a więc liryki w których jest miejsce i na intymność i na wzruszenie. A także na malarską refleksję i impresjonistyczne zafascynowanie krajobrazem.

Nowatorzy i awangardziści mogą kartkować ostatnio wydany tom Strzeleckiego (notabene edycja ta ma charakter wyboru z całej powojennej twórczości autora; tu także przekłady z poezji radzieckiej i greckiej) w milczeniu, które nie jest aprobatą. Niedobrze to jednak, gdy literaturę chce się widzieć tylko w jednej optyce. Tytułowe „Jestem” Władysława Strzeleckiego należy wpisać na listę obecności polskiej poezji współczesnej z pełną świadomością wartości, które z sobą przynosi.

GRZEGORZ GAZDA

Władysław Strzelecki, Jestem, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1984, s. 163, Wstęp Tadeusza Chróścielewskiego.

Z półki recenzenta

DZIEJE MAURYCEGO MOCHNACKIEGO

Postać hrabiego Beniowskiego najczęściej kojarzy się nam z lekturą szkolną, jaką był poemat Juliusza Słowackiego „Beniowski”. No, może jeszcze ci, którzy sięgnęli po dzieło Wacława Sieroszewskiego pod tym samym tytułem wiedzą o nim coś więcej. Dziś będzie o dobrze napisanej przez Mieczysława Lepeckiego monografię o tym niezwykłym Polaku, którego pamiętniki na przełomie XVIII i XIX w. były w świecie swoistym bestsellerem. Uczestnik konfederacji barskiej, carski zesłaniec na Kamczatkę, śmiały i odważny uciekinier, ochotnik walk na Tajwanie, gubernator Madagaskaru, żołnierz wojsk walczących u boku gen. Pułaskiego w Ameryce, wreszcie śmiertelnie ranny z bronią w ręku — wszystko to czyni Beniowskiego bohaterem na miarę romantyczną, a jego dzieje czyta się jak niezwykłą i fascynującą opowieść.

Mieczysław Lepecki: Maurycy August hr. Beniowski. LSW 1985, Str. 204. Cena 140 zł.

ŻĄDZA ŻYCIA

Autora tej książki znamy z cyklu „Królowie przekleci”, która to książka legła u podstaw serialu pod tym samym tytułem wyemitowanego także przez naszą tv. „Żądza życia” Maurice Druon opowiada o środowisku rzymskich artystów, choć właściwie jest to obyczajowa historia dzieł pewnej — niegdyś niezwykle pięknej, ekstrawaganckiej i bogatej — kurtizany, która u schyłku życia miesza świat realny z dawnym umartwionym światem swojej młodości. Książka jest napisana z dużym talentem i znajomością psychologii, ale i nie pozbawiona została akcentów satyrycznych. Przekład Renaty Opachowskiej.

Maurice Druon: Żądza życia. WL 1986, Str. 226. Cena 160 zł.

POLSCY MEDYCEUSZE

Jest to książka osobliwa: opisuje dzieje mecenatu na ziemiach polskich poczynając od XV w. a kończąc na XVIII, czyli na dobrą sprawę od znamienitych wyznaczników kultury, jakimi stały się „Roczniki czyli Kroniki Sławnego Królestwa Polskiego” Jana Długosza aż po historyczną premierę opery „Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale” Wojciecha Bogusławskiego. Tak więc mamy ogromny wycinek naszej historii, a na jej tle śledzimy dzieje kultury w Polsce i dzieje mecenatu nad jej twórcami. Książka kończy się panegirykami na cześć ostatniego mecenasa, jakim był król Stanisław August Poniatowski piera Stanisława Estreicher.

Joanna Olkiewicz: Polscy medyceusze. LSW 1985, Str. 364. Cena 280 zł.

PILOT PIRX

W serii dzieł Stanisława Lema ukazały się „Opowieści o pilocie Pirxie”. Są to niezwykle ciekawe, czasem wręcz fascynujące opowieści z wieku XXI lub XXII, kiedy podróże międzyplanetarne, a nawet międzygalaktyczne są niemal czymś tak naturalnym jak podróż z Łodzi do Warszawy. Stanisław Lem — to już klasyk tego gatunku literatury. Czytając jego książki czasami nie wiadomo co bardziej podziwiać: czy niezwykłość przgryzł ich bohaterów, fantastykę opisów, czy też wyobraźnię i pomysłowość autora. W sumie jest to proza, do której się wraca, choć tylekroć przeżywało się podczas poprzednich lektur zdarzenia z tego wymyślanego wszechświata.

Stanisław Lem: Opowieści o pilocie Pirxie. WL 1986, Str. 476. Cena 310 zł.

O KONSTYTUCJI 3 MAJA

Jerzy Łojek popularność czytelnictwa zyskał przede wszystkim dzięki jednej książce, jaką są „Dzieje pięknej Bitynki”, która po raz pierwszy ukazała się w 1970 r. Obecnie mamy nowy tom prozy tego autora. Mam na myśli jego „Genezę i obalenie Konstytucji 3 Maja”. Zaleca — jak wszystkim o czym pisze — jest rzetelność historyka i dociekliwość badacza oraz duża sprawność literacka. Książkę czyta się momentami jak dobrą powieść sensacyjną zapominając, że przecież jest to nasza, nie tak znów odległa, historia, że znajdujemy się u progu upadku Rzeczypospolitej, w przededniu rozbiór.

Jerzy Łojek: Geneza i obalenie Konstytucji 3 Maja. Wyd. Lub. 1986, Str. 558. Cena 700 zł.

E. IW.

JERZY KWIECIŃSKI

Barbara Król-Kaczorowska: „Teatr Warszawy”. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1986, ss. 219 oraz 130 ilustracji. Cena 500 zł.

W oparach banalu

Bunt jest nieodłącznym atrybutem młodości. Bunt poety objawia się zarówno w jego twórczości, jak i w życiu. Poprzez preferowanie nowatorskich idei, szokując otoczenie swoim profetyzmem lub abstrakcją artysta obawia się świata, swoją odmienne postawą. Tak, czasem z góry założona postawa nie pozostaje bez wpływu na formalny walor twórczości poety i uwidacznia się w szeregu innowacji: poprzez oryginalną metaforę, zaskakujące rozwiązanie poety manifestu, zerwanie z tradycją, a zarazem własną indywidualnością. Czasem traci to obiektywizm, czasem zbliża się niebezpiecznie do kiczu — jedno co pewne — ta poezja zwraca na siebie uwagę, zmusza (nawet, waląc brutalnie po pysku) do faktycznej reakcji.

Jednak po przekroczeniu pewnego wieku nie wszystko jest w dobrym tonie. Para skończyć z tym szamotaniną, beznadziejnością — poeta chce nie chcąc wkładać maskę (a może to gombrowiczowska „gaba”) dojrzałości. Dlatego musi to być mistyfikacja, maskarada? Ano, bo jak stwierdził poeta, zawsze zostaje dzieckiem, ergo nigdy nie dojrzała. Ta przydługa dyskusja niechaj będzie wstępem do interpretacji wierszy Andrzeja Wiktora Mikołajewskiego, bowiem na ich przykładzie widać typowe dla pewnego (sam autor mówi o „chrystusowym”) wieku rozdarcie między powołaniem młodości i obliźnięciem do nowej postawy wiekiem „smugi ciemna”.

Z całego tomiku „NA WSZYSTKICH PROGACH” wieje nudą, i to ta najgorsza rodzaju — pseudointelektualna. Najczęściej stosowanym środkiem stylistycznym, a właściwie „antystylizmem” Mikołajewskiego jest, nie metafora, nie konkret, tylko „przegadanie”. Autor tak wiele chciałby powiedzieć potencjalnemu czytelnikowi, nie z tej spowiedzi niewiele wynika. I żeby było paradoksalnie (tutaj należałoby odwołać się do Freuda) poeta bardzo dużo uwagi poświęca „milczeniu”. „Trwa dąsaj ciąg milczenia”. „Ziemia nas wchłonie i przemilczy”.

„W milczeniu takim samym śpiewa wiatr” — i tak jeszcze wielokrotnie, średnio co 2-3 wierszy pojawia się myśl o milczeniu. To tak, jakby autor próbował okiełznać swoją wyobraźnię, co jakiś czas przypominając jej o skomym obowiązkach — milczeniu. Powiada — mowa jest srebrem, a milczenie złotem. Milczenie jest obsesją autora „Na wszystkich progach”.

W swojej poetyckiej penetracji autor konsekwentnie odkrywa prawdy powszechnie znane, stąd koncepty i pointy tych wierszy wcale nie zaskakują. „Śmierć to tylko przyroda” — czy taka konstatacja może kogoś zadziwić? Mikołajewski chce spotęgować zaskoczenie (którego braku często stosuje przy zamykaniu point, zestawienie znaku zapytania i wykrzyknika. Ma ten zabieg, jak sądzę, uwypuklić przewrotność logiki poety; przenosimy się wraz z Mikołajewskim na wyższe szczeble sofistyk.

„W gruncie rzeczy, gdyby nie KŁAMSTWO, które byłoby pierwsze, nikt nie szukałby prawdy, i jaki sens mogłoby mieć życie!...” (KILKA UWAG O PRAWDZIE). Oczywiście kłamstwo — z dużej litery. Wiele z tych utworów zbudowanych jest na niezbyt nośnych konceptach (np. PŁACZ, ODA DO DZWONKA) — pomysłowość nie jest najlepszą cechą autora. Pomimo tego ma on ambicję (i jest to chyba ambicja każdego twórcy) eksplorować bardzo szerokie obszary kultury, zresztą z różnym skutkiem. W tym celu Mikołajewski czerpie pełną garścią z kanonu kulturowego, od Biblii do Edgara Lee Mastersa z jego umiartymi ze Spoon River. Autor powołuje do życia postacie: Tolstoja, Baudelaire’a, Maxa Jacoba, Kafkę czy Rimbauda, próbując na nowo odczytać sens ich twórczości lub poprzez nich przekazywać swoje myśli. Robi to często w tzw. prozach poetyckich, a mówiąc za Turgieniewem w „wierszach prozą”. Te miniatury mają jednak tylko charakter konceptualnej wariacji lub są opisami wydarzeń wszystkim doskonale znanych. Tak jak w utworze LEW NIKOLAJEWICZ TOLSTOJ,

gdzie poeta ukazuje rozterki wielkiego pisarza przed jego ucieczką z Jasnej Polany.

W polu zainteresowań autora znajdują się także pojęcia i kategorie filozoficzne (i teologiczne) i czynniki bohaterami swoich wierszy — opatrność, nieskończoność, czy też reinkarnacja (BEZ TYTUŁU). Ale te rozważania o ponownym wcielaniu, odradzaniu się duszy w nowym ciele nie wnoszą nic nowego. Zresztą temat reinkarnacji i metempsychozy jest takimi literackimi „samograjami”, że trudno coś nowego w tej kwestii wymyślić. W stosunku do Boga autor też nie przejawia zbytnej oryginalności, uważając, że w dobie powszechnej degeneracji taka kategoria nie ma racji bytu — „Odrzućcie Boga, ale kłwi on wamnie”. „Nigdy Boga się nie bałem... mówiłem tylko: nie istnieje dla mnie”. A więc Boga nie ma, a sam Mikołajewski deklaruje się (z tym, że deklaracji tej nie należy brać serio) jako panteistę, bądź jako materialistę, gdy pisze — „Jesteśmy świadomością materii”.

Pomimo wszystko w tym pozabawionym jakiejś wyższej wartości świecie, poeta ma do spełnienia ważną misję, mało tego, jest on herosem świadomym swojego boskiego posłannictwa. „Poeta unosi słowa: słowa słońca, słowa gwiazdy, słowa Wszechświata” (POEMAT), albo „Musisz oczy otworzyć ludzkości na piękno któregoś sam nie znasz” (KILKA RAD DLA MŁODEGO ARTYSTY). — W ten sposób autor wyraża przekonanie o roli artysty-demurga we współczesnym świecie. Chociaż z drugiej strony, jak ciężko żyć poecie kiedy obok „wspaniałych samouchodan, ich kabzy nabitę forsą, u boku najlepsze dziwki (nawet impotentka zostaje im wybaczona)”. W tym quasi-reporcie poetyckim (BALLADA O WSPANIAŁYCH MEZCZYZNACH) Mikołajewski z całą premedytacją obnaża patologię współczesnego społeczeństwa i (ciągle ci sami) „wspaniali mężczyźni” bawią się także i tej nocy, strzeżąc ich słońca goryli, ich dziwki są nieskazitelnej czystości, aniżeli z koniecznie znajomością języków obcych”. W dobie ogólnej pauperyzacji, kiedy poeci odczuli na własnej kieszeni skutki kryzysu, trudno nie mieć żalu do świata.

Stąd ten brutalnie zarysowany „antagonizm poeci—butika-

rze można Mikołajewskiemu wybaczyć. Zresztą autor poza sporadycznymi przypadkami użycia tematów aktualnych i dość rzadko, Bo kiedy pisze np. o „człowieku balansującym na granicy patosu i frazesu. Wierzę ojczyzna to „Ta nie mogąc się zagrozić bliźni...” czy „sposród lat najbardziej słone...” Ten użór który jest twa ojczyzna” itd. Autor, może z racji już dojrzałego wieku, chętnie występuje z pozycji (filozofa?) człowieka patrzącego z dystansem na swoje życie (np. AUTO-PORTRET). Taka postawa rodzi skojarzenia z refleksyjną postawą późnego Staffa, lub z Miłoszem, szczególnie z tym z tomu „Gdzie słońce wschodzi, kiedy zapada”.

W tej przeciwności wyróżnić można jednak kilka błyskotliwych utworów np. PRAWDA, NA BETONOWEJ POSADZCE MIASTA, czy króciutki, więc może go przytoczyć w całości wiersz WYZNANIE.

„Bywa, że wiersz w zamysle

Oto jak wiele wiem o śmierci”

Rodzi się w czytelniku konkluzja, że tylko wiersze krótkie są w stanie nas jeszcze zainteresować. Czyżby to lakoniczność miała uchronić poezję od śmierci? A może... humor, komizm? Może miał rację Bergson kiedy pisał: „Człowiek obdarzony dowcipem ma zawsze coś z poety” i dalej „Każdy poeta mógłby więc okazać się człowiekiem dowcipnym, gdyby tylko zechciał... Dość, żeby pozwolił swym myślom wspaniały między sobą rozmowę o tak, dia samej przyjemności” (Bergson „Śmiech — esej o komizm”). Ale może nie jest tak źle skoro poeta stał na autohironii i w pewnym momencie stwierdza „ale z banaliami narzeczcie skończyć”. Szkoda tylko, że słowa te wcale nie obliźniają ich autora, być może dociekamy się ich realizacji w nowych wierszach Mikołajewskiego.

JACEK MACIASZEK

Andrzej Wiktor Mikołajewski — NA WSZYSTKICH PROGACH Wydawnictwo Łódzkie 1986.

Kronika kulturalna

KONFRONTACJE '85

W POZNIEJSZYM niż co roku terminie docierają do Łodzi filmy „Konfrontacje '85” — rozpoczynają się 3 maja, ale za to tegoroczny przegląd prezentowany będzie aż w czterech kinach („Bałtyk”, „Wiśniowa”, „Iwanowo”, „Przedwiośnie”). Również wbrew wieloletniej tradycji nie będzie prezentacji filmu polskiego. Przy okazji warto wspomnieć, że filmy polskie były co rok demonstrowane niejako poza przeglądem — były to filmy premierowe, z reguły jeszcze nie nagrodzone na filmowych festiwalach i przeglądach, w odróżnieniu od filmów zagranicznych, docierających do polskiego widza już w głośli Oscarów, złotych lwów itp.

„Konfrontacje '85” cieszyły się w stolicy większym niż poprzednie imprezy wzięciem publiczności i krytyków — możemy nadzieję, że i widzów łódzkich (a także plockich i skierniewickich) również zainteresują konfrontacyjne pokazy.

Zobaczmy w przeglądzie tegorocznym następujące filmy (w kolejności ich wyświetlania):

„PODROŻ DO INDI” w reżyserii Davida Leana (Wlk. Brytania) z udziałem Peggy Ashcroft, Judy Davis, Jamesa Foa, Victora Banerjee i Aleca Guinnessa.

Historia młodej Angielki do Hindusa. Film nagrodzony Oscarami za muzykę i drugoplanową rolę kobiecą (Peggy Ashcroft) oraz trzema złotymi globusami.

„STRASZYDŁO”. Reżyser — Roland Brkow (ZSRR). Grają — Kristina Orbakajte, Jurij Nikulin, Jelena Saniejeva.

Opowieść o wrażliwej dziewczynce, którą spotykają w szkole niezasłużone represje ze strony kolegów.

„PURPUROWA RÓŻA Z KAIRU” Woody Allena (USA)

z udziałem aktorów: Mia Farrow, Jeff Daniels, Dany Gheff.

Satyra na sztuczny, filmowy świat amerykański. Kinomanka chodząca wciąż na ten sam film, zaczyna być filmową fikcją. Nagroda Filippi w Cannes. Jeden z hitów przeglądu, którego nie oglądała warszawska publiczność Konfrontacji!

„PULKOWNIK REDL” Istwana Szabo (Węgry). Aktorzy: Klaus Maria Brandauer, Armin Müller-Stahl, Gudrun Landgübe, Jan Niklas. Fabuła inspirowana jest głośną aferą szpiegowską w którą zamieszany był szef kontrwywiadu armii austro-węgierskiej. Nagroda Jury w Cannes.

„WEIHERBY” reż. David Hare, (Wlk. Brytania), aktorzy: Vanessa Redgrave, Ian Holm, Judi Dench. Psychologiczne studium uczucia łączącego nauczycielkę i jej byłego ucznia.

Film nagrodzony Grand Prix „Złoty Niedźwiedź” w Berlinie Zachodnim i nagrodą Związku Kin Studyjnych w Berlinie Zachodnim.

„ZŁOTA ZIEMIA”. Reż. Chen Kaige (Chiny) Aktorzy: Hye Bai, Wang Xueyin, Tan Tuo, Liu Qiang. Poetycki obraz życia mieszkańców górskiej wioski w końcu lat trzydziestych. Nagroda Specjalna „Srebrny Leopard” w Locarno.

„POWROT DO PRZYSZŁOŚCI” Roberta Zameckisa (USA) z udziałem Michaela J. Foa, Lei Thompson, Christophera Lloyda. Najpopularniejszy chyba film wśród warszawskiej publiczności tegorocznego przeglądu. Science-fiction, ale polegająca tym razem na podróży w przeszłość, w lata pięćdziesiąte. Film miał nominację do Oscara za scenariusz i piosenkę.

„KOBIETA I OBCY”. Reż. Rainer Simon (NRD) aktorzy: Joachim Lätich, Kathrin Waligra, Peter Zimmermann. Film opowiada o miłości jeńcy wojennego do żony przyjaciela. Nagrodzony „Złotym Niedźwiedziem” w Berlinie Zachodnim.

„A STATEK PŁYNIE” komediodramat Federico Felliniego. Przy okazji prezentacji tego właśnie filmu Jury MFF w Wenecji przyznało reżyserowi „Złotego Lwa” za całokształt twórczości. Grają: Freddie Jones, Barbara Jefford, Victor Poletti. Film opowiada o rejsie statku, który wiezie na wyspę prochy słynnej śpiewaczki — symboliczny pogrzeb epoki (akcja ma miejsce przed I wojną światową).

„IDZ I PATRZ”. Reż. Elem Klimow (ZSRR) z udziałem Aleksieja Krawczenko, Ołgi Mironowej, Lubomira Lauclawczusa, Władasa Bagdonasa. Jest to przejmujący obraz pacyfistycznej wsi na Białorusi, oglądany oczami młodego chłopca. Złoty Medal i nagroda Filippi w Moskwie.

„AMADEUSZ” — głośny film biograficzny o życiu Mozarta wg bestsellerowej sztuki teatralnej Petera Shaffera. Uchodzi za najlepszy (jak dotąd) film Milosa Formana (USA).

Dosłownie obsypany Oscarami: dla najlepszego aktora (F. Murray Abraham), za scenografię, za kostiumy, za reżyserię, za najlepszy adaptowany scenariusz, za charakterystykę, za najlepszą dźwięk i za najlepszy film roku! Ponadto Cezar dla najlepszego filmu zagranicznego i cztery złote globusy: za najlepszy scenariusz, za reżyserię, dla najlepszego aktora i dla najlepszego filmu.

Grają: Tom Hulce, F. Murray Abraham, Elizabeth Berridge, Simon Callow.

„HARFA BIRMAŃSKA” — remake własnego filmu reż. Kon Ichikawa (Japonia) dokonany po trzydziestu latach. Dramat wojenny, historia żołnierza, który po wojnie pozostaje w Birnie, gdzie poległ jego kolega.

Wraz z filmami przeglądu widzowie będą mogli zobaczyć interesujące filmy krótkometrażowe: „Łagodna” Piotra Dumaj, „Exodus” Tadeusza Makarewskiego, „Biały pies” Longina Szmyda, „Kopalnia nad Czarną Hańczą” Leszka Skrzydło.

Kiedy czytelnik weźmie do rąk ten numer „Odgłosów” karnetów do kina „Bałtyk” z pewnością już nie będzie można dostać. Jakies szanse — być może — będą mieli kinomani, którzy zdecydowali się na obejrzenie „Konfrontacji '85” w kinach „Iwanowo” i „Wiśniowa”. Te dwa kina będą prezentować filmy przeglądu z jednodniowym opóźnieniem w stosunku do „Bałtyku” i „Przedwiosnia” tzn. „Konfrontacje” rozpoczną się w nich w niedzielę, czwartego maja.

W CZYTELNI Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Władysława Broniewskiego w Sieradzu odbędzie się 12 maja br. sesja popularnonaukowa pt. „Sieradzkie w piśmiennictwie i wydawnictwie dorobku 40-lecia PRL”.

W programie sesji wystąpienia mgr Zofii Sobczak, doc. dr Mariana Zajackowskiego (Przegląd źródeł i najważniejszej literatury do dziełow przedmiotowych Sieradzkiego), dr Tadeusza Olejnika (Przedmiotowo i edytorsko muzealnictwa sieradzkiego), dr Ziemowita Skibińskiego (Sieradz literacki. Analiza dorobku wydawniczego) i mgr Ryszarda Poradowskiego (Wydawnictwa amatorskiego ruchu artystycznego i towarzyszących regionalnych).

Organizatorami sesji są: Wydział Kultury i Sztuki UW w Sieradzu i WBP im. Wł. Broniewskiego w Sieradzu.

FILM Radosława Piwowarskiego „Yesterday” odniósł kolejny sukces międzynarodowy — pierwszą nagrodę na międzynarodowym festiwalu filmowym w Stambule. Trofeum nazywa się „Złoty tulipan” i przypadło naszemu twórcy w konkurencji 14 filmów z 13 krajów. Jury, któremu przewodniczył znany reżyser André Delvaux podkreśliło „świeżość i wrażliwość w potraktowaniu problemów młodzieży, poszukujące własnego sposobu wyrażania się w społeczeństwie”. Film był ciepło przyjęty przez publiczność i krytykę.

W ramach sesji „Przegląd źródeł i najważniejszej literatury do dziełow przedmiotowych Sieradzkiego”, dr Tadeusza Olejnika (Przedmiotowo i edytorsko muzealnictwa sieradzkiego), dr Ziemowita Skibińskiego (Sieradz literacki. Analiza dorobku wydawniczego) i mgr Ryszarda Poradowskiego (Wydawnictwa amatorskiego ruchu artystycznego i towarzyszących regionalnych).

Organizatorami sesji są: Wydział Kultury i Sztuki UW w Sieradzu i WBP im. Wł. Broniewskiego w Sieradzu.

FILM Radosława Piwowarskiego „Yesterday” odniósł kolejny sukces międzynarodowy — pierwszą nagrodę na międzynarodowym festiwalu filmowym w Stambule. Trofeum nazywa się „Złoty tulipan” i przypadło naszemu twórcy w konkurencji 14 filmów z 13 krajów. Jury, któremu przewodniczył znany reżyser André Delvaux podkreśliło „świeżość i wrażliwość w potraktowaniu problemów młodzieży, poszukujące własnego sposobu wyrażania się w społeczeństwie”. Film był ciepło przyjęty przez publiczność i krytykę.

W ramach sesji „Przegląd źródeł i najważniejszej literatury do dziełow przedmiotowych Sieradzkiego”, dr Tadeusza Olejnika (Przedmiotowo i edytorsko muzealnictwa sieradzkiego), dr Ziemowita Skibińskiego (Sieradz literacki. Analiza dorobku wydawniczego) i mgr Ryszarda Poradowskiego (Wydawnictwa amatorskiego ruchu artystycznego i towarzyszących regionalnych).

Organizatorami sesji są: Wydział Kultury i Sztuki UW w Sieradzu i WBP im. Wł. Broniewskiego w Sieradzu.

FILM Radosława Piwowarskiego „Yesterday” odniósł kolejny sukces międzynarodowy — pierwszą nagrodę na międzynarodowym festiwalu filmowym w Stambule. Trofeum nazywa się „Złoty tulipan” i przypadło naszemu twórcy w konkurencji 14 filmów z 13 krajów. Jury, któremu przewodniczył znany reżyser André Delvaux podkreśliło „świeżość i wrażliwość w potraktowaniu problemów młodzieży, poszukujące własnego sposobu wyrażania się w społeczeństwie”. Film był ciepło przyjęty przez publiczność i krytykę.

W ramach sesji „Przegląd źródeł i najważniejszej literatury do dziełow przedmiotowych Sieradzkiego”, dr Tadeusza Olejnika (Przedmiotowo i edytorsko muzealnictwa sieradzkiego), dr Ziemowita Skibińskiego (Sieradz literacki. Analiza dorobku wydawniczego) i mgr Ryszarda Poradowskiego (Wydawnictwa amatorskiego ruchu artystycznego i towarzyszących regionalnych).

Organizatorami sesji są: Wydział Kultury i Sztuki UW w Sieradzu i WBP im. Wł. Broniewskiego w Sieradzu.

FILM Radosława Piwowarskiego „Yesterday” odniósł kolejny sukces międzynarodowy — pierwszą nagrodę na międzynarodowym festiwalu filmowym w Stambule. Trofeum nazywa się „Złoty tulipan” i przypadło naszemu twórcy w konkurencji 14 filmów z 13 krajów. Jury, któremu przewodniczył znany reżyser André Delvaux podkreśliło „świeżość i wrażliwość w potraktowaniu problemów młodzieży, poszukujące własnego sposobu wyrażania się w społeczeństwie”. Film był ciepło przyjęty przez publiczność i krytykę.

W ramach sesji „Przegląd źródeł i najważniejszej literatury do dziełow przedmiotowych Sieradzkiego”, dr Tadeusza Olejnika (Przedmiotowo i edytorsko muzealnictwa sieradzkiego), dr Ziemowita Skibińskiego (Sieradz literacki. Analiza dorobku wydawniczego) i mgr Ryszarda Poradowskiego (Wydawnictwa amatorskiego ruchu artystycznego i towarzyszących regionalnych).

Organizatorami sesji są: Wydział Kultury i Sztuki UW w Sieradzu i WBP im. Wł. Broniewskiego w Sieradzu.

FILM Radosława Piwowarskiego „Yesterday” odniósł kolejny sukces międzynarodowy — pierwszą nagrodę na międzynarodowym festiwalu filmowym w Stambule. Trofeum nazywa się „Złoty tulipan” i przypadło naszemu twórcy w konkurencji 14 filmów z 13 krajów. Jury, któremu przewodniczył znany reżyser André Delvaux podkreśliło „świeżość i wrażliwość w potraktowaniu problemów młodzieży, poszukujące własnego sposobu wyrażania się w społeczeństwie”. Film był ciepło przyjęty przez publiczność i krytykę.

W ramach sesji „Przegląd źródeł i najważniejszej literatury do dziełow przedmiotowych Sieradzkiego”, dr Tadeusza Olejnika (Przedmiotowo i edytorsko muzealnictwa sieradzkiego), dr Ziemowita Skibińskiego (Sieradz literacki. Analiza dorobku wydawniczego) i mgr Ryszarda Poradowskiego (Wydawnictwa amatorskiego ruchu artystycznego i towarzyszących regionalnych).

Organizatorami sesji są: Wydział Kultury i Sztuki UW w Sieradzu i WBP im. Wł. Broniewskiego w Sieradzu.

FILM Radosława Piwowarskiego „Yesterday” odniósł kolejny sukces międzynarodowy — pierwszą nagrodę na międzynarodowym festiwalu filmowym w Stambule. Trofeum nazywa się „Złoty tulipan” i przypadło naszemu twórcy w konkurencji 14 filmów z 13 krajów. Jury, któremu przewodniczył znany reżyser André Delvaux podkreśliło „świeżość i wrażliwość w potraktowaniu problemów młodzieży, poszukujące własnego sposobu wyrażania się w społeczeństwie”. Film był ciepło przyjęty przez publiczność i krytykę.

W ramach sesji „Przegląd źródeł i najważniejszej literatury do dziełow przedmiotowych Sieradzkiego”, dr Tadeusza Olejnika (Przedmiotowo i edytorsko muzealnictwa sieradzkiego), dr Ziemowita Skibińskiego (Sieradz literacki. Analiza dorobku wydawniczego) i mgr Ryszarda Poradowskiego (Wydawnictwa amatorskiego ruchu artystycznego i towarzyszących regionalnych).

Organizatorami sesji są: Wydział Kultury i Sztuki UW w Sieradzu i WBP im. Wł. Broniewskiego w Sieradzu.

Odrobina piękna na co dzień

Dyrektor Instytutu Form Przemysłowych Łódzkiej PWSSP doc. Jerzy Derkowski na egzaminie wstępnym do szkoły daje zadaniem między innymi takie zadanie: jak bez użycia nożyczek i kleju opakować surowe jajko w papierowy karton, by nie tłukąc się spadło spuszczone z wysokości pierwszego piętra? Niektóre jajka spadają na ziemię całe...

Trzeba mieć bardzo dużo wyobraźni, a później wiedzy, by zostać specjalistą w dziedzinie wzornictwa przemysłowego, której zadaniem jest tak przeobrażać świat wokół nas, byśmy mogli żyć wśród przedmiotów pięknych i funkcjonalnych.

W Muzeum Historii Miasta Łodzi zdżwiona pani szatniarka otwiera pojedynczym zwiędzającym zamkniętą na klucz salę wystawową. Nie ma chętnych do oglądania ekspozycji projektów studentów Instytutu Form Przemysłowych. Trwająca trzy tygodnie, do końca marca, wystawa zainteresowała co prawda kilku przedstawicieli przemysłu i odpowiedniego resortu, zyskała uznanie władz miasta, przedstawiciel NOT w imieniu swojej organizacji obiecał wystąpić w przyszłości jako pośrednik między projektantami a producentami... Cóż jednak z tego, skoro na około trzydziestu zaprezentowanych tu rozwiązań tylko osiem zostało skierowanych do zakupu przez Ministerstwo Hutnictwa i Przemysłu Maszynowego, zaś kompletne desinteressement wobec ekspozycji wykazali rzemieślnicy, do których właśnie adresowana była spora część studenckich propozycji.

Instytut Form Przemysłowych zajmuje się projektowaniem głównie dla służby zdrowia i opieki społecznej. Stąd specjalistyczny charakter większości pokazanych na wystawie prac. Było wśród nich między innymi stanowisko pracy stomatologa znacznie ułatwiające jego pracę. Był system reanimacyjny, nieduży i przenośny, zastępujący kilka ciężkich, nie dających się wynieść z karetki aparatów. Projekt samej karetki pogotowia przez zmianę odpowiednich elementów dawał możliwość uzyskiwania różnych jej typów, a co najważniejsze — zapewniał wreszcie lekarzom i sanitariuszom odpowiednie warunki pracy.

Uszyty z bajecznie kolorowych gabek zestaw profilaktyczno-rehabilitacyjny dla dzieci, pokazany na próbę w jednym z przedszkoli, wybudził autentyczny zachwyt małych użytkowników. Działła profilaktycznie, lecz wady postawy, a zarazem jest śmiesznie tani i łatwy do wykonania. Powinien znaleźć się w każdym przedszkolu. Producenta zabrakło.

Wózek inwalidzki z drewna i koca, pozwalający zmienić funkcję w zależności od potrzeb, wygląda jak normalny fotel, a nie metalowe narzędzie tortur. Łódzkiemu Zakładowi Doświadczalnemu Regionalnego Związku Spółdzielni Inwalidów zabrakło

2 mln zł na uruchomienie produkcji tego sprzętu. Komplet mebli z tektury falistej uzyskał w 1982 roku i nagrodę w konkursie im. Wł. Strzemińskiego. Można go zestawiać dowolnie według chęci użytkownika. Świetnie nadaje się do domu na działkę lub jako wyposażenie dzieciennego pokoju. Kosztowałyby tylko 6 tys. zł i mogłoby służyć jakiś czas ludziom czekającym na bardziej solidne meble. Nie można go nawet zaproponować potencjalnym nabywcom, gdyż „Domusowi” szkoda było przeznaczyć dla niego stoisko.

Wśród projektów, które znalazły się na wystawie, były też rozwiązania wykraczające w — dość daleką przyszłość — przyszłość. Do nich należała na przykład szybka kolej miejska o napędzie magnetycznym, czy poduszkiowiec dla służb ratowniczych. System pojazdów jednośladowych, pozwalający dzięki zmianie odpowiednich elementów przekształcać rower dla dziecka w motorynkę, podobno ma jednak szansę znaleźć niedługo producenta. Czy tak będzie — zobaczymy.

W Instytucie Form Przemysłowych co roku powstają dziesiątki projektów. Taniach, pomysłowych rozwiązań podanych niemal na tacych ministerstwu Zdrowia i Opieki Społecznej, Oświaty i Wychowania, innym resortom. Nic, tylko wydać odpowiednie decyzje i uruchomić produkcję. Tymczasem ministerstwa w najlepszym razie odsyłają projektantów do producenta. A ten — wiadomo — boi się nowego. Nikt nie pamięta o tym, że wzornictwo nie podraża produkcji, często właśnie obniża jej koszty. Dzięki zastosowaniu „minimum interwencji” plastyka nierzadko udaje się zmniejszyć pracochłonność wyrobu i zużycie materiałów.

Skonstruowana u nas w latach sześćdziesiątych obrabiarka znajduje się obecnie jako eksponat w Muzeum Sztuki w Nowym Jorku. Polskie wzornictwo przemysłowe, którego początki przypadają właśnie na ten okres, zapowiadało się kiedyś znakomicie, tym bardziej, że miało mecenasa w państwie. Na wniosek działającej przy premierze Rady do spraw Wzornictwa opracowano w 1972 roku raport o stanie tej dziedziny w Polsce. Wynikało z niego między innymi, że w przemyśle ciężkim na przykład brak 600 projektantów, w szkolach — 7 tys. nauczycieli wychowania plastycznego. Dziś brakuje 14 tysięcy nauczycieli tego przedmiotu, a o tym jak wygląda problem zatrudnienia projektantów w przemyśle można się bez trudu przekonać patrząc na wyroby naszej rodzimej produkcji.

— A przecież — mówi Jerzy Derkowski — przemysł jest odpowiedzialny za wartość kultury materialnej. Gdyby na dziesięciu konstruktorów przypadł jeden współpracujący z nimi stał projektant, moglibyśmy mówić o kulturze produktów przemysłowych. Tymczasem źle rozumiane względy ekonomiczne powodują, że mamy do czynienia wręcz z zagrożeniem kulturowym.

Zadaniem szkoły plastycznej jest kształcenie studentów, a nie pukanie do zamkniętych drzwi dyrektorskich gabinetów. Jeśli role się nie odwróci, jeśli przemysł aby sprzedać swój wyrób nie będzie musiał nadawać mu atrakcyjnej formy, na naszym rynku nadal królować będzie bubeł, a my wciąż będziemy tęsknić do tej odrobiny piękna na co dzień...

DANUTA ŚMIERZCHALSKA

Uroczyste otwarcie Dumy Państwowej odbyło się 10 maja 1906 r. Doktor Antoni Rządko, wybrany przed tygodniem posłem do Petersburga, a pepesowcy wezwali robotników w całym kraju, aby nadzwyczajnie zainicjować politycznym strajkiem. Kółporterzy pepesowskich odezw nie zawsze przyjmowali, byli zyciwi, między nimi a narodowcami nieraz dochodziło do starć i awantur. Wówczas w chyb — 7 lub 8 maja — padła pierwsza ofiara walk bratobójczych, ale nie main pewności w tej sprawie. Co prawda w „Kurjerze Łódzkim” z 16 czerwca znalazłem zmianę o zabójstwie „robotnika Dąbrowskiego na Przejedzie, za to że agitował za strajkiem majowym”; co prawda raport gubernatorski wspomina o pogrzebie „ślusarza Dąbrowskiego” w dniu 10 maja, ale czy chodzi o tego samego człowieka tego nie jestem pewien. W dostępnych mi numerach nielegalnych pism socjalistycznych żadnej wzmianki o Dąbrowskim nie znalazłem, ale niewykluczone, że pisano o nim w tych, do których nie dotarłem. Nie ulega jednak wątpliwości, że choć kampania wyborcza była już zakończona — sprawa Dumy nadal budziła ostre spory i kontrowersje. Nie tylko słowne.

W przeddzień proklamowanego przez PPS strajku delegaci robotników rozpoczęli rozmowy z zarządem fabryki Tow. Akc. K. Scheiblera. Trwający od miesiąca lokaut doskwierał robotnikom bardzo. Dotkliwy był nie tylko brak zarobków, których związkowe zapomogi zrekomensować nie mogły, robotnicy mieszkający w domach fabrycznych na Wodnym Ryнку, na Księżym Młynie i przy Przedzianinie zostali wezwani do opuszczenia lokali do 20 maja. W tym samym dniu nieśli też stracić prawo do pomocy lekarskiej w szpitalu. Udogodnienia jakie Tow. Akc. dawało swym pracownikom, stały się nieoczekiwanym środkiem wymuszenia robotniczej uległości.

Strajk w dniu 10 maja objął — według raportu gubernatorskiego — jedną trzecią łódzkich fabryk a uczestniczyła w nim niepełna połowa tych robotników, którzy strajkiem świętowali i maja. Wezwanie PPS spotkało się więc z połowicznym — w najlepszym razie — odzewem. Jej zwolennicy nie przyglądali się tej sytuacji biernie, lecz zgodnie ze stosowaną przy wszystkich strajkach praktyką próbowali przepędzić z fabryk tych, których uważali za łamistraszków. W kilku fabrykach — generalni raport wymienia ich trzy — doszło do starć, a w jednej z nich — u Starkego, na Nawrot 30 — wywiązała się miala strzelanina „w której śmiertelnie ranni zostali” Pietrzykowski i Białkowski. „Pragnący zatrzymać fabrykę socjaliści zostali odpędzeni” — stwierdził general-gubernator Woniarski, według którego przeciwnikami socjalistów byli narodowcy.

Nieco inaczej przedstawiał starcie na Nawrot „Rozwój” w numerze z 10 maja. Zdaniem gazety wywiązało się ono między grupą manifestantów z czerwonym sztandarem a wojskiem, które strzelało i zraniło 19-letniego robotnika fabryki Scheiblera Władysława Nowakowskiego oraz 27-letniego Wacława Białkowskiego. „Proszeni jesteście — czytamy w notatce — o zaznaczenie, że robotnicy-narodowcy nie brali udziału w dzisiejszych bezrobociach i zająciach”.

Nazajutrz gazeta wróciła do wypadków na Nawrot prostując poprzednie informacje: w fabryce Starkego starli się socjaldemokraci z pepesowcami. „Jeden z esdeków, który śmiało występował przeciw terrorystom — został ranny kulą rewolwerową”. Do podobnych starć doszło też w fabryce Jansza na Widzewskiej, ale tam ofiar w ludziach nie było: padło — co prawda — dwadzieścia kilka strzałów, lecz ranny został tylko pies.

Gazeta i general-gubernator zgadzali się tylko w sprawie nazwiska jednej z ofiar strzelaniny: uczestnik starcia charakteryzowali go odmiennie. Myślę, że bliższy prawdy był „Rozwój”, który pisał dla mieszkańców Łodzi często z własnego doświadczenia wiedzających jak sprawa wyglądała: general-gubernator Piotrkowski z przyzwyczajenia chyba uznał, że przeciwnikami w starciu byli socjaliści i narodowcy. Tymczasem stosunki między pepesowcami a socjaldemokratami w Łodzi nigdy nie były najlepsze a różnica taktyki w dniu wyborów doprowadzała nie tylko do sporów, ale i do starć, jak w fabryce Hirsberga i Wilczyńskiego. Inna rzecz, że „Rozwój” gotów był wykorzystać każdą sposobność by rozdmuchać nieporozumienia między partiami rewolucyjnymi, zdyskredytować ich zwolenników i przedstawić socjalistów jako ludzi, którzy tylko strzelają na prawo i lewo. Jak więc naprawdę wyglądało owe zającie u Starkego?

Meldując Skalonowi, że w dniu otwarcia Dumy doszło w Łodzi do starć socjalistów a narodowcami, general Woniarski nieuzupełnił miłaj się z prawdą. W widzewskiej fabryce Heintzla i Kunitzera do pracy chcieli stanąć narodowcy więc pepesowcy próbowali ich rozpedzić. Nikt nie lubi być do czegoś zmuszany; narodowcy ociągali się, a zniecierpliwieni zwolennicy strajku zaczęli strzelać by złamać ducha oporu przeciwników. Zaciekawiony awanturą pracownik przewlekał, trzynastoletni Marcin Włodarczyk wyrzucił na podwórze a jakaś zbiakana kula ugodziła go śmiertelnie. Robotnik tkalni Rzepikowski został ranny.

W „Czerwonym Sztandarze” z 17 maja znalazłem artykuł pt. „Dzień otwarcia Dumy — dniem walki PPS z socjaldemokratami”. Przypominał on, iż SD była strajkowi przeciwna. „Burżuazja i rząd carski świętują — czegoż mamy się radować?” Tymi słowami robotnicy-socjaldemokraci wyjaśniali swoje stanowisko w rozmowach ze zwolennikami strajku. W fabryce Starkego przybyli z miasta pepesowcy żadnych rozmów podobno nie podjęli, tylko od razu zaczęli strzelać i ranił dwóch socjaldemokratów. Widząc to którzy z esdeków strzelili do napastników i jednego z nich śmiertelnie ranił, „Starcie oplakane” — stwierdzało pismo, które ze zrozumiałych względów unikało podawania nazwisk.

A więc jednak u Starkego starli się pepesowcy z socjaldemokratami. Wydarzenie to nie poprawiło, rzecz jasna, stosunków między oboma partiami socjalistycznymi. LKR, PPS oraz ZL SDKPiL wyraziły co prawda żal i ubolewanie z powodu tego co się wydarzyło, ale nie powstrzymały się od wytykania sobie wzajem rozmaitych grzechów. „Robotnik” zarzucał socjaldemokratom, że ich członkowie z fabryki Richtera wezwali żołnierzy na pomoc przed pragnącymi przerwać pracę pepesowcami; „Czerwony Sztandar” obciążał pepesowców odpowiedzialnością za śmierć jednego z członków SDKPiL od Starkego. Ranny tam Wacław Białkowski zmarł bowiem 15 maja, o czym oznajmił zamieszczony w „Sztandarze” nekrolog.

Tak więc pierwszą niewątpliwą ofiarą walk bratobójczych w Łodzi był socjaldemokrata zmarły z ran, jakie zadały mu kule wyrzuczone przez pepesowca. Ten fakt wydaje się na pierwszy rzut oka niewiarygodny, jest jednak prawdziwy. Rozważania o tym kto winien był „połowania godnego zającia” w fabryce Starkego są jałowe. Niezależnie od tego kto pierwszy pociągnął za cyngiel w tej strzelaninie, socjaldemokrata czy pepesowiec, to obwinienie za ten czyn całej partii — a czynił to i „Robotnik” i „Czerwony Sztandar” — nie ma żadnego sensu. Za brak opowania, za nadmierną pobudliwość człowieka, nie może przecież odpowiadać organizacja do której on należy. Zapominano o tym w polemikach między socjaldemokratami a pepesowcami. Zapominano i w innych, znacznie później toczonych polemikach. Całkiem niedawno mieliśmy tego przykład.

Łatwo strzelało się w owym 1906 roku. Nie tylko „dla postrachu” w górę. Nie mieli z tym większych trudności ani pepesowcy, ani socjaldemokraci, ani narodowcy. Już nazajutrz po strzelaninie u Starkego i na Widzewie paru robotników strzelało do fabrykanta Wiślickiego w jego fabryce na Długiej. W dwa dni później trzech nieznajomych zastrzeliło Sadowskiego, który przed kilkoma dniami odszedł z fabryki Nietschego. Według „Rozwoju” odgrywał on tam rolę członka partii socjaldemokratycznej, ale po aresztowaniu przed tygodniem 5 robotników tej fabryki został przez innych „zbojkotowany” i musiał zrezygnować z pracy. Myślę, że jeśli informacje te odpowiadały prawdzie, to współtowarzysze pracy uważali Sadowskiego za donosiciela, szpicla. Dlatego też chyba zginął.

W tym samym dniu, w którym zginął Sadowski — tzn. 13 maja — na ulicy Anny 22, w mieszkaniu majstra Jana Brzozowskiego żandarmeria i policja aresztowały około pięćdziesięciu socjaldemokratów, uczestników konferencji dzielnicy „Zielona”. Było rzeczą oczywistą, że taka gratka nie trafiała się żandarmom przypadkowo; ktoś znał datę i miejsce konferencji, ktoś te informacje przekazał władzom. Tym razem nikt nie oskarżał o te denuncjacje narodowców, bo i skąd któryś z nich mógłby znać tak strzeżone tajemnice partyjne. Do „wyspy” musiał się przyczynić jakiś dobrze zamaskowany „prowok”.

EDWARD SZUSTER

Nad starą blizną

W połowie maja zakończył się lokaut w fabryce Poznańskiego. Delegaci robotników zgodzili się na warunki, jakie przed kilkoma tygodniami odrzucali. Parę tysięcy ludzi wracało do roboty z ulgą, bo dokuczyla im lokautowa bieda, a jednocześnie z przekonaniem, że coś się nie udało skoro trzeba było ustąpić.

Także i delegaci z fabryk Tow. Akc. K. Scheiblera zgodzili się na podjęcie pracy na starych warunkach; i tu ludzie stawali przy warsztatach i maszynach z ulgą i goryczą. W dwóch największych łódzkich fabrykach inspirowana przez partie socjalistyczne walka o poprawę warunków pracy sukcesów nie przyniosła.

Walka o wspólną sprawę jednocy, ale poniesiona w niej porażka jedność też nadwreżała. Wśród kilkunastu tysięcy robotników Poznańskiego i Scheiblera z pewnością nie brakło takich, którzy za niepowodzenia obwiniali inicjatorów strajków; taką opinię sugerowano im zresztą i z ambony i z gazet. Ostrzeż, śmielej mówić zaczęli ci wszyscy, którzy przestrzegali przed wysuwaniem żądań, namawiali do porozumienia, do ugody z pracodawcą. Reprezentujący takie właśnie poglądy Narodowy Związek Robotników stawiał się w oczach lekceważących go dotąd ludzi organizacją godną uwagi, a nawet zaufania. Nie tylko, oczywiście, wśród robotników Scheiblera i Poznańskiego.

Nie było krzepiących robotników wydarzeń w połowie maja 1906 roku: fabrykanci stawiali się nieustępliwi, żandarmom udawali się ich łowy, między partiami robotniczymi walka szła już nie na dwa, a na trzy fronty.

GŁOS PISARZA

Do niewielkiej fabryki Lulińskiego przy ulicy Wierzbowej przybyło 17 maja kilku narodowców z innej fabryki, domagając się przyjęcia na powrót trzech zwolnionych robotników. Miejscowi pepesowcy sprzeciwili się temu tłumacząc, że między zwolnionych zarabiają dobrze a przyjęcie na ich miejsce kobiety w ogóle nie miały środków do życia. Przybyłe były nieustępliwi: od sporu przeszło do sprzeczki, od sprzeczki do kłótni, od kłótni do bójki. Padło kilkanaście strzałów, które nikomu nie uczyniły krzywdy. Ostatecznie narodowcy wycofali się.

Notatkę o tym zajściu znalazłem w „Rozwoju” z 18 maja. Mimo znanych poglądów gazety, nie formułowała ona pod adresem socjalistów żadnych oskarżeń i potępień, a więc chyba nie odmawiała racji ich argumentom. Sam epizod choć drobny był jednak znamienity: po raz pierwszy narodowcy wystąpili ofensywnie jako strona inicjująca zatarg i starcie.



Rys. Janusza Szymański-Glane

„Ze wszystkich stron kraju dochodzą wieści o terrorze, w jakim żyją robotnicy nasi, nie należący do partii socjalistycznych. W wielu miejscowościach koledzy spod znaku „Czerwonego Sztandaru” przemocą pozbawiają ich pracy, zmuszają przysięgnąć żadnego robotnika, który nie należy do partii lub też nie chce się jej opłacać”. Tak rozpoczynała się odezwa Henryka Sienkiewicza w warszawskiej „Gazecie Polskiej” a przedrukowana w „Rozwoju” 17 maja. Znakomity pisarz wzywał rodaków do gromadzenia środków „na pomoc doraźną, a zarazem na otwarcie stałego źródła zarobków dla prześladowanych” i sam listę ofiarodawców swoim darem otwierał.

Wypowiedź autora „Trylogii” musiała wywołać niemałe wrażenie: był on przecież jednym z najpopularniejszych Polaków we wszystkich trzech zaborach. To on przecież protestował przeciwko prześladowaniu we Wrześni dzieci modlących się po polsku; to on przecież przed rokiem przypominał całemu światu o istnieniu Polski uzyskując Nagrodę Nobla za „Quo vadis”.

Myślę, że wielu robotników łódzkich przyjęło słowa pisarza z szacunkiem, ale i ze zdumieniem, jako że nie bardzo wiedzieli o jakie prześladowania chodził. Ja sam także po przeczytaniu tego nieznanego mi dotąd tekstu laureata Nobla ponownie przejrzałem rocznik „Rozwoju” szukając wieści o pozbawieniu narodowców pracy pod presją socjalistów. Jestem pewien, że ten organ nie przeczyłby podobnych nadużyć wobec zwolenników bliskiej mu ideologii. Tymczasem, pomijając drukowaną 18 maja a utrzymaną w spokojnym tonie wzmiankę o zatargu u Lulińskiego, niczego nie znalazłem. Pomyślałem, że owe „wieści o terrorze” socjalistycznym dotarły do Sienkiewicza z innych miejscowości kraju, że Łódź była pod tym względem sympatycznym wyjątkiem. Chyba wielu robotników łódzkich także myślało, że to gdzie indziej socjaliści tak się na narodowców zawzięli, pewno w Warszawie albo w Zagłębiu?

Nazajutrz po opublikowaniu w „Rozwoju” sienkiewiczowskiej odezwy w fabryce Birnbauma przy Mikołajewskiej 3 doszło do bójki między narodowcami a socjalistami. Jeden robotnik odwieziony został do szpitala, drugiego, pokaleczonego nożem w rękę i pierś, opatrzył lekarz pogotowia. Jaki był powód zającia, o tym „Rozwój” nie wspominał. Fabryka Birnbauma uchodziła za „narodową” choć należała do Zydów. Już w grudniu 1905 roku socjaliści przepędzili z niej „patriotycznych łamistraszków”; w dniu wyborów w Kurii fabrycznej narodowcy zdolali przeprowadzić głosowanie. Ogłoszona poprzedniego dnia odezwa pisarza na pewno pobudzała ich do agresywniejszych występów wobec „swoich” socjalistów. Niektórzy z nich, orientujący się w nie ukrywanych zresztą politycznych sympatiach Sienkiewicza, zarzucać mu mogli wysługiwanie się endecji.

„Masz Pan do wyboru: albo podając dane dokładne dowieść, że fakty takie miały miejsce, albo odwołać to coś napisał. Dopóki Pan tego nie uczyni, ciężko będzie na Panu zarzut, żeś skłamał świadomie, żeś rzucił w celach partii do której należysz, niecie oszczerstwo. Tak kończył się artykuł pt. „Oszczerstwo Henryka Sienkiewicza”, opublikowany w „Czerwonym Sztandarze” z 21 maja. Nie wiem kiedy ten numer dotarł do Łodzi, ale na pewno zagościł stosunki między socjalistami a narodowcami. Pierwsi utrzymywali, że Sienkiewicz świadomie napisał nieprawdę, drudzy, choć o żadnych wyrzuceniach narodowców z pracy nie słyszeli, wierzyli święcie, iż taki człowiek kłamać nie może. Pewno i przy takich okazjach brali się ludzie za łby.

We wtorek 22 maja, czyli w cztery dni po pierwszej awanturze, u Birnbauma znów się zakotłowało. Jeśli wierzyć „Rozwójowi” to przyczyna sporów stała się podjęta przez socjalistów agitacja na rzecz strajku; poprzednio też o to chodziło mało. Tym razem socjaliści natarczywie mieli domagać się zatrzymania maszyn, na co narodowcy „otwarcie oświadczyli, że jeżeli socjaliści będą ich terroryzować, to wszystkich wyrzucą z fabryki”. Najwidoczniej socjaliści byli w mniejszości więc groźba ich antagonistów mogła być spełniona i chyba dlatego sprowadzili sobie posiłki. Raport generala Woniarskiego stwierdza, że do fabryki „dotarła się gromada 50 ludzi żądających zatrzymania maszyn i przerwania pracy”. Ostatecznie doszło do starcia i strzelaniny, w której ranni zostali dwaj narodowcy: Jan Rak i Andrzej Owczarek. Trzech leż rannych socjalistów „towarzysze zabrali do dorożki”. Po incydencie praca w fabryce została podjęta.

Nie po raz pierwszy narodowcy użyli tej samej metody, jaką piętnowali u swoich przeciwników. Próby usunięcia siłą pracujących wywołały ich oburzenie, ale w dniu głosowania w Kurii miejskiej sami próbowali przepędzać stojących przy maszynach robotników. Teraz — u Birnbauma — zagrozili socjalistom przedsięwzięciem ich z fabryki, czyli chcieli posłużyć się bronią, którą tak bardzo gorąco potępiał Henryk Sienkiewicz.

W komentarzu jakim „Rozwój” opatrzył informacje o starciu u Birnbauma znalazłem kilka interesujących stwierdzeń. Dowiedziałem się, iż w „pewnych zakładach” bojkot jaki socjaliści zastosowali wobec narodowców wywołał już kilka walk bratobójczych”. Dowiedziałem się także, że narodowcy proponowali socjalistom porozumienie, lecz ci je odrzucili i dlatego „spotkali się z oporem”, gdy chcieli u Birnbauma zatrzymać maszyny.

Zdziwiły mnie te stwierdzenia. Jak dotąd „Rozwój” o bojkocie wspominał tylko wówczas, gdy charakteryzował postawę towarzyszy pracy wobec podejrzanego o donosicielstwo Sadowskiego. O „kilku walkach bratobójczych” w „pewnych zakładach” w ogóle nie było w gazecie mowy, chyba że zającie u Lulińskiego po paru dniach urosło w oczach redakcji do rangi wydarzenia politycznego. Można by odnieść wrażenie, że po opublikowaniu odezwy Henryka Sienkiewicza gazeta stara się — bardzo niekonkretnie — gromadzić fakty popierające oskarżenia pisarza.

W dwa dni po bijatyce u Birnbauma, w dzień Bożego Ciała, odbyło się w kościele Świętego Krzyża nabożeństwo na intencję członków „Chrześcijańskiej Demokracji” organizacji, która dla robotników swej parafii zaczął tworzyć ksiądz Rogoziński. Miała ona w duchu chrześcijańskim kształtować stosunki między pracodawcami a robotnikami, dążyć do oczyszczenia ich z takich form gwałtu jak strajki i inne objawy przemocy. W dwa dni później w „Rozwoju” znalazł się obszerny artykuł o powstających we Francji i w Niemczech „żółtych” związkach zawodowych. Zachwalając dorobek zachodnich organizacji i partii robotniczych „Rozwój” sięgnął po obszerne cytaty z wychodzącego w Zurichu pisma nowych związków „Gelbe Arbeiter Zeitung”. „Nie chcemy strajków, bo te przeważnie robotnikom szkodę wyrządzają. Nie chcemy zawieszania broni między pracodawcami a pracownikami lecz pragniemy aby trwały połączyli ich sojusze”.

Nigdzie nie znalazłem odpowiedzi Sienkiewicza na zarzuty wysunięte w „Czerwonym Sztandarze”. Chyba nie było jej w ogóle. Jeśli tak, to czemu pisarz milczał? Być może sądził, że odpowiedź na artykuł socjaldemokratycznego pisma zasługuje tylko na pogardliwie przemilczeniu, być może nie miał nic do powiedzenia, żadnymi dowodami nie dysponował. Tak czy inaczej to milczenie natrętnie przypomina doskonałe znane bohaterom „Trylogii” przysłowie łacińskie: „Kto milczy — przytakuje”.

O tym, co sądzi o rewolucji, wypowiedział się pan Henryk w wydanej w 1910 roku, dziś zapomnianej, powieści „Wiry”, w której wydarzenia z lat 1905—1907 przedstawił jako beznadziejny i obiedny konglomerat podłości i zbrodni.

Fragment powieści, która ukaże się nakładem KAW w Łodzi

Polemiki • Listy • Opinie

JESZCZE O „ŁÓDZKIM NIEBIE”

W nr 15 „Ogłosów” A. Borkowski z Łodzi słusznie zauważył błędy w numeracji pułków 4 Polskiej Dywizji Artylerii Przeciwlotniczej w roku 1946. Istotnie w skład tej Dywizji wchodziły 77, 78 i 81 pułki artylerii przeciwlotniczej małowadziowej (37 mm) oraz 83 pułk artylerii średniokalibrowej (85 mm). Wspomniany 83 p. art. plot był więc 83 p. art. plot, zaś 19 p. art. plot — 79 pułkiem. Były to jednak prawdopodobnie błędy drukarskie, gdyż w kopii mojego maszynopisu figuruje numeracja prawidłowa. Tyle o numeracji pułków wspomnianej dywizji, o których w roku 1945 nie mieliśmy zielonego pojęcia, gdyż stanowiło to wówczas tajemnicę wojenną.

O straceniu wspomnianego samolotu Ju 88 pisze Leonard Suli w artykule pt. „Dział 4 Dywizji Artylerii Przeciwlotniczej w walkach o wyzwolenie Poznania w 1945 roku” (patrz WPH nr 1/79), a także kronika 4 DA Plot. Dział 4 nie sposób jest ustalić, czy samolot ten spadł faktycznie, czy też nie spadł. W walczących w II wojnie armjach, a szczególnie jednostkach obrony przeciwlotniczej (dla których i artylerii) bardzo często zdarzały się wypadki, że samoloty wroga i dynamicznie uznawano za zestrzelone. Działo się to nie tylko w armii niemieckiej i u jej sojuszników, ale i w koalicji antyhitlerowskiej. Najbardziej ścisłymi pod tym względem okazali się Anglicy, którym zestrzelenie każdego samolotu należało udowodnić. Dochodziło wówczas do paradoksalnych sytuacji. Np. jeżeli w zestrzeleniu nieprzyjacielskiego samolotu brały udział trzy maszyny, każdemu z tych lotników zaliczano 1/3 zestrzelenia. Po kilkunastu takich walkach powstawały niecierpiące wątpliwości i publikowano np., że dany lotnik na swoim koncie 3 i 2/7 zestrzelenia. Istniało jeszcze inne określenie, przy nadawaniu odznaczeń stracenia maszyny wroga stosowano zwrot — zestrzelony prawdopodobnie.

Co do mojego wieku to może A. Borkowski zapamiętał, że w 1939 roku miałem akurat tyle lat, co on w roku 1945. Jestem wdzięczny A. Borkowskiemu za to, że podał fakty, których był nieświadomym świadkiem. Bardzo chętnie bym z nim porozmawiał. Najlepiej w środy o godz. 16.00 w Łódzkiej Komendzie Chorągwi ZHP, przy ul. Stefanowskiego nr 19 (dawniej przedłużenie Gdańskiej przy ul. Świerczewskiego, w pobliżu Hali Sportowej). Adresu domowego nie podaje, a to z następujących powodów:

We wrześniu 1984 roku opublikowałem w „Dzienniku Łódzkim” artykuł dotyczący zbrodni niemieckiego Wehrmachtu dokonanych na polskich harcerzach ze Zgierza, Pabianic i Sieradza. Pod artykułem redakcja ta podała niebacznie mój adres. W kilka dni potem otrzymałem parę przykrych anonimów, w których zarzucały mi zniszczenie „rycerskiego” Wehrmachtu.

Zawsze byłem zdania, że tylko zdrowa i rzeczowa dyskusja bądź polemika osób, które ujawniają swoje nazwiska może dać pozytywne rezultaty. Reasumując moja wypowiedź stwierdzam, że dobrze jest kiedy świadkowie wypowiadają się pisemnie, co do zapamiętanych faktów. Pozwala to burzyć ustalając niekiedy legendę wokół wielu wydarzeń. Gorzej jest kiedy ich wypowiedzi bywają świadomie utajane.

MIECZYSLAW KOZAK

KOMU SŁUŻYŁ JÓZEF H. RETINGER?

18 czerwca 1940 roku Józef Hieronim Retinger z polecenia Winstona Churchilla, otrzymawszy samolot, poleciał do Francji. Szczęście mu dopisało, udało mu się odnaleźć gen. Władysława Sikorskiego w Libourne, co wśród reszty uciekinierów, gnanych strachem uciekających z pola walki wielkiej armii francuskiej, wcale nie było łatwe. Józef H. Retinger wywiał się z zadania znakomicie i jeszcze tego dnia przywiózł gen. Władysława Sikorskiego do Anglii na rozmowę z Winstonelem Churchilllem. 19 czerwca generał powrócił do Francji by zarządzić ewakuację rządu i resztek polskich oddziałów do Wielkiej Brytanii.

W nagrodę za to cudowne ocalenie twarzą, honoru i nadziei polskiego premiera, gen. Władysław Sikorski z własnej, a może trochę i cudzej woli uczynił Józefa H. Retingera swoim doradcą. Z dnia na dzień stał się J. H. Retinger pierwszą osobą po premierze w rządzie polskim w Londynie.

Adam Praeger, w swojej biografii, „Czas przeszły dokonany” pisze, że w Wielkiej Brytanii co najmniej Polak miał w czasie wojny opiekuna, przyjaciela, który dbał o jego wygodę i skrzętnie notował myśli. Była to z duża kultura sprawowana opieka, spod której trudno się było wyzwolić, zwłaszcza że w wielu przypadkach dochodziło pomiędzy stronami do prawdziwie przyjacielskich stosunków. Takimi opiekunami przypisanymi gen. Władysławowi Sikorskiemu przez W. Churchilla byli: Anglik Cazalet i Polak Retinger. Aż dwóch ubezpieczających się wzajemnie.

Józef Hieronim Retinger był inteligentny, sprytny nad podwójne, wyuczony na doskonałych wzorach „made in England”. Jeśli przegrywał to najczęściej dlatego, że mylił się jego mocodawca, a w takim przypadku, pokonanie pił za nich piwo, nigdy nie wskazując na zwierzchnika, który wpakował go w kabałę. Zasiadł przy nim na zaufanie i wdzięczność moich tego świata. Pracował dla nich doskonale, bez pozostawiania śladów na piśmie, otrzymywał polecenia i rozkazy, nawet we własnych prywatnych zapiskach.

Olgierd Terlecki tak ocenia rolę Cazaleta i Retingera przy Sikorskim: „...dwaj ci ludzie Retinger i Cazalet opiekowali się Sikorskim aż do jego śmierci, przy czym drugi z nich także do jego śmierci, ponieważ razem z generałem zginął w Gibraltarze i mieli poważny wpływ na jego poczynania i decyzje. Opiekowali się oczywiście, nie tylko jako ludzie osobiste, mu przysiężni i często ulegający jego osobistemu urokowi, którym jeśli się nie odemowlano, umiał się posługiwać, ale przede wszystkim jako politycy reprezentujący w każdym niemal przypadku linię już obraną, albo właśnie obraną przez brytyjski gabinet wojenny”.

Po podpisaniu traktatu Sikorski-Majski, generał pośpieszył do Szkocji, gdzie w licznych spotkaniach z żołnierzami tłumaczył sens podpisanej w Londynie umowy ze Związkiem Radzieckim. Tymczasem min. Anthony R. Eden wyzywa do siebie Józefa Retingera i obarcza go nowym zadaniem. Ma polecić do Moskwy. Niestety do dziś nie wiemy, jakich to polskich spraw miał J. Retinger w Moskwie bronić. Z drugiej strony zastanawiające jest bezceremonialność i pośpiech, z jakim montowano intrygę i to w czasie, gdy desygnowano już na stanowisko ambasadora w Moskwie prof. Stanisława Kot pokałwał walizki.

Cóż czynił w tej delikatnej sytuacji Józef H. Retinger? Idzie do prof. Stanisława Kola i opowiada, że właśnie nadarzyła się sposobność, jest wnie miejsce w samolocie, mógłby polecieć do Moskwy, wywieźć się, o nastrojach wśród Polaków, wysłuchać opinie, rozstrząsać potrzeby i w cała to wiedzę, przed obliczem stanowiska, wyposiżyć pana ambasadora na drogę, Stanisław Kot dał się złapać na tę dość marną przynętę i przyrzekł zadzwonić do gen. Władysława Sikorskiego, do Szkocji, z prośbą by przyjął i zgodził się na propozycję J. H. Retingera.

W ten oto sposób angielska inicjatywa otrzymała polskie opakowanie, a po oficjalnej akceptacji przez gen. Sikorskiego i polską pieczęć państwową, Teraz już wszystko co uczynił Józef H. Retinger w Moskwie zostanie przypisane Polakom i to zarówno przez Rosjan, jak i Anglików. Związkiem że ci ostatni spiskowali co ostatecznie wymuszające na rządzie polskim, przyznaniu mu tytułu „charge d'affaires”.

Moskwa powitała Józefa H. Retingera hymnem polskim i defiladą kompanii honorowej. Józef H. Retinger tak gorliwie przysłał do inicjacji stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską a Związkiem Radzieckim, że Rosjanie byli zmuszeni uznać go wkrótce za osobę ZSRR niepożądaną.

Wiemy, że Józef H. Retinger wyjechał do Moskwy na polecenie

Foreign Office, ale nie wiemy co mu zlecono do załatwienia. Czy np. przekroczyć samowolnie granice przyzwoitości, czy też jego zachowanie było już z góry zaplanowane? Cokolwiek przyszedł nam jednak sędzić o wystąpieniu J. H. Retingera do Rosji, za jedno powinniśmy być mu wdzięczni, za ukazanie bez ogródek sposobu w jaki Anglicy stwarzali fakty dokonane, jak wplywali na układ stosunków polsko-radzieckich, z pominięciem Polaków.

Tylko ten jeden jedyny raz ujawnił J. H. Retinger skąd czerpał swoje pomysły i jak je realizował i przetwarzał na potrzeby mocodawców. Odtąd będzie już konsekwentnie wszelkie polecenia, rozkazy z Foreign Office, od Winstona Churchilla przypisywał sobie, jak przystało na wiernego sługę, gotowego w każdej chwili wziąć bity za pomyłki swego pana. W ten sposób ubezwłasnowolnienie polskiej polityki zagranicznej stało się faktem niewidocznym, a dla bardziej przeważających bezbolesną amputację resztek naszej niepodległości.

Z polskiego punktu widzenia misja J. H. Retingera w Moskwie zakończyła się kompromitacją, a z angielskiego pełnym sukcesem. W tym bowiem czasie zaskarbił sobie doznogoną sympatię gen. Władysława Andersa, co w planach Winstona Churchilla liczyło się bardzo. Po nawiązaniu bowiem stosunków polsko-radzieckich, wiele się mówiło w polskim Londynie o ewentualnym przeniesieniu dowództwa armii lądowej do Związku Radzieckiego, gdzie wojsko to mogło liczyć na odpowiadające jego ambicjom rezerwy ludzkie. Ale Winstonowi Churchillowi zdobyła już władza nad rządem polskim była bardzo potrzebna do przetargów ze Stalinem. A już w żadnym wypadku nie chciał dopuścić do dogadania się Polaków z Rosjanami poza plecami Anglików. O co Józef Stalin tak dalece zabiegał w rozmowie z gen. Władysławem Sikorskim, podczas jego wizyty w Moskwie w listopadzie 1941 r. Podczas tej rozmowy dowiedział się gen. Sikorski, ku swemu ogromnemu zdziwieniu, że Winston Churchill poza jego plecami, bez jego wiedzy i zgody wystąpił do Józefa Stalina z prośbą o wzmożenie polskich siłami zbrojnymi powstającymi w Związku Radzieckim angielskich sił na Bliskim Wschodzie. Była to kolejna intryga brytyjska, bezceremonialna ingerencja w najżywniejsze sprawy polskie. Przygotował ją po części J. H. Retinger znajdując dla niej poparcie wśród Polaków podczas swojej wizyty w Moskwie, w tym przede wszystkim poparcie gen. Władysława Andersa.

Jak wiemy, wizyta gen. Władysława Sikorskiego w listopadzie 1941 r. w ZSRR miała ogromne znaczenie polityczne dla obu naszych narodów, była wielką manifestacją jedności i woli wspólnej walki z najeźdźcą. Rosjanie wszakże kategorycznie sprzeciwiali się obecności J. H. Retingera na liście osób mających towarzyszyć gen. W. Sikorskiemu w jego podróży do ZSRR. Anglicy, znając stanowisko Rosjan, wymusili na gen. Władysławie Sikorskim, par force, włączenie J. H. Retingera do ekipy. Rosjanie byli konsekwentni i zatrzymali Retingera w Kuibyszewie, nie dopuszczając go do uczestniczenia w rozmowach Józefa Stalina z gen. Władysławem Sikorskim na Kremlu. Jak już wspomnieliśmy Józefowi Stalinowi bardzo zależało na tym, by Polacy i Rosjanie dogadali się sami bez pomocy obcych.

Po wstępnych rozmowach, mających przede wszystkim charakter propagandowy, gen. W. Sikorski wyjechał na wizytację punktów zbrojnych, polskich ośrodków mobilizacyjnych, by po ich zakończeniu powrócić do Moskwy na najważniejszą część rozmów dotyczącą granic i przyszłości tworzących się jednostek wojska polskiego. Niestety, w drodze powrotnej zatrzymał się w Kuibyszewie, a tam czekał już na niego J. H. Retinger, doradca i opiekun. Tłumaczenie, że gen. W. Sikorski zachorował na ciężką gripę, że był osłabiony, wyczerpany, że gorączkował i dlatego na dalsze rozmowy do Moskwy nie pojechał, nie wyjaśnia wszystkim. Nie przemawia do mnie również argument, że wobec wybuchu wojny na Pacyfiku uznał dalsze rozmowy z Józefem Stalinem za nielotne. Jakby na to nie patrzeć, rozmowy te zostały przerwane z winy strony polskiej.

Jaki był wpływ J. H. Retingera na tę decyzję? Jedno nie ulega wątpliwości, że jako doradca premiera, strażnik interesów brytyjskich, wciśnięty na siłę do ekipy, wypełniał sumiennie polecenia Foreign Office. Udało się Anglikom zachować pełną kontrolę nad rządem polskim i polską armią. W ten oto, w zasadzie prosty sposób, zafundowali nam Anglicy konflikt z Rosjanami, a rząd polski zepchnął do roli potentata zebrzącego wsparcia to u jednego, to u drugiego, przeciwko trzeciemu sojusznikowi.

Moim też zdaniem zrucenie J. H. Retingera do Polski w 1941 r. należy wiązać z wybuchem Powstania Warszawskiego. Była to kolejna akcja brytyjska mająca na celu utrzymanie za wszelką cenę wpływów angielskich w powojennej Polsce. Przyleciał do Polski w całkowitej tajemnicy przed rządem polskim i polskimi władzami wojskowymi. W okupowanej Warszawie starał się nawiązać bliższe stosunki z przedstawicielami polskiej lewicy, a kiedy to się nie udało, pogodził ją z prawicą, a kiedy i to się nie udało, obrócił wpływy angielskich w Polsce powojennej przeciwko AK, wraz z zadaniem odciągnięcia Rosjan od Niemców.

Nie fantazjuje. Tylko pamiętam, co powiedział gen. Redman, przedstawiciel Wielkiej Brytanii przy Naczelnym Dowództwie

Alianckim w Waszyngtonie do pki. Leona Mitiwicz, przedstawiciela Polski przy tymże dowództwie w 1943 r.

„Jeśli zajdzie potrzeba odciągnięcia Rosjan od Niemców otrzymacie wszelką potrzebą ku temu pomoc...”

Jaki wpływ wywarli Anglicy na powstanie decyzje Armii Krajowej, moglibyśmy w pełni ocenić dopiero po dokładnym przebadaniu działalności J. H. Retingera w okupowanej Warszawie w 1944 roku. Niestety, temat to wciąż mało zbadany, a J. H. Retinger, jak przystało na takiego fachowca, nie pozostawił po swoich staraniach najmniejszych nawet śladów.

Mniej więcej od 1943 r. po nocie radzieckiej, że na zapleczu Armii Czerwonej nie będą tolerować żadnych oddziałów nie podlegających dowództwu radzieckiemu, Anglicy zaprzestali wspomaganie zrzućmi broni i amunicji, jak to głosili, swojej i od siebie całkowicie zależnej AK. I nie jest ważne w tym momencie, ile w tym było prowokacyjnego kłamstwa, a ile prawdy. Istotne było co innego. Zaniechali zrzućmi nie z powodu zanikającego zainteresowania naszymi sprawami, ale by nie drażnić, rosnącego w siłę wciąż jeszcze zachodnim Aliantom potrzebnego wschodniego sojusznika. A po drugie, po Stalingradzie i Kursku pomagając im ułatwianie Rosjanom drogi do Berlina, uważać zaczęli za co najmniej nierozsądne, z ich punktu widzenia oczywiście.

Ala, że ich zainteresowanie naszymi sprawami nie tylko, że nie słabło, lecz przeciwnie, w miarę zbliżania się Armii Czerwonej do granic Polski gwałtownie wzrastało, świadczy pieniądź. O ile od 1941 r. do 1944 r. przestali do Polski, a więc przez trzy lata, 18 milionów 713 tysięcy 325 dol. USA i 19 milionów 89 tysięcy marek niemieckich, to w miesiącach poprzedzających powstanie przekazali do Polski 16 milionów 109 tysięcy 325 dol. USA, 40 milionów 569 tysięcy 800 zł polskich.

Prof. David Strafford w książce pt. „Wielka Brytania i ruch oporu w Europie 1940-1945 r.” pisze: „Kredyty przekazywane przez SOE (specjalna przybudówka angielskiego Sztabu Imperialnego, kierująca ruchami oporu w całej Europie, podlegająca bezpośrednio W. Churchillowi — przyp. K.O.) są używane na takie cele, że gdyby się o tym dowiedzieli Rosjanie mogliby to to katastrofalny sposób zaciągnąć na stosunkach anglo-rosyjskich”.

Nie demonizując postaci J. H. Retingera, staram się z jego obecności przy podejmowaniu najważniejszych decyzji przez gen. Władysława Sikorskiego wyciągnąć być może niezbyt przyjemne dla nas wnioski. Jako doradca, miał wpływ na tok wydarzeń, tego nie kwestionuje nikt. Jako człowiek bez reszty oddany Winstonowi Churchillowi działał zawsze w interesie Wielkiej Brytanii. Ze W. Churchill układał stosunki polsko-radzieckie wedle swoich potrzeb, za nic mając nasze, temu daje świadectwo sam J. H. Retinger notując: „niemalże jakichkolwiek przeszkód stojących na jego drodze, usiłował się swojej osobowości zniszczyć wszystko co kryżowało jego pragnienia i poglądy na temat polsko-radzieckich stosunków”.

Czy potrzeba nam więcej, by zrozumieć, że nasze wyobrażenia o suwerenności naszego rządu na wychodźstwie były iluzją. Że anizmy wiedzieli co czyniliśmy sami, a co czynili za nas, w naszym imieniu, Anglicy. I niekiedy do dziś nie potrafimy tego, co było nasze od tego, co było cudze oddzielić. Aż dziw bierze np., że znawca tematu tak znakomity jak Olgierd Terlecki powtarza bezkrytycznie za prof. D. Straffordem, że (w maju 1944 r.) „połączony Komitet Wywiadów po porozumieniu z SOE zdecydował, że sprawę odpowiedzialności za powstanie należy pozostawić samemu Polakom”.

KAROL OBIDNIAK

TURNIEJ POEZJI MIŁOSNEJ

Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury Urzędu Dzielnicowego Łódź—Górna, Dzielnicowy Dom Kultury Łódź—Górna i Grupa Literacka „Centsuro” — w ramach „Wiosny Poetyckiej na Górnej” organizują: TURNIEJ POEZJI MIŁOSNEJ Regulamin turnieju:

1. W turnieju mogą uczestniczyć wszyscy, którzy do 15 maja br. nadesłają swój wiersz. (Decyduje data stempla pocztowego).
2. Wiersz nie może być wcześniej publikowany w prasie literackiej, jak również nagradzany w innym konkursie.
3. Wiersz w 3 egz. maszynopisu oznaczony godłem należy nadesłać (lub dostarczyć) do DDK Łódź—Górna, ul. Siedlecka 1, kod 93-133 z dopiskiem „Turniej Poezji Miłosnej”. W osobnej kopercie, oznaczonej tym samym godłem należy podać: imię, nazwisko i adres.
4. W przypadku nadesłania większej ilości zgłoszeń — organizatorzy zastrzegają sobie prawo wyboru wierszy do finału turnieju, bez wcześniejszego powiadamiania autorów.
5. Turniej odbędzie się w dniu 22 maja 1986 r. (czwartek) w DDK Łódź—Górna, ul. Siedlecka 1. Początek turnieju o godz. 17.30.
6. Wiersz winien być prezentowany przez autora.
7. Jury złożone z poetów, krytyków i przedstawicieli organizatorów przyzna nagrody i wyróżnienia pieniężne.
8. Przewiduje się następujące nagrody: I — 6 tys. zł, II — 3 tys. zł, III — 4 tys. zł oraz 5 wyróżnień po 2 tys. zł.
9. Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród lub niewykorzystania ich puli.

KONKURS DLA MIŁOSNIKÓW TEATRU

Oddział Wojewódzki Towarzystwa Kultury Teatralnej i Wydział Kultury i Sztuki miasta Łodzi ogłaszają stały konkurs na prace maderserska, doktorska lub inna samodzielną rozprawę dotyczącą życia i kultury teatralnej Łodzi i jej regionu w przeszłości i w czasach współczesnych.

W roku 1985/87 konkurs jest ogłoszony po raz trzeci.

REGULAMIN KONKURSU 1986/87

1. Sąd konkursowy powołują organizatorzy przy konsultacji z Wydziałem Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi i Wydziałem Filologicznym Uniwersytetu Łódzkiego w 5-osobowym składzie (który zbiera się co 2 lata począwszy od roku 1982).
2. Udział w konkursie brać mogą autorzy własnych prac ośbicie nadesłanych lub rekomendowanych przez uczelnie lub inne placówki naukowo-badawcze dostarczające i egzemplarz maszynopisu pod adresem: Oddział Wojewódzki Towarzystwa Kultury Teatralnej ul. Moniuszki 5, II p. 90-101 Łódź, tel. 32-55-87, w godz. 9-15.
3. Termin składania prac wpływa 15 grudnia 1986 r.
4. Za najlepszą pracę ustala się dwie nagrody pieniężne w wysokości 25.000 zł i 20.000 zł oraz 2 wyróżnienia po 15.000 zł. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo możliwości zmian ustaleń w zakresie przyznawania nagród i wyróżnień.
5. Organizatorzy podejmą starania o możliwość opublikowania pracy wyróżnionej i nagrodzonej oraz o ułatwienia umieszczenia w wydawnictwie lub w periodykach prac pozostałych.
6. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w marcu 1987 r. około Międzynarodowego Dnia Teatru.
7. Fundatorem nagród dla uczestników konkursu jest Wydział Kultury i Sztuki i Oddział Wojewódzki Towarzystwa Kultury Teatralnej w Łodzi.

„DZBAN CZARNOLESKIEGO MIODU”

2 kwietnia 1986 roku jury pod przewodnictwem Krzysztofa Gasińskiego rozstrzygnęło III Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O dzban czarnoleskiego miodu”. Na konkurs ogłoszony w ramach XIII Radomskiej Wiosny Literackiej wpłynęło ponad 900 wierszy z całej Polski.

- Nagrody i wyróżnienia otrzymali:
- Nagroda ufundowana przez prezydenta m. Radomia — Marek Czuku, Łódź za wiersz „List eklektyczny”.
 - Nagroda ufundowana przez Zarząd Wojewódzki ZSMP w Radomiu — Marian Lech Bednarek, Włodzisław Śląski za wiersz „Budowla”.
 - Nagroda ufundowana przez dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Radomiu — Andrzej Skiba, Jelenia Góra za wiersz „To ja”.
 - Nagroda ufundowana przez Okręg Kielecki-Radomski Stowarzyszenia Księgarzy Polskich — Jerzy Stasiak, Szczecin za wiersz „Pytania porannej godziny”.
 - wyróżnienia ufundowane przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną w Radomiu: — Rafał Jaworski, Sławków za wiersz „Odwodzenie od wysokości nagrody” — Adam J. Markiewicz, Wrocław za wiersz „z krajobrazu Małewicza” — Aleksandra Pesta, Lublin za wiersz „Oda do domu którego nie mam” — Andrzej Cezary Sawczenko, Łódź za „wiersz agitacyjny do rozpowszechniania na wiecach, wieczorach autorskich, turniejach poetyckich i innych miejscach narodowej zagłady”.
- 10 kwietnia 1986 r. na imprezie „Noc Jednego Wiersza” w czasie XIII Radomskiej Wiosny Literackiej nastąpiło ogłoszenie wyników konkursu, a aktorka Teatru im. Jana Kochanowskiego w Radomiu — Grażyna Kłodnicka — zaprezentowała wiersze nagrodzone i wyróżnione.

SŁOWA MAJĄ ZNACZENIE...

W moim artykule „Jaka róża taki cierni” poświęconym Edycie Geppert, znalazł się przykre błąd. W ostatnim rozdziale „Edyta Geppert w Łodzi” czytelnik powinien dowiedzieć się, że „Liryczne, nastrojowe piosenki bez głosu mamy sporo. Artystek estradowych obdarzonych głosem i potrafiących śpiewać nawet najtrudniejszy repertuar miscalowy mamy zaledwie kilka i do nich zaliczamy Edytę Geppert. Tylko niechby pani Geppert zdecydowała się w którą stronę muzyki rozrywkowej się udać, wyszłoby to jej na korzyść, a polskiej piosence przysporzyłoby sławy w świecie”. Ale z winy błędów, opuszczeń i przeinaczeń czytelnik nie dowiedział się tego.

BOHDAN GADOMSKI

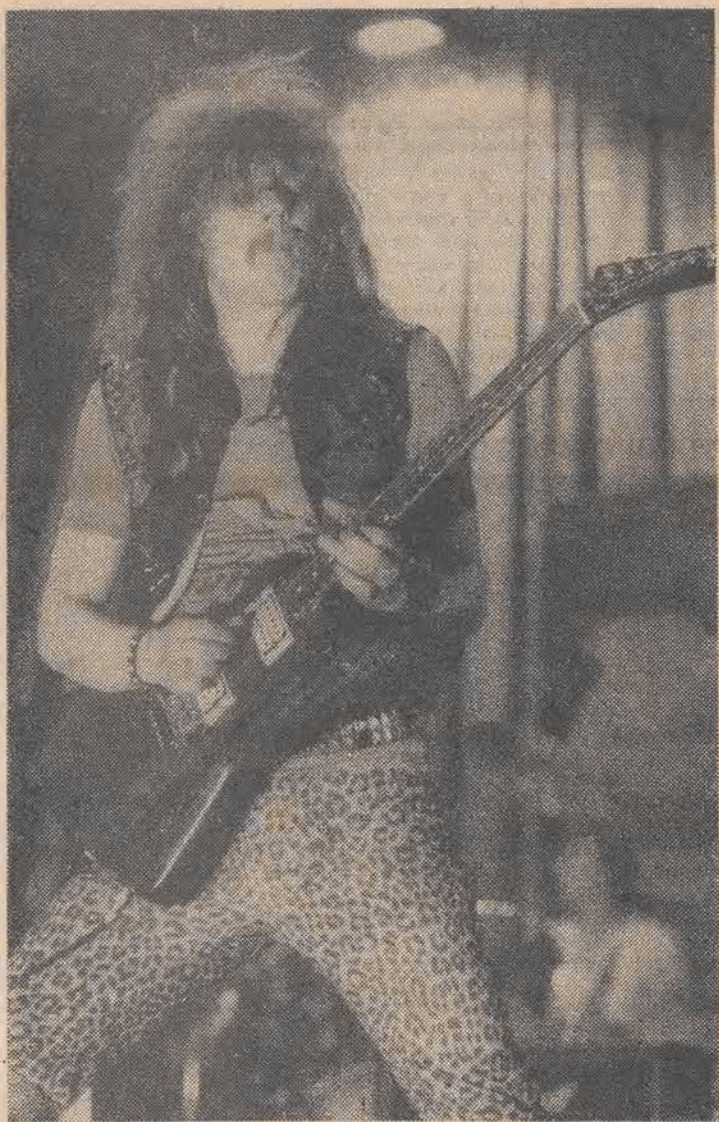


Foto: Grzegorz Gałasiński

Wróciłem z koncertów „Rockowiska” i włączyłem magnetofon z nagraniami grupy „ELECTRIC LIGHT ORCHESTRA” by poprawić sobie nastrój i zapomnieć o wrażeniach z festiwalu. Dużo bowiem wody upłynie w Łódce, zanim nasze polskie grupy osiągną poziom „ELO” czy „TALK TALK”, o ile w ogóle kiedyś ten poziom osiągną.

Wysłanie mnie na „Rockowisko” było zresztą czymś w rodzaju wpuszczenia wilka do stada owiec, jako że mając wykształcenie muzyczne, udróbinę znam się na muzyce, podstawach harmonii i aranżu, wiem także, kiedy i kto się pomyli i jaki instrument nie stroi, ale najgorsze jest to, że zdecydowanie preferuję muzykę dobrą zarówno technicznie jak i kompozycyjnie, więc nie cierpię muzyki granej przez amatorów i w dodatku po amatorsku.

PIERWSZY DZIEŃ „ROCKOWISKA”

czyli 15 kwietnia 1986 r. stał pod znakiem przeglądu łódzkich grup rockowych. Stawka, o którą miało walczyć dziewięć zespołów (zgłosiło się tylko siedem) była umiarkowanie wyso-

nie ma. Trzeba dobrze grać, tylko służyć zrywającą na ulicę. Ale prawdą jest, że rock dotuje i chyba nie z naszej winy.

Dopiero gdy zapewniłem, że nie będę wymieniał ani nazwisk, ani nazw zespołów, wypowiedzi zmieniły charakter.

— Żeby grać i osiągać efekty — mówi X — trzeba mieć układy w branży. A żeby mieć, trzeba należeć do branży od 20 lat, albo mieć tam krewniaka, albo placić. Dużo placić. A ja? Wejść w układy, zresztą już wchodzę, jestem za stary, żeby traktować muzykę jako hobby.

— Rocka się niszczy — mówi Y — bo nie jest już potrzebny. Rocka kasuje się przez brak promocji i pieniędzy. Mój kapela miała kilka koncertów, ale nie widzieliśmy ani grosza zapłaty. Osobna kwestia to weryfikacja Ministerstwa Kultury i Sztuki. Jest to kompletna bzdura! Jimmi Hendrix czy Ray Charles nigdy by w Polsce nie wypłynęli, bo są amatorami i nie mieli by weryfikacji, bez której nie ma mowy o pieniądzu.

— Kogo się lansuje? — zastanawia się X. — Zespoły typu „PAPA DANCE”. Uważa się gusty publiczności na chłanie, a tymczasem dobre zespoły grają w piwnicach i nigdy nie ujrzą światła dziennego. Przykłady? W Łodzi istniała le-

środku masowego przekazu to wypaczenie gustu publiczności, świadczące o ignorancji ludzi prowadzących te programy. Najlepszym przykładem jest „Videoteka” Krzysztofa Szwedczyka, który kupuje na Zachodzie najgorsze i najtańsze wideodyski i robi pranie mózgu. Nic dziwnego, że ludzie odwracają się od rocka, ale to wina — powtarzam — środków masowego przekazu. Nieprawda, że nie ma dobrych zespołów. Dobre zespoły są, ale panowie od kultury wolą lansować te gorsze, by udowodnić, że rock się kończy i to się musi wreszcie udać.

TAKIE JEST ZDANIE WYKONAWCÓW

Obserwując życie muzyczne w kraju trudno nie zgodzić się z niektórymi opiniami. Ale prawda — jak zwykle — ma różne oblicza. Przekonała mnie o tym konferencja prasowa w Polskim Stowarzyszeniu Jazzowym, która odbyła się nazajutrz i w trakcie której każdy dziennikarz miał na temat przyczyn kryzysu inne zdanie, choć wszyscy zgadzali się, że rock upada.

Wracając jednak do pierwszego dnia festiwalu — po burzliwych obradach jury w skła-

do „BLUE HAZE” można by jeszcze dyskutować, lecz „NEW” była grupa najgorsza i to pod każdym względem. Kompletnie dno. Ale chłopcy byli podziwiani pewni, że wygrać. A tak nawiasem — potrzeba takich jasnowidzów. Może by tak muzycy z grupy „NEW” przepowiedzieli, kiedy wreszcie zniszczone będą kartki na mięso i benzynę?

Myszę jednak, że decyzja jury była trochę nieprzemysłowa, czemu wszakże trudno się dziwić. Jurorzy bowiem byli obecni na sali w komplecie przez pierwsze zaledwie pół godziny koncertu, później na sali znajdowało się tylko trzech „dyżurnych”, reszta spędzała czas w hallu lub gdzie indziej. I wreszcie niektórzy jurorzy mogli być udróbinie niedysponowani. Jeden z jurorów znajdował się w stanie nawet bardzo wskazującym na spożycie alkoholu, a fakty to potwierdzą świadkowie.

Po piątej: o innych drobniaczkach nie wspomnę.

DRUGI DZIEŃ „ROCKOWISKA”

rozpoczął się od konferencji prasowej w zaciśniętym Łódzkim Klubu Jazzowym. Dyrektor PSJ w Łodzi (instytucja organizująca festiwal), Maciej Jaworski, zapewnił, że tegoroczne „Rockowisko” będzie już ostatnie.

Przeciwnicy rocka powinni odetchnąć z ulgą, zwolennicy natomiast będą mieli powód do radości. Zamiast tej imprezy PSJ prowadzić będzie „Dni Jazzu i Rocka”, które odbędą się już w maju 1986 r. Nie sposób oczywiście wymienić wszystkich atrakcji, ale wystarczy chyba powiedzieć, że wystąpi m.in. „LADY PANK”.

Jeszcze przed koncertami halowym odbyło się krótkie podsumowanie tegorocznego festiwalu. Niespełna 2 tys. sprzedanych biletów (na 10 tys. przygotowanych miejsc), znikome zainteresowanie mimo najintensywniejszej w historii tej imprezy reklamy, ogromny deficyt. Jak duży? Nie wiadomo.

Dyr. M. Jaworski zmusił mnie zatem do liczenia. Jeśli koszt imprezy zwróciłby się przy sprzedaniu 5 tys. biletów, każdy po 650 zł, a sprzedano — dla równego rachunku, przypuśćmy — 2 tys. biletów, to deficyt sięga kwoty przeszło 1,3 mln zł. Warto też dodać, że w obliczu klęski finansowej dyrekcja Hali Sportowej zgodziła się wypożyczyć obiekt za pół ceny, tzn. za 250 tys. zł.

Tym, którzy chcieliby dowiedzieć się, czemu kilkakrotnie przekładano termin imprezy, służy wyjaśnieniem. Okazuje się, że klimatyzacja Hali Sportowej wykonana jest z materiałów łatwopalnych, a w pobliżu przebiegają zużyte kable energetyczne. Tak więc PSJ stał się mediatorem między strażakami, dyrekcją Hali Sportowej, kierownictwem hotelu „Centrum” i zespółami biorącymi udział w koncertach. Porzekał to głos, że „jeszcze się taki nie narodził, kto by wszystkim dogodził”, ale PSJ uporał się wreszcie ze wszystkimi przeszkodami i zorganizował festiwal.

W czasie konferencji dziennikarze próbowali odpowiedzieć na pytanie, jakie są przyczyny kryzysu muzyki rockowej. Ponieważ jednak obecna była także ekipa telewizyjna, być może niedługo można będzie obejrzeć program z tej konferencji, przeto powtarzanie wypowiedzi mija się chyba z celem, tym bardziej, że niemal każdy miał na temat kryzysu rocka własne zdanie. Niemniej jednak chciałbym zwrócić uwagę na kilka — moim zdaniem cennych sformułowań: wszystkie zespoły grają tak samo i mają ten sam niemal skład. Poziom muzyki jest coraz niższy. Winę ponoszą także menażerowie, którzy wychodzą często z założenia, że nie muszą się niczego uczyć, wystarczy, że biorą pieniądze. Pokolenie fanów rocka zdążyło podrosnąć, a

JACEK GŁĘBSKI

Zmierzch bogów

ka: 50 tys. zł i próbna sesja nagraniowa w trzecim programie PR. Tradycyjnie już występy odbywały się w ZDK „Bistona”, zaś publiczność — także tradycyjnie — nie szturmowała drzwi i okien. Na sali był raczej komfortowy luz. Ekscesów (ani „seksesów”) nie zanotowano, zresztą stawilo się zaledwie kilkunastu rodowitych punków, z których część szybko się upiła (może z rozpaczy nad poziomem muzyki?) i wyniosła. Radiowóz stojący przed budynkiem też wkrótce odjechał, a służby porządkowe nie miały nic do roboty.

Z leżką w oku wspominam ubiegłoroczny przegląd grup z Łodzi, kiedy to ubolewałem, że publiczność jest „zimna” — że tylko od czasu do czasu słychać okrzyki pod adresem wykonawców: „do domu”, „na drzewo” itp., że brawa i gwizdy nie są tak spontaniczne jak kiedyś. W tym roku bowiem nie było żadnych oznak ani radości, ani zawodu, nie licząc rachitycznych oklasków. O ile w zeszłym roku publiczność była „zimna”, o tyle w tym roku lodowata, by nie rzec: skostniała.

Chodzę po korytarzu i opuszczając estradę grupom zadaję dwa pytania: czego spodziewają się po występie na „Rockowisku” i jakie są szanse przebicia się nowych zespołów.

„NEW”: — Chcemy, żeby ktoś nas zauważył, dlatego występujemy. Oczywiście wygramy (śmiechy). Przebić się? Bardzo trudno. Trzeba zainwestować. Nie, nie wnioskujemy, kto komu służy. Co jeszcze? Trzeba mieć plecy.

„CHANDRA”: — Prestiż tej imprezy jest niewielki, ale chcielibyśmy zostać zauważeni. Jak to zrobić? Nie mogę powiedzieć, czy można uczciwie. My nie dajemy żadnych kopert. Może dlatego jesteśmy tutaj.

„FAUX PAS”: — Myślmy, że jury oceni wykonawców sprawiedliwie. Układy? Są układy (protesty). Co ty mówisz, jakie układy, żadnych układów

gendarna kapela „BRAX”. I co? Brak nagrań. „AN&KS” — podobnie. „Michalonek” — to samo. Legenda łódzkiego punk-rocka KSU — również. A nie wszystkim chce się chodzić na koncerty w piwnicach. Niektórzy wolą oglądać telewizję w miękkim fotelu, a że nadszedł tam chłam, więc ludzie słuchają tego chłamu.

— W latach osiemdziesiątych — mówi Z. — był wielki boom rockowy. To było coś nowego. Panowie od kultury myśleli, że to będzie trwać wiecznie, a tymczasem publiczność się wyrobiła i nie chce być czego. Nie pomyślano w porę o promocji na przyszłość i zespoły rozpadają się lub już rozpadły. Przed stanem wojennym wolano, żeby młodzież chodziła do sal i rozbiła krzesła na koncertach, zamiast rozbić szczyby na ulicach. Rock nie jest już potrzebny. Spełnił swe zadanie i może odejść.

— Osobna kwestia to instrumenty — twierdzi X. — Nie ma na czym grać. Polskie gitary są niebezpieczne w użyciu, nie mówiąc o fatalnych parametrach. Dobre instrumenty kosztują setki tysięcy złotych. Ale to dobrze, że nie ma na czym grać. Rock jest bowiem niewygodny, rock jest buntem, a teraz potrzeba spokoju. Zresztą w ramach kultury robotniczej, a w Łodzi zjawisko takie dominuje, rock w ogóle się nie mieści. Mieszczą się „Hamamy” w pasiakach, „BOLTER” i „Baluciarze”. Długo tylko, że skoro pozwala się krytykować rzeczywistość w kabarecie, hamuje się rocka. A niechże młodzież gra, przy okazji można z tego ciągnąć pieniądze zamiast dotować, ale nikt jakoś o tym nie pomyślał, kiedy było trzeba. Puszczono samopas zespoły zeszły na psy i teraz jest już za późno.

— Rock upada — decyduje się ujawnić Leonard „Kuba” Jakubowski z zespołu „FAUX PAS”. — Winne są oddórne dyrektywy. Zresztą fakt, że np. w telewizji nie ma programów z prawdziwego zdarzenia dotyczących tego gatunku muzyki o czymś świadczy. To co robią

dzie: Walter Chełstowski (przewodniczący), Piotr Kaczowski, Ireneusz Kowalewski, Marek Niedźwiecki, Marek Protiewicz, Marek Wiernik i Rafał Szczepny-Wagnerowski zdecydowało przyznać nagrodę w wysokości 50 tys. zł grupie „BLUE HAZE”, a grupie „NEW” uhonorować próbą sesją nagraniową w trzecim programie Polskiego Radia.

I tu kilka uwag.

Po pierwsze: w jury zabrakło muzyków! Nie sposób oczywiście kwestionować działań jurorów przeglądu w zakresie upowszechniania muzyki młodej generacji, ale bycie działaczem nie powinno predestynować do wydawania sądów na temat wartości muzycznych reprezentowanych utworów.

Po drugie: tegoroczne finały wygrał zespół bluesowy „BLUE HAZE”. Abstrahując od tego, że była to jedna z gorszych pod względem techniczno-muzycznym grup, warto przypomnieć, że w zeszłym roku występowała na przeglądzie łódzkim ciekawa i świetnie zapowiadająca się formacja bluesowa „HOB NEIL”. Jurorzy (ci sami co obecnie!) w uzasadnieniu, czemu ta dobrze grająca kapela nie uzyskała wtedy nagrody, powiedzieli: „przecież oni grają bluesa, a tu jest... „Rockowisko”!

Po trzecie: przegląd łódzkich grup rockowych ma w założeniu charakter promocyjny. Jeśli to była prawda, należałoby porozmawiać — jak dotąd bywało — z grupami, wskazać drogę na przyszłość, pomówić o błędach i niedociągnięciach, czy choćby krótko uzasadnić werdykt. W tym roku nie padło z ust jurorów ani słowo komentarza. Zwycięzcy i pokonani odeszli nie wiedząc, czemu zawdzięczają sukces lub porażkę. Z jednej strony to źle, a z drugiej dobrze, bo np. w ubiegłym roku jurorzy uzasadniali swój werdykt dość dziwnie, jak choćby I. Kowalewski: „Interesuje mnie „ODLAM”. Na nim można zarobić”.

Po czwarte: werdykt wzbudził spore zdziwienie. Były grupy lepsze od nagrodzonych. Co

NOWE POKOLENIE ROCKIEM SIĘ NIE INTERESUJE,

gdyż brak odpowiedniej propagandy w tym kierunku. W każdym razie wszyscy zgodzili się, że rock powoli umiera.

Z takim właśnie nastawieniem szedłem na koncert halowy. Pamiętam, że zeszłego roku doskonale obejrzałem widowisko i lawinę gwizdów, myślałem, że będzie tak i w tym roku. Rzeczywiście jednak spłatała mi figla. Otóż publiczność, nie licząc zresztą, bo hala świeciła pustkami, bawiła się jak za dawnych dobrych czasów. Utwory zespołów „RENDEZ-VOUS”, „DZEM”, „TURBO”, „DAAB”, „REPUBLIKA” nagradzane były solidnymi brawami i niekiedy owacjami, a na pokrywach deskami lodowisku odbywały się nawet tańce. Inna sprawa, że występujące na żywo zespoły ujawniały prawdziwe braki warsztatowe i słychać było oburzające różnice między tym, co zaprezentowano, a tym, co można słyszeć w radio lub na płytach, ale wiadomo, że w trakcie nagrania studyjnych zawsze można ratować się sztuczkami technicznymi lub dyżurnymi muzykami sesyjnymi. Koncertujące zespoły pokazywały więc swoje prawdziwe oblicze, co jednak nie zraziło mało chyba wymagającej widowni.

Nawet brak wśród wykonawców szumnie zapowiadanej grupy „TSA” nie zdołał zepsuć pogodnego nastroju. Na marginesie warto dodać, że grupa ta zrezygnowała z występu, gdyż organizatorzy nie chcieli zapłacić 300 tys. zł za koncert. Z pewnością z tych samych powodów nie oglądaliśmy od dawna na „Rockowisku” innych renomowanych zespołów jak np. „LADY PANK”. Kwestia spórnych stawek, jakich domagała się bardziej uznane formacje, ogranicza możliwości występów, a to z kolei rzutuje na stopniowo, ale systematycznie pogarszającą się atrakcyjność imprezy. Zamyka się więc błędne koło: nie ma zespołów, bo nie ma sporej widowni, która mogłaby opłacić występy, a nie ma widowni, bo... nie ma zespołów. Ale na szczęście nie ma też problemu „Rockowisko” zakończyło w tym roku swój żywot definitywnie. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że „Dni Jazzy i Rocka” wypełnią tę lukę i że Łódź nie stanie się już zupełną pustynią, jeśli chodzi o imprezy muzyczne przeznaczone dla młodej widowni.

Wracając do tegorocznego „Rockowiska” — cieszyć się można tylko z jednego: słaba muzyka (czy może szeroko pojęty kryzys rocka?) zlagodziła obyczaje i gwałtowne niegdyś temperamento młodych widzów na koncertach. Liczne oddziały milicji nie miały nie do roboty. Jak wyjaśnia kapitan Janiczak z WUSW zawiązujący akcjami, nie wydarzyło się nic, co mogłoby zakłócić porządek publiczny, nie zauważono też ani jednego narkomana.

Fakt, że obyczaje młodzieży zlagodziły, potwierdzają — oprócz zachowania — także stroje. Okazuje się, że ora nabitych pinezkami skórzanych kurtek, żyłetek i agrafech w uszach, tańczących, podkutych butów i bajecznie kolorowych włosów sterczących jak szpilki należało do przeszłości. Sporo dziewcząt miało na sobie — wieczerowe kreacje, zaś niektórzy chłopcy odważyli się przyć z białych koszulach.

Tak więc jeżeli nawet wbrew powszechnym opiniom polski rock nie wyzionął ostatnie ducha, zanika powoli jego ołoczek kreatora subkultury młodzieżowej. Rock jako zjawisko społeczne przestaje mieć znaczenie, pozostaje sama muzyka, coraz bardziej „ograna” i coraz mniej chętnie słuchana. Pozostaje jednak problem: co dalej? Przyroda — jak wiadomo — nie znosi próżni. Co zamiast rocka? Oto jest pytanie...

W dniach 4-8 kwietnia w Łodzi odbyły się I Spotkania Muzyków Reggae — EFFATA'86. Wzięli w nich udział instrumentalni z zespołów: Bakszys, Kultura, Izak, Izrael, Rap, Rokosz, Kryterium, Katharsis, Niepodległość Trójkątów, Space Light Orchestra, Gedeon Jerubal. Organizował je Dom Teatru Łódzkiego Domu Kultury, a rolę gospodarza pełnił zespół Katharsis, mający swe przytulisko w raczonym Domu. Zjechało więc różnobarwne bractwo z Polski (Warszawa, Szczecin, Tarnobrzeg), by przez trzy dni cieszyć się wspólnie swoją muzyką i grać, grać, grać...

CO TO JEST REGGAE?

Reggae, lub jak mówiono na samym początku, gdzieś w połowie lat 60-tych Reggay — to w jamajskim patois określenie czegoś obdartego, przeraźliwie biednego, ale zarazem dzikiego i wolnego. Ostatnio nadużywa się tego słowa, przypinając etykietkę reggae wszystkim produkcjom muzycznym z rytmiką „ska”. Tak czy owak, mamy niewątpliwie do czynienia ze zjawiskiem socjologicznym, muzyka ta stała się nośnikiem idei ruchu Rastafari, rodzajem jego oręża. Wabi nas egzotyka, witalność karaibskiego folkloru, ale i porywa duch, jaki tutaj panuje. Chodzi bowiem o wiarę, miłość, pokój i wolność — pojęcia mocno już wyświechtane i zdewaluowane.

Niektórzy „kupują” reggae i Rasta bardzo powierzchownie, widząc jedynie to, co chcą dożyć, np. zwyczajowe w tamtym regionie palenie odurzających ziół i przyglądają się Rastamanom jak takim fajnym przebierańcom — blaznom w repertuarze ich grepsów, cyrkowych sztuczek. Inni znów bez cienia krytycyzmu przyjmują wszystko dosłownie — „kupują” religię i ideologię jako swoją — fetyszując. Nie ma to chyba większego sensu, zwłaszcza że mamy do czynienia z czymś określonym dokładnie pod względem etnicznym, a nawet o podłożu rasowym: kontra białym.

Trzeba więc spojrzeć na zjawisko inaczej. Rastafarianie to ludzie ukształtowani przez warunki i okoliczności w jakich się znajdują, z całym bagażem własnej historii, tradycji, religii i kultury. Szukają możliwie godnego miejsca we współczesnym świecie, tożsamości i więzi z innymi czarnymi, zamieszkanymi najrozmaitsze zakątki naszego globu. Jamajczycy są szczególnym narodem w etnograficznym tyglu Ameryki Łacińskiej. Dominuje tam Etiopski Kościół Ortodoksyjny, wywodzący się z tradycji Kościoła Koptyskiego. Skupia on zdecydowaną większość ludności czarnej jak heban i trochę jaśniejszej, ale mającej więcej wspólnego z Indianami czy Chinczykami niż z Europejczykami czy białymi Amerykanami, z których wywodzą się ich możnowładcy. Obydwa partie wiodące w życiu politycznym Jamajki są opanowane przez białych. I wszystko jedno, czy aktualnie premierem jest Edward Seaga, czy Malcolm Manley, bo obaj bliźnięta mają związki ze Stanami Zjednoczonymi czy Wielką Brytanią, niż z żyjącymi tutaj czarnymi pariasami. Rastafarianie jamajscy są tego świadomi i dlatego bardziej utożsamiają się z postępowymi siłami w Afryce niż z tymi, których przodkowie prapradziadków ich stamtąd wywieźli. Widzą otaczającą rzeczywistość: bogatych białych i budowane oazy dla przybyszów: hotele Holiday Inn, Sheraton czy kluby Playboya. Biznesmeni stworzyli coś w rodzaju ogrodu zoologicznego Rasta, z którego czerpią krociowe zyski. Pogłębiają i tak dra-

styczne kontrasty społeczne w barwach czarno-białych.

Ci, których pokazuje się jak okazy w menażerii, zdają sobie sprawę ze swej roli i dlatego demonstrują na każdym kroku swoją niezależność. Przyjęli postawę Rastamanów — „uźli” żyjących w harmonii z naturą, wolnych od pieniądza, własności, kłopotów — ponijże wartości — pracy, Mówią, że energię i radość życia czerpią z promieni słonecznych, żywią się tym, co sami zbierają w buszu, co wyhodują. Nie potrzebują ciepłych ubrań, solidnych domów — Natura im sprzyja. Nie jedzą mięsa, nie piją alkoholu. Diabeł — władca pieniądza i jego orędownicy są bezsilni wobec ascetycznych, ale przeważnie uśmiechniętych Rastamanów i ich pieśni reggae. Muzyka jest tutaj wszędzie, towarzyszy Jamajczykom na każdym kroku. Jest środkiem przekazu idei, informacji — uczy i bawi, sprzyja poczuciu jedności i pozwala wynieść się wysoko ponad marność tego świata. Spełnia tyle funkcji, ponieważ większość czarnych żyje w ciemności, nie ma kontaktu z książką, telewizją, kinem czy teatrem. Wiele z nich nigdy nie chodziło do szkoły. Są analfabetami.

A więc „do the reggae” — grajcie, śpiewajcie reggae. To hasło rzucił przed laty Lee Scratch Perry. Podjęli je Rude Boys — uliczny z dzelnicy największej biedy w Kingston — The Wailers — tacy Rastamanscy Placzkowie. Podstaw muzyki i samego mu-

MAREK KOPROWSKI

Taksówka pełna reggae

zykowania nauczył ich pieśniarz prowadzący szkołę pod gołym niebem, Joe Higgs. Jak wszyscy młodzi sięgnęli po elektryczne gitary i zaczęli śpiewać po swojemu, o tym wszystkim, co dla nich najważniejsze. Roots, Rock, Reggae — czyli korzenie kultury, tradycja we współczesnej rockowej opowieści, i — reggae: pieśń kontestacji. Pod takim standardem Wailers zdobywali Europę w początkach lat 70-tych.

Od samego początku dyskryminowani ich muzykę: na Jamajce w radio grzano ją tylko po północy, w Europie natomiast nie było jej na antenie prawie wcale. Typowano gwiazdy rocka i disco do lansowania przebojów Boba Marleya, chociaż w sklepach jego płyty rozchodziły się w ogromnych ilościach. Po pierwszych koncertach Wailersów w Londynie, które przerosły w prawdziwe manifestacje jedności murzynskiej i wszystkich sił postępowych, ktoś się przestraszył. Dlaczego? Właśnie: dlaczego strzelano w grudniu 1976 roku do Marleya. Chociażby dla tego samego, dlaczego zaproszono go do wzięcia udziału w uroczystościach proklamacji niepodległości z joczoru obcej mu Zimbabwy. Zwyczajne piosenki, o których wielu mówi, że ziele monotonią i nudą, że względu na rytm „ska” i prostotę wokalnych kanonów — wyraźnie komuś zagroziły. Był może dlatego po śmierci Boba Marleya w Centralnym Parku w Kingston wystawiono mu pomnik jako jamajskiemu bohaterowi narodowemu.

Świat wielkich gwiazd reggae, niestety, już nie istnieje. Koncerty Misty in Roots w naszym kraju były właściwie tylko czymś wtórnym, mutacją karaibskiego fenomenu w wydaniu na polę afrykańskim, stworzonym z dala od odczynu reggae, Jamajki, w Anglii. Nie przyjadą do nas w gościnę ani legendarny Bob Marley, ani Black Uhuru uwikłany ostatnio w proces finansowy, ani podzieleni Twinkle Brothers, ani też Prince Lincoln Thompson, którego zlekceważono i obrażono. Jeżeli w końcu zawitał Peter Tosh czy Bunny Waller i okaże się, że ich muzyka straciła swego ducha, tak jak w przypadku Raya Charlesa czy Johna Mayalla, zrozumieją, że znowu coś przespaliśmy.

VIDEO-REGGAE

Tę krótką, zakończoną tak nostalgicznie, historię fascynującej muzyki reggae, wygłosił Włodzisław Kłyszcz z III programu Polskiego Radia, gość Spotkań, na otwarcie łódzkiej imprezy. Po czym zaproszeni muzycy (publiczność zjawiała się dopiero trzeciego dnia, na koncercie), obejrzeli filmy wideo z koncertów największych i najslawniejszych wykonawców tego kierunku w muzyce, wymienionych wyżej z imion i nazwisk. Zupełnie fenomenalnie okazał się natomiast wymieniony — Linton Kwesi Johnson. Po jego występach, kilka angielskich miejscowości ogarnęły zamieszki na tle rasowym. Recytował on (bez muzyki) własne wiersze, które i na ludziach nie znających języka robiły wrażenie przejmującej interpretacji. Rytm i melodyka reggae — deklamacji pogłębiały jej dramatyczne treści. Sala — ta w telewizorze i ta przed telewizorem — słuchała niezwyklego występu w ciszy i skupieniu. Śpiewał on również piosenki, zachowując powściągliwość na estradzie, a skupiając się na treści i przesłaniu utworów. Podniósł wie-

lobarwny folklor do rangi wydarzenia intelektualnego, wygłosił i wyśpiewał tragizm czarnego człowieka w świecie białych. Teraz już nie występuje — poświęcił się pracy naukowej.

Srodkowy dzień Spotkań uczestnicy (młodzież około dwudziestoletnia pici obojga, z miazdzącą przewagą chłopców) przeznaczili na tzw. warsztaty muzyczne. Zajęcia odbywały się w grupach instrumentalnych, lecz nie tylko. Grali w różnych składach, jak chcieli, założeniem bowiem imprezy, było nieskrępowanie jakiegokolwiek ograniczenia. Mieli się poznać jako ludzie i jako muzycy, wymienić doświadczenia, nauczyć się czegoś od siebie, popatrzeć, posłuchać, pograć, pogadać. Mieszkali razem, jedli razem, cały czas byli razem. Mieli się do siebie zbliżyć, ośmielić, może zrobić w przyszłości coś na naszym polskim gruncie dla tej muzyki, którą uznali za swoją. Ma ona zwolenników w naszym kraju, ale, uważam, nie jest jeszcze tak znana, jak na to zasługuje, tym bardziej w porównaniu z punk-rockiem czy heavy-metalem. Może ci chłopcy — zapaleńcy zmieniać coś na korzyść w układach wymienionych kierunków muzyki młodzieżowej. Reggae ze swym niepokojącym rytmem (wcale nie monotonicznym, trzeba tylko dobrze słuchać), mogący wprowadzić w cudowny rodzaj transu, godne jest najwybredniejszych uszu.

KONCERT

Niewielką salę Domu Kultury Ludowej wypełnił tłumnie sympatyczny i wielobicie reggae, mimo iż impreza niezbyt natchniona reklamowana była na ulicach Łodzi. Gdzieniedzie tylko pojawili się afisz i to tak rozmieszczony, jakby wstydziły się swojego niewielkiego formatu. No, ale publika dopi-

śnięta. Nawet trochę się ścisła. Nierzytyka malowniczo wyglądała ten tłum w różnobarwnych strojach rozmaitego kroju, kolorowych fryzurach wszelkiej długości, wielu zrobionych „na Marleya”, co nie jest wcale łatwe. Przyszło też trochę nutaków. Incydentów nie zanotowano.

Przypuszczam, że na widok tych, inaczej, wyglądających młodych ludzi (traktuję to „inaczej” w najlepszym znaczeniu) niejedną dobrze urodzoną obojętność z poprawiającymi jego samopoczucie „falekami” w łazience, buzeria w przedpokoju i meblówką w „stolowym”, popluliwały za siebie z obrzydzeniem, wymyślając w rozumie najgorsze szlaki na „takich oberwańców”. Wiem, że są tacy. Cóż, nie rozumieją biedacy, że ich słusznym do życia i fetyszizacji „rzeczy” nie budzi zachwytu u „tych odmienców”. Tyle że odmieniec złe nikomu nie życzy. Oni fascynują się nie tylko samą muzyką. Przyswoili sobie również niektóre elementy ideologii ruchu Rasta-reggae. Np. programowo nie piją alkoholu. Nie podchodzą do życia konsumpcyjnie. Oby jest im świat tzw. mieszczaństwa czy pogoni za pieniądzem. W większości znają język angielski, co ilustrowały prawidłowe reakcje na tekst mówiony w wyświetlanych filmach. Wystarczy? Pała tylko papierosy. Nakopili w sali koncertowej koncerlowo.

Wstęp zaczął się od prezentacji łódzkiego zespołu „Ka-

W czasie warsztatów muzycznych walił w bębny, kongę i bongosy, dęł w saksofony, flety, klarnety i śpiewał przez cały dzień i do trzeciej w nocy i jeszcze im było mało. Mają zapal, panie dzieciu, lecz ten zapal jest im potrzebny. Bo mają również świadomość, że muszą się jeszcze dużo uczyć, a gdy już wszystko będą umieli, to w dalszym ciągu muszą się uczyć.

„KWAKI”

Spotkaliśmy się u wejścia do Domu Teatru. On podjechał taksówką, zamknął drzwi kluczykiem i wszedł do środka. Do klapy miał przypiętą wizytówkę spotkań. Pełnił obowiązki porządkowego (porządek był przez cały czas), tak jak wszyscy mu podobni nieodpłatnie, honorowo. (Nie używam słowa „społecznie”, bo stało się ono szmatławie, wzbudzając ironiczny uśmiech lub nieudawaną irytację). Otóż, Siawek, dla kumpli i przyjaciół „Kwaki” jest zagorzałym wielbicielem muzyki reggae i zespołu „Katharsis”. Jego taksówka bardzo często wypełnia się ludźmi z zespołu, ich gratami, czyli instrumentalami, a on sam, tak powiada, pomaga im jak może, nie szczędząc nawet poparcia finansowego. Poświęca temu swój wolny czas. Jest skromny, traktuje rzecz naturalnie, jak coś oczywistego. Bo dla niego jest to oczywiste. Nie ma o czym gadać. Ma 33 lata, długą brodę, długie włosy i ujmujący uśmiech. Sympatią, da się lubić od pierwszego słowa. Przejmuje się imprezą, podchodzi do niej emocjonalnie, z nieukrywaną dumą, bo jest i jego udział w tym, że się odbywa.

Mówi:

— Przyjechały zespoły znane i mniej znane, zaczynające dopiero działalność. Ale to nie znaczy, że ci nowicjusze nie mają do powiedzenia. Jest, np. do grona wyjadaczy, zespół, rutyniarzy, którym wydaje się, że wszystko już wiedzą — wejdzie ktoś nowy, nowa twarz i zacznie mówić inaczej po swojemu, albo mówić coś, o czym ci rutyniarze jednak nie wiedzieli — to przecież dobrze, nie? A i on nauczyć się może dużo.

Trafnie zilustrował cel spotkań muzyków reggae. Pytam, czy będą następne spotkania, skoro obecne są pierwsze.

— Nikt o tym nie myśli, trudno cokolwiek przewidzieć. Dobrze by było — oczywiście — zorganizować kolejne zajęcia. I to niekoniecznie w Łodzi. Kapele są z różnych stron kraju. Niczego się jednak nie planuje. Wszystko zależy od dobrej woli, chęci spotkania się. Chodzi o luz, nieskrępowanie. W takiej atmosferze łatwiej o wymianę doświadczeń, nauczanie się czegoś, podciąganie się. Dobrze by było, gdyby każdy z nich choć pylek swego przyszłego kształtu artystycznego zawdzięczał temu spotkaniu — kończy „Kwaki” i odchodzi bo ktoś go do czegoś potrzebuje.

Nietrudno zauważyć, że uczestnicy imprezy traktują ją jak coś naprawdę ważnego, mają świadomość, że spotkania są im rzeczywiście potrzebne. Otoczeni ciepłą opieką pracowników Domu Teatru czują się dobrze i swojsko. Ktoś niegłupio pomyślał, by ich tu skrzyknąć. Niech wiedzą, że się ich dostrzegają i doceniają. Że nie są zdani tylko na siebie. Że są ludzie, na których mogą liczyć.

TAKSÓWKA

Po zakończeniu 4-godzinnego pokazu filmów z muzyką reggae, kiedy wszystkie pory w skórze wypełnione są jej dźwiękami, Siawek „Kwaki” schodzi do swojej taksówki i przed włączeniem silnika, włącza magnetofon stereo z głośnikami przy tylnym szybie. Wnętrze samochodu wypełnia ją rytmy... oczywiście, reggae. Dopiero wtedy odjeżdża. Naturalnie z kompanią muzyków.

„Do the reggae” — przyjacieli!

Doliński nie rozmawiał wiele z domownikami, ale zamknął się w swoim pokoju i zaczął przesiadywać tam, zabrał się za pisanie, notując poszczególne wypowiedzi. Była to żmudna praca, ale ponieważ zabrał się do niej natychmiast i wszystko miał jeszcze w pamięci, szło mu dość łatwo. I on jednak czuł coraz bardziej ogarniające go zmęczenie. Kawa pozwoliła odzyskać mu świeżość: dzięki niej zdołał doprowadzić notatki do końca. To, co spisał, traktował jako tworzenie do artykułu.

Ostry dźwięk budzikowego dzwonka poderwał go na nogi. Wziął przysięgę i usiadł przy maszynie. Po dwóch godzinach miał już tekst gotowy.

Z redakcji zadzwonił do Piotrowskiego. Pierwszy zdziwił się niezmiernie:

— Co? Już napisaliście? Nie sądziłem, że jesteście tacy szybcy. Co, czy chce przeczytać?

— Przecież towarzyszu zaprosił mnie na to zebranie i był tam poniekąd centralną postacią... Myślałem więc...

— Dajcie spokój, towarzyszu Doliński! Sądze, że wyważyliście wszystko. Chodzi mi tylko o to, abym nie wypadł jako ta centralna, jak mówicie, postać. Tu chodzi przecież o robotników! Przeczytaj już w druku.

— A jeśli nie będzie tak, to zmykajcie mi głowę!

— Utnę. Mam u siebie taką małą gilotynkę z czasów rewolucji francuskiej. Doliński, powiem wam tak szczerze i trochę brutalnie: ja mogę ewentualnie czytać tylko teksty wagi państwowej w wojewódzkim wymiarze.

— Sekretarz Gnatowski, jak się dowie o tym zebraniu i o tym, że ja mam pisać, to zapewne zechce ten tekst przeczytać przed posłaniem go do drukarni.

— Gnatowski się nie dowie, a gdyby nawet, to niech się od was odczepi. On ma dosyć innych zajęć. Propaganda właściwie leży. Ja go już wezmę do galopu. Mam tutaj nowe sygnały... Nie, nie, już nie polowanka, nie willa! No to cześć, trzymajcie się marksistowskiej busoli. A jeszcze coś... „Solidarność” wydała swój pierwszy biuletyn pod redakcją tego waszego Michałka. Tytuł: „Przebudzenie”.

— Michałek zwołał się z miejsca. My jesteśmy wobec niego w porządku.

— Baba z wozu, koniom lżej. Wyślijcie kogoś do miasta. Przed siedzibą „Solidarności” sprzedają ten biuletyn. Poczytajcie sobie.

Wszedł sekretarz redakcji, Bocianowicz, ale Doliński przeprosił go na moment, bo chciał załatwić kupno biuletynu. Okazało się, że nie trzeba było wysłać gościa, biuletyn doniesiono z MKZ. Na pierwszej stronie widniała nawet dedykacja: „Towarzyszowi Dolińskiemu, aby miał co krytykować”. Pod tym podpisał się Michałek. I była nawet pieczęć: „redaktor naczelny”.

Po Bocianowiczu zjawił się Jabłoński.

— Byłeś ze starym w Fabryce? Wszystko wiem.

— Jak zwykle masz dobry wywiad. A ciekawy jestem od kogo? — Szukala to mój przyjaciel z ławy szkolnej. Z matmy miał zawsze cyngle, ale jakoś maturę zdał. Mocny był z historii. Telefonował dzisiaj do mnie.

— Po co?

— Wiesz, jak to jest...

— Nie wiem. Jak?

— On się boi o to twoje sprawozdanie. Chciałby je przeczytać przed wydrukowaniem.

— Czy on czytał? Nawet Pierwszy nie chciał...

— Pierwszy to pierwszy, a dziesiąty to dziesiąty. Ale ja mu powiedziałem, żeby ci dupy nie zawracał. Byłem pewien, że tak właśnie zareagujesz.

(...) Tylko Doliński wszedł następnego dnia do redakcji, a już za nim pojawił się Grabowski.

— Chciałem... — jakby się zawahał — wziąć jutro wolny dzień.

— Bierz, stało się coś?

— Pisała moja była żona. Ma jakieś kłopoty z synem. Chce, abym przyjechał.

— To jedź, oczywiście, że jedź. Ile już lat ma ten twój...

— Wojtek? W przyszłym roku zdaje maturę.

— Boże, jak ten czas leci! Pamiętam go, kiedy jeszcze leżał w łóżku. Widujesz go?

— Rządno.

— Twoja sprawa. Wracasz pojutrze?

— Nie, chyba jutro, to niedaleko, chociaż moja skoda w naprawie. Muszę tuć się pociągiem.

— Zapomniałeś już chyba, jak się jeździ pociągiem. Urosła stopa!

— Ty też zapomniałeś! Przysięgam! Kocioł garnkowy!

(...) Grabowski wyjechał rannym pociągiem. Nie było specjalnego tłoku, pasażerowie jechali do miasta rano, a wieczorem wracali z przedświątecznymi zakupami. Grabowski początkowo zamierzał zabrać się autobusem, ale nie dostał już biletu.

W ustronnym miejscu zdziwił się na widok lustra, zdziwił się, bo niedawno w dyrekcji kolei czytał dokument, z którego wynikało, że w ostatnich miesiącach pasażerowie coraz bardziej dewastują wagony, giną zwłaszcza lustra, nie mówiąc już o firankach, a nawet całych fotelach czy siedzeniach, które później znajdowano w ogródkach działkowych.

Podciągnął grzebieniem włosy. Lustró nie kłamało: w ostatnim czasie posunął się nieco w latach, twarz stała się bardziej nalana, a pod oczyma pojawiły się pokaźnych rozmiarów worki. Martwiło go to trochę, bo mogło świadczyć o symptomach jakiejś choroby. Chociaż teraz nie oszczędzał się zbyt, a kilka razy solidnie popił. Grabowski miał jednak swoje zasady i prawie nigdy nie biesiadował w gronie kolegów redakcyjnych. W redakcji niektórzy uważali go za abstynenta. Powód był prosty. Kiedyś w nocy, po dużej wódce, uderzył samochodem w polewaczkę. Stanął przed kolegium, wymierzono mu karę, zabrano prawo jazdy na pewien czas i w sumie miał wiele nieprzyjemności. Ostatecznie poprzedni naczelny pomógł mu w złagodzeniu tej najcięższej kary: odzyskał wcześniej prawo jazdy, ale musiał solennie obiecać, i to na zebraniu partyjnym, że z wódką już nie przeholuje. No i rzeczywiście nigdy po alkoholu nie wsiadł do samochodu.

Spojrzał na zegarek. Pociąg, choć wolno, jechał zgodnie z rozkładem jazdy. Umówił się ze swoją byłą żoną o jedenastej. W miejscowej kawiarni. Tylko jedna była w miasteczku i nazywała się szumnie „Jutrzenka”.

(...) Elżbieta już czekała przy stoliku. Miała do niego, jak pisała w liście, dwie sprawy. Pierwsza — to studia syna. Wprawdzie do matury pozostawało mu prawie jeszcze pół roku, ale ona już z góry martwiła się, jak mu „załatwić” — tak się w liście wyraziła — dostanie się na studia medyczne. To ona sama wybrała dla niego ten kierunek, bo chciała, aby poszedł w jej ślady. Dostatecznie wiele zainwestowała w gabinet rentgenowski, zresztą dzięki pomocy rodziców, którzy pozbyli się kilku hektarów urodzajnej gleby. Wówczas, gdy się urządzała, liczył się każdy grosz. W małym miasteczku, w którym mieszkała, ów gabinet cieszył się dużym powodzeniem, zwłaszcza że był jedynym. Oszczędzał ludziom czas.

— Niewiele się zmieniłeś — powiedziała na wstępie. — Trochę tylko postawiłeś.

Może by i uwiertzył, gdyby nie to lustro w wagonie...

— Niewiele! Dobra jesteś! Ostatni raz widzieliśmy się przed ośmioma bodaj laty!

— Ośmioma? Nie przypuszczałabym... Jesteś ciągle zajęty pisaniną? Jak widzę, tu i ówdzie podróżujesz. Czytałem twoje reportaże z Niemiec. Z jednych i z drugich.

— Różnie bywa. A co u ciebie? Kiedyś, zupełnie przypadkowo, spotkałem na bazarze twoją matkę. Mówiła, że się rozwiodła. Jak widzę, i Jurek nie mógł z tobą wytrzymać... No, nie gniewaj się. Zartowałem. W życiu różnie się układa.

— Zawsze miałeś głupie żarty. Ale ty za to dobiłeś do przystanku! I taki mąż, który często jeździ za granicę, to dzisiaj prawdziwy skarb. Ta twoja Zuzia też podróżuje? Razem z tobą?

— Bez przesady. Chyba, że jeżdżę prywatnie. Wypijemy po kieliszku?

— Chętnie. Trochę czuję się zmęczona. Myślisz, że do przyjemności należy to ciągle wysiadywanie w ciemni, prześwietlanie, wywoływanie, opisywanie...

— Masz chyba jakąś pomoc?

— Ale wszystkiego trzeba dopilnować!

— Co z synem? — zmienił temat. — Studia — to pierwsza sprawa, a druga — kłopoty wychowawcze. Pisałaś o tym w liście, mam go gdzieś przy sobie...

— Nie szukaj!

— Co do studiów to jeszcze mamy sporo czasu. Martwiła mnie jednak te problemy wychowawcze. Nie podajesz żadnych szczegółów.

— Jak dla kogo sporo czasu! Myśleć o tym i działać — na słowo „działać” położyła specjalny akcent — trzeba już dzisiaj. On punktów za pochodzenie, niestety, nie ma. Nam kiedyś było łatwiej.

— Jak mu pomogę? Jeśli nie zda egzaminu, to głową muru nie przebiję!

— Masz swoje znajomości.

— To dzisiaj nieaktualne. Nie twórz mitów!

Kelnerka przyniosła napełnione kieliszki. Przechylił.

— Ty też dobrze wyglądasz — wcale nie chciał się jej przychylić.

— Przytyłam!

— Może trochę. Ale te uwypuklenia podkreślają twoją urodę!

Poprosił kelnerkę o następną kolejkę.

— Ale ty się szarpiesz! Kiedyś byłeś bardziej oszczędny!

— Kiedyś ledwie wiązałyśmy koniec z końcem. Pamiętasz, ile musieliśmy płacić za sublokatorkę? A potem ciągle spłacałymi raty. Jedne się kończyły i przychodziły następne. I tak w kółko. Nie wpływało to dodatnio na kultywowanie, że tak powiem, naszej miłości.

MAREK ADAM JAWORSKI

Taniec w tunelu

— Miłoście do mnie szybko wywietrzała ci z głowy! Słuchaj, może mi dzisiaj powiesz, kiedy mnie po raz pierwszy zdradziłeś? Znowu koniak zjawił się na stoliku.

— Twoje zdrowie! — uniósł w górę kieliszek.

— I twoje! Ale nie zagaduj! Postawiłam ci konkretne pytanie. Czy to była ta Zosia, archiwistka? Nakryłam ci kiedyś, jak wracałeś z nią z kina. Czuła, a jakże, pod rączkę, coś jej szeptałaś do ucha.

— Daj spokój! Wyciągasz stare historie. Czy ci nie wszystko jedno?

— Może zwykła babska ciekawość? Nie bój się, już się nie rozkrocham!

Grabowski zapalił papierosa.

— Wiesz, ja dzisiaj nie mogę sobie nawet przypomnieć twarzy tej archiwistki...

— Ale nogi jej to na pewno pamiętasz! Zgrabne były, owszem. Śmieszny jesteś z tym ciągłym udawaniem. To ona wydzwaniła do domu, a kiedy ja się zgłosiłam, pytała o bank, szkołę lub też po prostu odkładała słuchawkę. Ja już dobrze poznałam głos tej lafiryndy!

— Pomyłki się zdarzają!

— Pomyłki!!! Spałeś z nią? No powiedz, spałeś?

— Zachowujesz się, jakbyś mnie przesiłuchiwała. Nie gniewaj się, ale coś ci powiem. Popelniasz te same błędy, co kiedyś. Niczego się w życiu nie nauczyłaś. I czynisz to w stosunku do, bądźmy szczerzy, zupełnie już obcego człowieka.

— Obcego? Niezupełnie. Mam syna. A jeśli już chcesz znać całą prawdę, to ja, rozumiesz — ja Jurka rzuciłam!

— Może uprzedziłaś to, co i tak miało nastąpić?

— Słuchaj, a ciebie nie wypytuję, jak urządziłeś sobie życie z tą twoją Zuzią!

— Jeśli już chodzi o ścisłość, to ona ma na imię Krystyna.

— Dla mnie one wszystkie to zuzie, zuzie przez male zet, rozumiesz? Gdyby cię nie określała wokół palca, nigdy byś ode mnie nie odszedł! Nigdy, słyszysz? I jaki ona ma zawód? Geolog. Kamycki przebiega. Psu na budę jest to komus potrzebne.

— Zawód jak każdy inny. Istnieje przecież na świecie podział pracy. Ale ona teraz nie pracuje.

— Wiadomo. Nie chcesz jej przemęczać. Ale ja to musiałam harować!

— Gdybyś nie musiała, to też byś pracowała. Nigdy specjalnie nie lubiłaś gotować. Może nie umiałaś. To żarcie w restauracjach bokiem mi wyszło.

— Teraz masz, czego chciałaś. Kuchnię domową!

— Słuchaj, Elżbieta, nasze dzisiejsze spotkanie — traci wszelki sens. Po co właściwie chciałaś się ze mną spotkać? Mówisz o wszystkim, tylko nie o tym, co najważniejsze.

— Ale ja nie mogę powiedzieć, aby własne dziecko zbyt cię interesowało!

— Pieniądże wysyłam regularnie. I wcale nie takie znowu małe. Kilka razy proponowałam ci, aby wakacje spędził ze mną. Nie zgodziłaś się.

Grabowski spojrzał na zegarek. Wiedział, że to spotkanie do niczego nie doprowadzi.

— Spieszysz się?

— Za pół godziny mam pociąg. Samochód w naprawie — dodał, jakby chciał się usprawiedliwić. Ona znowu natarła:

— Który już z rządu? Kiedyś jeździłeś rowerem i ci wystarczyło. Tyjesz, bo jeździsz, a nie chodzisz. Nigdy nie sądziłam, że kiedykolwiek będziesz prowadzić samochód.

— Mało mnie znałaś.

— Wystarczająco. Nasze małżeństwo od początku do końca było jedną wielką pomyłką.

— Masz rację. Przede wszystkim z mojej strony... Elżbieta — zmienił ton — czy ty się zawsze musisz ze mną kłócić? Nawet teraz, po ośmiu latach?

— Nie... — Poglaskała go po ręce. Było to tak nieoczekiwane, że cofnął ją gwałtownie.

— Coś ty? — wykrztusił.

— Nic... Masz takie delikatne palce. Naprawdę musisz zaraz jechać?

— A bo co?

— Chciałam cię zaprosić na obiad. Do tej willi. Przekonasz się, że jednak umiem gotować — dodała zalotnie. — Chyba, że twoja Zuzia dała ci określony limit czasu...

— Nie ma jej teraz, pojechała do matki.

— Naszego syna też nie ma.

— Jak to nie ma? Powinien być przecież w szkole.

— Dziś jest w szkole jakaś konferencja pedagogiczna i zrobili im wolne. Pojechał na wies do kolegi.

— Akurat dzisiaj musiał wyjechać? Dzisiaj, kiedy ja tu jestem?

— Jeśli też trzeba załatwić rabanek. Mam na święta pozostać o suchym pysku? — Podparła dłonią głowę, namiętnie się wyzywając, a potem wyjęła z torebki szminkę i lusterko, zagryzła wargi i pocłagnęła tą szminką po ustach. — Słuchaj — ściszyła głos — ani przez chwilę, ale powiedz szczerze nie żalowałś, że stało się tak, jak się stało? Przecież moglibyśmy dzisiaj być tacy szczęśliwi, zasobni, ustabilizowani... Nie byś się nie stało, gdybyś stąd dojeżdżał do pracy. Może nawet mercedesem...

— Przed chwilą orzekłaś, że nasze małżeństwo...

— To ty orzekłaś! Myślałam, że lepiej znasz kobiety. Ciągłe jesteś wielkim dzieckiem. Starym dzieckiem. Wcale się nie zmieniłeś, chociaż zjechałeś całą Europę. Więc co? Pojdziemy do mnie?

Grabowski skinął ręką na kelnerkę.

— Jeśli tak nalegasz... — powiedział, jakby próbował usprawiedliwić się sam przed sobą.

Willi mieściła się na drugim końcu miasteczka. Podjechali do niej taksówką.

Oprowadzała go po swym gospodarstwie z widoczną satysfakcją. Obejrzał wszystkie pokoje, te na dole i na górze, zaprowadziła go również do piwnicy, gdzie znajdował się gustownie urządzony barek. Zaprosiła, aby usiadł na wysokim stoliku, sama zaś zajęła miejsce po drugiej stronie ławy.

— Czym mogę panu służyć? — zapytała żartobliwie, ale i zalotnie. — Wódka, koniaczek? A może wino? Mam kilka gatunków. Koniaczku zresztą też. Osobiście radziłabym napoleona. A może woli pan pliske.

— Prosiłbym o kieliszek czystej — dostosował się do sytuacji.

— Może być setka.

— Po setce nie podaje. Proszę, oto dwie pięćdziesiątki!

Wypił jednym tchem, przyjemne ciepło rozeszło się po ciele. Piwnica była wprawdzie ogrzewana, ale wszystko tu było zbyt świeże...

— Elżbieta — Grabowski już się znudził tą zabawą — dość tych wyglupów. Po starej znajomości muszę ci się przyznać, że jestem piekielnie głodny. Nie zdążyłem sobie rano zrobić śniadania. Przygotuj coś, a ja w tym czasie, jeśli pozwolisz, obejrzę lepiej pokój Wojtka. Zobaczę, co budzi jego największe zainteresowanie.

Pošla do kuchni, a on wdrapał się na pięterko. Pokój syna urządzony był podobnie, jak pokoje chłopców w jego wieku. Na ścianach wisiały plakaty z popularnymi zespołami. Zajrzał do biblioteczki, przeważały książki o tematyce sportowej i wojennej. W pewnym momencie fala ciepła uderzyła mu do głowy. W samym rogu biblioteczki, za szkiełkiem, zobaczył swoje zdjęcie wycięte z gazety. Stał w towarzystwie dwóch dziennikarzy z NRD, którzy przed kilkoma laty odwiedzili redakcję, a on służył im za tłumacza.

Album z fotografiami zwrócił jego specjalną uwagę. Zdjęcia syna uszeregowane były latami. Pierwsze i kilkanaście następnych robił sam, sam je również wywoływał i powiększał, odpowiednio zdjęcia kadrując.

Wojtek na sankach... A oto zdjęcie ze chrztu Wojtka. Nie był na tej uroczystości. Miał swoje zasady, których nie chciał łamać. Pracował wówczas jako instruktor w Komitecie Powiatowym partii, ale przecież nie obawiał się, że spotkają go ze strony sekretarza jakieś cierpkie uwagi w rodzaju takich, że siedzi na dwóch stolikach, albo że ma zachwiany kregosłup ideologiczny. Po prostu uważał, że zaprzeczyłby sam sobie, gdyby przyszedł wówczas do kościoła. Z drugiej jednak strony nie przeciwstawiał się Elżbiecie, a zwłaszcza jej rodzicom, kiedy zadecydowali, że chrzest się odbędzie. Oni z kolei obiecali, że nie będą robić wyśwatnego przyjęcia i zapraszać wszystkich znajomych. Tak więc i chrzest, i to, co po chrzcie odbyło się w bardzo kameralnej atmosferze. Kiedy wrócił wieczorem z terenu, a obsługiwał bardzo burzliwe zebranie, zdążył jeszcze posiedzieć chwilę z rodzicami chrzestnymi, ale kiedy ci zarzucili mu toczność, trzasnął drzwiami i wyszedł, by wrócić, kiedy ich już nie było.

Zdjęć z późniejszego okresu nie znalazł. Nie znał tych wszystkich, które zostały zrobione po jego odejściu, akurat trzynastcie lat temu. Przeniesiono go wówczas do Komitetu Wojewódzkiego partii, gdzie również w charakterze instruktora pracował, podejmując jednocześnie zaoczne studia na ekonomii. Wśród najbliższych kolegów znalazł bratnią duszę, absolwenta germanistyki, ten zaczął mu udzielać korepetycji, co było o tyle łatwiejsze, że mieszkali razem w pokoju gościnnym. Grabowski wykazał się dużymi zdolnościami językowymi i po dwóch latach wadał już całkiem niezłą niemieckim.

Brak mieszkania, odległość, rozłąka z rodziną — zrobiły jednak swoje, a kiedy odkrył w sobie kolejny talent — umiejętność pisanja i kiedy przyjeżdżało go do pracy w redakcji z polecenia KW, wówczas urosły mu skrzydła, a Elżbieta stawała się coraz bardziej obca i taka jakaś dziwna. Do tego wszystkiego dołączyła się ta druga i ten drugi. On poznał Krystynę, wówczas jeszcze studentkę, i zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, a kole nie, Elżbieta, zaczął się kłócić miejscowy weterynarz, zresztą kolega szkolny Grabowskiego — Jurek, i tak się ich całe małżeństwo rozpadło w proch i w pył. Ze strony Elżbiety ów Jurek może był tylko narzędziem wzbudzenia zazdrości, Grabowski potraktował to jednak z całą powagą, jako wygodny pretekst i wreszcie finalnie nastąpił w sądzie w atmosferze pełnej kultury i wzajemnego zrozumienia.

W przeciwnieństwie do niego była zawsze niezwykle pазerna na pieniądze. Wysła z wiejskiej biedy i pragnęła dorobić się jak najszybciej, zawsze pracując ponad wszelkie dopuszczalne normy. Kiedy był jeszcze na miejscu, musiał sam sobie organizować jedzenie, ba, niejednokrotnie z synem chodził do stołówki lub do restauracji, bo ona nie miała czasu niczego przygotować. Może i rzeczywiście nie miała?

Zaczęły ich jednak łóżko. Kiedy wyjechał i lepiej poznał inne kobiety, a zwłaszcza Krystynę, którą uczył seksu od podstaw i która zdołała ulepić sobie według własnych wyobrażeń i własnych życzeń, kiedy zorientował się, że ona w całości przyjęła i jego światopogląd, wówczas droga do rozwodu z Elżbietą stała otworem...

— Chodź, już zupa nalana! — usłyszał głos z dołu. — Mówiłeś, że jesteś taki głodny!

Zbiegł szybko po schodach do saloniku. Tak, tak — nie pokoju, ale saloniku ozdobionego obrazami artystów, nawet dość dobrze znanych w województwie, a nawet w kraju. Tu nie było żadnych reprodukcji!

Zbiegł i zaniemówił.

— Gdzie ta zupa? Przecież ty przygotowałaś królewskie przyjęcie!

Na zupę przyszła kolej później. Na razle zjadał się szynka, baleronem, poledwica, sardynkami, świeżymi pomidorami. Pochlaniał wszystko zachłannie, bo dawno już nie widział jednocześnie zgromadzonych na stole tylu specjalów. A ona tylko zachęcała:

— Może jeszcze szyneczki? Może baleroniku? Może ci podać sardyneczki, a może przynieść sprotki? Te ogórki kiszzone robiłam sama, a te grzybki też sama zbierałam i marynowałam.

„Do mężczyzny trafia się przez żołądek” — pomyślał. „Co to wszystko znaczy? Uszczupnię się, może ja śnie? To jest Elżbieta? Kto ją tak wychował? Jurek?”

A ona nagle poderwała się z miejsca:

— Jaką ja jestem roztargniona! — zawołała. — Przecież zupełnie zapomniałam o wódec. Czego chcesz się napić?

— Przestań mnie maltretować! — zawołał.

C.D.N.

Lódzcy magnaci przemysłowi byli w większości pochodzenia niemieckiego. Część z nich, jak Ludwik Geyer czy Karol Scheibler, przybyła z zagranicy. Inni zaś, jak na przykład Juliusz Heinzel, urodzili się już w Łodzi. U schyłku stulecia grupa magnatów przemysłowych zwięźniała się o szereg fabrykantów wywodzących się z narodowości żydowskiej.

Twórców pierwszych fortun fabrykarskich cechował niski poziom wykształcenia. W wielu przypadkach wiedza niezbędna do prowadzenia interesów nabywali oni przez praktykę. Do wyjątków należał Karol Scheibler, który ukończył wyższe studia techniczne w Brukseli. Pierwsi przemysłowcy łódzcy, zwłaszcza wywodzący się z imigracji, słabo mówili po polsku. Inaczej było z wykształconym następnym pokoleniem. Synowie wielkich fabrykantów udawali się na studia do wielu uczelni europejskich. Pobierali nauki w Berlinie, Dorpacie, Rydze, rzadziej w Petersburgu. Wrócili do Łodzi z dyplomami inżynierów i doktorów, ażeby po swoich ojczyznach przejąć ster rządów w zakładach przemysłowych.

Wzrost przemysłowców łódzcy dla podkreślenia swego znaczenia w mieście budowali wspaniałe pałace, nawiązujące często włoskie budowle renesansowe. Były to rezydencje na wzór magnackich, o bogato zdobionych wnętrzach, przeznaczone dla właścicieli i jego rodziny oraz licznej służby. Przy tych pałacach znajdowały się zazwyczaj ładnie zaprojektowane ogrody z oranżeriami i fontannami. W sąsiedztwie każdego pałacu stały budynki gospodarcze: stajnie, wozownie itp.

Własny powóz w tamtych czasach wznaczał w jakiejś mierze pozycję społeczną jego posiadacza. Zamożni przemysłowcy trzymali więc w stajniach po kilka par koni, a w wozowniach stały różne ekwipy, począwszy od lekkich powozków, przeznaczonych

Obyczaje łódzkiej magnaterii przemysłowej

do codziennego użytku, bez których w mieście nie posiadającym komunikacji publicznej trudno było się obywać, aż po wspaniałe karety przeznaczone do wyjazdów na bale, do teatru itp. Utrzymanie całego inwentarza wiązało się oczywiście ze znacznymi wydatkami.

Magnateria przemysłowa Łodzi dążyła także do nabywania dóbr ziemskich. Posiadanie ziemi upodabniało ją bowiem do szlachty i uprawniało do pełnienia niektórych urzędów i funkcji, zastrzeżonych wyłącznie dla właścicieli ziemi. Nabywanie majątków ziemskich zapoczątkował Ludwik Geyer, który kupił od rządu wieś podłódzką Rudę i Gadkę. Karol Scheibler stał się posiadaczem lasów łaznowskich, Juliusz Heinzel wykupił folwark w Łagiewnikach i Radogoszczu, zaś Ludwik Meyer nabył majątność Brus. Właścicielami znacznych dóbr ziemskich w okolicy Działowa zostali Karol Eisert.

Posiadanie majątków ziemskich było tylko jednym ze środków zbliżenia się łódzkiej magnaterii przemysłowej do ziemianstwa. Celowi temu służyły także inne sposoby, jak współpraca gospodarcza z posiadaczami ziemi, zabiegi o uzyskanie szlachectwa, honorowe wyróżnienia za osiągnięte wyniki produkcyjne. Wśród przemysłowców łódzkich utrwalili się bowiem poglądy, że wyróżnienia z tytułu zasług gospodarczych są równoznaczne z nadaniem szlachectwa. Np. Ludwik Geyer po uzyskaniu orderu św. Stanisława pochodzenie swe określał jako szlacheckie.

Arystokratyczne skłonności zaznaczyły się szczególnie w rodzinie Heinzelów. Za namową synów Juliusz Heinzel nabył dobra ziemskie Hohenfels w księstwie sasko-koburskim, do których przywiązany był dziedziczny tytuł barona. Na tej podstawie łódzcy Heinzelowie stali się baronami. W podobny sposób kupił sobie baronostwo Ludwik Meyer.

Magnateria przemysłowa chętnie gościła w swoich pałacach wyśokich dygnitarzy carskich, a później, gdy przyszła na to moda, również inteligencję twórczą. W pałacu Heinzelów przy ul. Piotrkowskiej 164 gościł generał-gubernator warszawski Józef Hurko. Natomiast Anna Scheiblerowa, wdowa po założycielu zakładów, w swoim pałacu przy Wodnym Rynku (plac Zwycięstwa) podejmowała uroczystości H. Sienkiewicza i H. Sienkiewiczów, przybyłych do Łodzi na otwarcie Teatru Wielkiego.

Panie ze środowiska magnaterii przemysłowej naśladowały tryb życia, mody i upodobania dam ze sfery arystokratycznej. Natomiast ich mężowie, żyjąc po pańsku, trudnili się poza nieelitycznymi wyjątkami prowadzeniem swoich przedsiębiorstw. Wiele z tych ludzi zajmowało się także pracą społeczną; niektórzy uprawiali mecenat naukowy lub artystyczny.

Znaczne sumy na takie cele społeczne jak budowa kościołów, szpitali, przytułków, szkół i ochronek, lożyła rodzina Scheiblerów. Na wspomniane cele nie żalowali grosza Heinzelowie, Geyerowie i inni przemysłowcy. Filantropia na rzecz ludności żydowskiej zajmowali się małżonkowie I. i L. Poznańscy. W licznych w Łodzi stowarzyszeniach dobroczynnych stanowiska prezesa i członków zarządu obsadzał głównie znaczniejsi przemysłowcy, zwłaszcza ci, którzy najbardziej zasilali fundusze wspomnianych stowarzyszeń.

W mniejszej mierze odczuwało się wpływy magnaterii przemysłowej na życie kulturalne Łodzi. Działanie tych ludzi na rzecz kultury ujawniało się głównie w formie materialnego wsparcia takich dziedzin kultury jak prasa, teatr, plastyka. Rodzina Scheiblerów subsydiowała niektóre gazety łódzkie, zarówno polskie jak i niemieckie, pokrywała też parokrotnie niedobory finansowe miejscowego teatru polskiego. W skład zarządu Polskiego Towarzystwa Teatralnego w Łodzi wchodził znany przemysłowiec: Emil Geyer, Maurycy Poznański, Stanisław Silberstein.

W porze letniej arystokracja przemysłowa porzucała swe zajęcia, wyjeżdżając do znanych zagranicznych miejscowości uzdrowiskowych i kąpielowych „dla poratowania zdrowia”. Wyjazdy do wód częściej służyły celom rozrywkowym niż wypoczynkowi i kuracji. Niektórzy przemysłowcy przenosili się na całe lato wraz z rodzinami do własnych majątków ziemskich.

Ważniejsze wydarzenia rodzinne — śluby, chrzciny, pogrzeby — celebrowane były wśród wielkich przemysłowców bardzo uroczysto. Nie skąpił oni pieniędzy na odpowiednią oprawę tego rodzaju wydarzeń. Szerokiego rozgłosu nabrały zaślubiny młodego Scheiblera z Grohmanówną. W związku z wysokimi kosztami przyjęcia weselnego prasa warszawska zarzucała rodzinie Scheiblerów zbytnią rozrzutność.

Z dużą okazałością odbywały się również pogrzeby magnatów przemysłowych. W uroczystościach pogrzebowych uczestniczyć brały udział wielkie rzesze mieszkańców Łodzi. Po śmierci Karola Scheiblera, założyciela firmy, miasto przybrało żałobny wystrój. Na trasie przemarszu konduktu pogrzebowego wstrzymano ruch pojazdów. Wzdłuż całej drogi płonęły latarnie gazowe przystosowane do jazdy. W konduktie uczestniczyli urzędnicy i robotnicy zakładów Scheiblerowskich, przedstawiciele wielu stowarzyszeń i instytucji. Orkiestry grały marsze żałobne. Za kilometrowym orszakiem pogrzebowym podążał sznur powozów. Porządek na trasie pogrzebu utrzymywały członkowie straży ogniowej. Podobnie okazały przebieg miały uroczystości pogrzebowe po śmierci Izraela K. Poznańskiego.

Ranżem magnata przemysłowego określał nie tylko wygląd jego pałacu, ale i L. grobowca rodzinnego. Skromne nagrobki niektórych pionierów przemysłu łódzkiego tłumacza się zapewne brakiem u potomnych poczucia znaczenia ich w miejscowym społeczeństwie. Przypadek tego może być uoboczna mogiła Ludwika Geyera. Następne pokolenia były już troskliwsze o pamięć dla swych zmarłych. Grobowiec rodzinny stał się dla nich symbolem stabilizacji pozycji społecznej. Im wyższa była ranga rodu fabrykarskiego w społeczeństwie, tym okazałszy musiał być grobowiec. Zasada ta potwierdza wspaniałe kaplice grobowe Scheiblerów i Heinzelów na Starym Cmentarzu przy ul. Ogrodowej, zaś na Cmentarzu Żydowskim na Dołach — mauzoleum rodziny Poznańskich.

WACŁAW PAWLAK

1 Opowieści wschodnie

To się mogło wydarzyć tylko w Perszeronii

Po mojej ostatniej opowieści, traktującej o końskim amoku mieszkańców Perszeronii, oddających się z szaleńczym zapamiętaniem grze w „listę” zatelefono- wał do redakcji pewien oburzony czytelnik. Miał mi za złe, że obraziłem miliony uczel- nych ludzi, grających w nie- winną grę. Przy okazji wspo- mniał, że gra nie była opisana w „Lilavati”, a „Matematyce na wesoło” Jakuba Perełmiana. Wreszcie dodał, że nie wierzy w istnienie Perszeronii. Wymyśliłem ją — twierdził — żeby bezkarnie natrząsać się z Polski i Polaków, co jest tym bardziej karygodne iż jestem cudzoziemcem, korzystającym z gościnności polskiej.

Odpowiem na zarzuty po ko- lei. Otóż nie obraziłem „żad- nych uczelnych ludzi”, tylko nieuczciwych i głupich Persze- ronczyków. Nie wiedziałem, że w Polsce również gra się w „listę” — dowiedziałem się o tym (ze zdziwieniem!) z felie- tonu Lucjana Bogusza, zamiesz- czonego w tym samym nume- rze „Odgłosów”. Myślę, że z tej przypadkowej zbiczności dwóch tekstów nasładowujących ze sobą na jednej kolumnie pisma zrodzi- ło się podejrzenie czytelnika, że zamierzam moim było o- brażanie uczelnych ludzi. Sko- ro już jesteśmy przy uczelniczo- ci, czy aby na pewno grać w listę zaskądnią na miłośno uc- zelniczych? Mam wątpliwości.

Gra w „listę” być może nie była opisana w „Lilavati” ty- lko w „Matematyce na wesoło”. Obydwu tych książek nie mam pod ręką — nie ten wiek, pa- miętam je z dzieciństwa, a mo- je egzemplarze (jeśli istnieją) zdołał półka jakiegoś małego- ła z kolejnego pokolenia. Wy- cofuję się zatem bez sprawa- dzania — skoro czytelnik twier- dzi, że opis gry był u Pereł- miana, to widocznie sprawdził. Co do istnienia Perszeronii — cóż, mogę tylko przypuścić, że Perszeronia istnieje, że byłem w tym pięknym kraju wiele- kroć, że mam tam przyjaciół. Leży wprawdzie dość daleko, za Bajdocią i Tłuturistanem, w niedalekim sąsiedztwie wysp archipelagu Hula-Gula. A jakoś nie słyszałem, żeby ktoś po- wątpiewał w istnienie wysp Hula-Gula?

Zdarza się — rzeczywiście, przynajmniej — że różne dziw- ne rzeczy z dalekiej przeszłości a czasem i z teraźniejszości, które wydarzyły się lub wyda- rzą w Perszeronii, dziwnie przypominają fakty i zdarzenia w Polsce lub nawet w Łodzi... no cóż, to nie wina Perszeroni- czyków ani, tym bardziej, mo- je.

Tyle wstępnych — przynaj- ąc, że przydługich, wyjaśnień. Te- raz kolejna opowieść. Myślę, że zupełnie niepodobna do istnie- ących wydarzeń w Polsce. To się mogło wydarzyć tylko w Perszeronii.

Otóż była w stolicy Persze- ronii, (która wcale nie nazywa- ła się „Końskowola” ani „Koń- skie”), jak chcieliby niektórzy złośliwcy, tylko nosiła kiedyś dumną nazwę EQUITANIA, a obecnie nazywa się bardziej no- wocześnie HORSTOWN), otóż była w stolicy stara, piękna stajnia. Trochę zniszczona i staroświecka, dawno przestała służyć jako rezydencja dostoj- ników perszeronczyków. Pewien pomyślny, prężny ogier przy- współdzielał paru mądrym wielbicielom wymyślił, aby uło- kować w niej przybytek ma- drych rozrywek — nie wyści- gów, ale spektakli, wystaw, koncertów itp.

Wydział Ceremonii i Wido- wisk trochę się opierał, ale mądry regent dał pozwolenie i dotacje i tak powstała Wielka Stajnia Rozrywkowa, a pomy- ślny ogier dostał nawet nomi- nację na Wielkiego Stajen- nego Rozrywkowego.

Tłumy waliły do Wielkiej Stajni, Wielki Stajenny tryskał pomysłami, wymyślał bale i pokazy, gromadził pamiatki sław- ły i kunszty Perszeronczyków. Powoli Wielka Stajnia Rozryw- kowa stawała się znów jednym

z najważniejszych gmachów stolicy. Bywał w niej regent i członkowie Rady, odbywały się ceremonie i uroczystości.

I to właśnie zgubiło pomy- ślnego Wielkiego Stajennego. Wydział Ceremonii i Wido- wisk doszedł do wniosku, że urząd Wielkiego Stajennego Rozryw- kowego trzeba zlikwidować, kierownictwo Wielką Stajnią (już bez przymiotnika „Rozryw- kowa”) powierzyć komuś god- nemu, szacownemu, zbliżonemu do kręgów dworskich.

Wesoły ogier, Wielki Stajen- ny z duszą artysty, poszedł w odставку. Regent, na wniosek Wydziału Ceremonii i Wido- wisk mianował nowego szefa — był to stary, dworski wyjadacz. Na ceremoniach znał się lepiej niż na widowiskach i rozrywce, toteż nadano mu godność Wie- lkiego Stajennego Ceremonii Państwowych.

Dziś gmach Wielkiej Stajni świecił pustkami, laża po ścia- nach wielkie, końskie muchy... Czasem tylko, z okazji jakiegoś jubileuszu czy innej ceremonii otwierają się podwoje Wielkiej Stajni.

Wielki Stajenny Ceremonii Państwowych się nudził. Dla rozrywki, czasami, urządza kon- trole, kontrola i biurokracycz- ny porządek czy innej hobby, jeśli można tak powiedzieć o koniu...

Mam nadzieję, że ta opo- wieść uradowała mego kry- tycznego czytelnika. Opowieść powyższa nie a nic nie przypo- mina niczego, co mogłoby zda- rzyć się w Polsce. To się mo- gło zdarzyć tylko w Perszeronii...

BEN GRUNDIK

2 Nagle zastępstwo Dwie prawdy

Przebrzmiał już dawno szum, jakiego narobił film Claude Lanzmanna „Shoah” — gigan- tyczny, blisko dziesięciogodzin- ny film dokumentalny o zagła- dzie Żydów w czasie II wojny światowej. Nasi przedstawiciele dyplomatyczni w Paryżu pro- testowali po premierze filmu przeciwko zawartym w nim akcentom antypolskim, nasza prasa głośno ten protest popie- rała. Sam autor udzielał wy- wiałów, z których jasno wy- nikło, że ma do naszego narodu stosunek wrogi, że uwiarył w prohitlerowską brednię o u- dziale Polaków w ekstermina- cji ich współobywateli.

Wreszcie sprowadzono film. „Cieszył się” niespodziewanie niską frekwencją, nie wywołał kolejnej fali dyskusji. Tro- chę szkoda, bo — jak sądzę — obejrzenie fil- mu mogłoby rozładować emocje. Film albowiem nie jest antypolski, raczej — jeśli już szukać w nim jakiegos oskarże- nia — to skierowane jest ku rzą- dom europejskim (zwłaszcza przeciw władzom brytyjskim!), a w znacznie mniejszym stop- niu przeciw narodom. Sekwen- cja polska jest — rzeczywiście — nieco manipulatorska, ale jest także równoważna wypo- wiedzią byłego łącznika AK z rządem londyńskim, prof. Ja- na Karskiego. Jego wstrząsają- cy opis getta warszawskiego i głębokie wzruszenie towarzy- szące tym strasznym wspomnie- niom może być uznane za reak- cję typową i typowy stosunek ówczesnej polskiej inteligencji do tragedii Żydów.

Na marginesie: film jest do- brze zrobiony, Lanzmann de- monstruje świetny warsztat dziennikarski — filmowca i aż dziw bierze, że na projekcji widziałem tylko jednego dzien- nikarza. Był to publicysta „Dziennika Łódzkiego”. Koledzy z TV jakoś nie znaleźli czasu...

Największe wrażenie zrobiła na mnie końcowa sekwencja fil- mu: Lanzmann umieścił kame- re w muzeum, poświęconym Powstaniu w Getcie Warszaw- skim. Muzeum to istnieje w Izraelu, w kibucu kombatan- tów. Uczestnik walk, Simha Rotem, na tle zdjęć z wojny i makiet getta opo- wiada o jego tragedii. Mówi po hebrajsku, z trudem przy- chodzi mu wymowa polskich słów (pseudonimów, nazw war- szawskich ulic). Opowiada o Polakach, którzy pod murami getta czekali na Żydów, aby

wydać ich Niemcom. Opowiada, jak cudem uratował się przed nimi... Opowiada wreszcie, jak musiał terrorizować brońą przydzielonych mu Polaków, pracowników kanalizacji, aby przeprowadził go kanałami na powrót do dopalającego się getta.

Opowiadanie Simhy Rotema robi ogromne wrażenie i wy- wolało różne refleksje. Na przykład taką, że miał ten dzielny człowiek prawdziwego pecha, że za murami getta nat- knął się akurat na szmalcow- ników... że trzeba mieć pecha, aby trafić akurat na tchórzli- wych żołnierzy podziemni, (bo chyba z AK lub AL byli dwaj pracownicy kanalizacji?) A że zapomniał języka polskiego... no cóż, tyle lat. Zresztą, może nie znał go nigdy dobrze, nie postugiwał się nim?

Film oglądałem ósmego kwietnia. A — ku swemu zdum- ieniu — dwudziestego drugie- go kwietnia zobaczyłem pana Simhę Rotema w głównym wy- daniu DTV o godzinie 19.30!

Pan Rotem bawił w Warsza- wie z okazji 43 rocznicy po- wstania w getcie. I udzielił telewizji naszej wywiadu... Mówił płynną polszczyzną, z o- ogromnym uznaniem wyrażał się o Polakach, którzy zapiekowa- li się nim po wyjściu z getta, dzięki którym przeżył!

Kiedy kłamię pan Simha Ro- tem? Kiedy opowiada Claude Lanzmannowi o wiede- nskich Polakach, czy kiedy opo- wiada TVP o wspaniałych Po- lakach?

A może nie kłamię wcale? Przecież jedna opowieść — przynajmniej w sferze fakto- graficznej — nie przeczy dru- giej, mogło się przydarzyć i to i to, i pomoc, i opieka, i próba denuncjacji?

Więc mogą być dwie praw- dy. „Piknie ale nie barzo”, jak mawiają górale. Bo jak w tym świetle wygląda pan Simha Rotem? Co najmniej dwuzna- cznie. Okazuje się być handla- rzem prawdą, który oferuje ta- ki towar, jakiego życzy sobie klient!

— Panie Lanzmann, proszę bardzo, mam dla pana świetny kawałek o polskich antysemit- ach i żydożercach!

— Telewizja Polska? Proszę bardzo, dla panów też się coś znajdzie! Mam oto opowieść o tym, jak z narażeniem życia u- ratowała mnie Polka, jak wy- robiono mi aryjskie papiery, jak przeżyłem dzięki odważ- nym, szlachetnym Polakom!

Zostawmy zresztą pana Ro- terna. Handluje on nie tylko prawdą, handluje tym co naj- świętsze, handluje Pamięcią Narodową. Pamięcią swego i naszego narodu...

Wróćmy do dwóch prawd i filmu Lanzmanna. Cały jest montażem wywiadów. Mówią — najczęściej — uczestnicy tra- gicznych wydarzeń i ich bez- silni obserwatorzy. Lanzmann po mistrzowsku nimi steruje. Daje pomilczeć, pozwala się wyplakać. Wywołuje emocje, prowokuje je. I uzyskuje efek- ty. Z wielu prawd widzę wybi- ła te, którą Lanzmann nar- zuca.

Naprawdę szkoda, że nie o- glądali tego filmu reporterzy łódzkiej TV. Chyba zresztą ich koledzy z centrali także nie. Gdyby widzieli, nie byłoby — jak sądzę — wywiadu z Simhą Rotemem w dzienniku telew- izyjnym...

ANDRZEJ KAROL

3 Sport

Wiosenne osłabienie

Wiosnę tego roku mamy zmienną. Już wydawało się, że będzie ciepło, gdy powiało mroźnym wiatrem i śnieg zaczął przylatywać. Teraz znów nastały prawie upały, ale w telewizorze przestrzegają, że jeszcze może być zimno. A po- za tym nie tylko w kolo opo- wiada o wiosennym osłabie- niu, przesileniu i różne inne takie rzeczy. Rozglądam się więc wokół i widzę, że to święta prawda.

Oto nasi wspaniali hokeiści dostali takiego wiosennego przesilenia, że kto chciał i

ich jak mógł i nie mógł. Przy- kro było patrzeć, słuchać i czytać. Czytaliśmy kiedyś, że politycy, gdy nie chcieli się z kimś spotkać, to zapadali na „chorobę dyplomatyczną”. Sie- dział taki polityk w domu, pił sobie kawę i likier, albo na- wet koniak, czytał gazety, słu- chał radia, grał w karty ze swoim sekretarzem i udawał, że jest ciężko chory. Do spo- tkania nie dochodziło i polityk wychodził na swoje. Mogł tren- ner naszych dzielnych hokei- stów też zastosować taki ma- neवर. Ogłosić, że drużyna przechodzi silne wiosenne osła- bienie i teży w łóżku w hote- lu. Na takie wyjście nie może, bo — wiadomo — tafia z lo- du, więc się okłopywa na takim zimnie przebiega, jakieś in- fluency się nabawia i jak wro- ci do kraju, to trener jako odpowiedzialny za nich może mieć spore kłopoty. A tak be- dział miał spokój. Nasi wspani- alii hokeiści nie pokazali swia- tu jak fatalnie grają, wstydu nikt się nie naje i wszyscy będą udawali, że jest fajno.

Nie wiem, co sadi o tym Antoni Plechniczek, ale ja ba- łajam się o naszych wspania- lych piłkarzy. A to dlatego, że coś mi się wydaje, że ich też ogarnęło wiosenne osłabienie. Nie wszystkich na szczęście. Wiosna jakby Zabrze omijała. Mają tam chyba silny smog, więc dymy i pyły utrudniają nadejście wiosny, a wraz z nią osłabienia. Tylko Górnik Za- brze jakoś dotrwał do końca w dobrej formie. Innych ogar- nęło globalne wiosenne oklap- niecie.

W Warszawie, gdy Widzew przegrywał z Legią 3:0 kibice Legii krzykali: — „Na kolan- ą!”. Zaraz później spotkał ich dokładne taki sam los w Po- znańsku, gdzie przegrali też 3:0 i usłyszeli ten sam okrzyk: — „Na kolaną!”. A Dariusz Dzie- kanowski okrzykami przez nie- których sprawozdawców dypla- matów PZPN i rzeczniczką PZPN — jakby nie było Ed- warda Mikulajczyka — zapo- wiadał, że „Legia idzie na mi- strza”. Ale Legie opowiadała wiosenna niemoc. Podobnie zresztą jak i Widzew.

Jeszcze parę tygodni temu wydawało się, że Widzew jak nie sięgnie po mistrzowski tytuł, to się zadowoli wice- mistrzowskim tytułem. Zado- woli się trzecim miejscem, które jest promiennie udziałem w rozgrywkach Pucharu UEFA, ale bałabym się powa- żnie o te rozgrywki. Z obecna forma Widzewa i składem dru- żyny można sobie urządzić wieczory wspomnień. Powo- minać, jak to niegdyś bywało i kiwać głową nad mądrością starożytnych, którzy mówili, że po latach tłustych musowo przychodzą lata chude. Być może nie zawsze musi aku- rat być siedem tych lat, może uda się je skrócić, ale nie nie- zmienia faktu, że nadchodzi. I właśnie dla Widzewa nadzieja. Oby do tego wiosenne osłabie- nie nie utrzymywało się zbyt długo. Medycyna zna chronicz- ne stany chorobowe.

Czy na koniec ligowych roz- grywek zdarzyły się jakieś cuda? PZPN, aby tak się nie sta- ło, uruchomił „brygady tygr- ызy”, które miały dziaczkiem patrzeć na ręce, a piłkarzom na nogi. Czy coś zobaczyli? Janusz Haniderk w krakowskim „Tempie” uważa, że to dżemu- ny trud. Nawet nakaz dla sęd- ziów rozpoczęcia meczów o- statnich kolejek o godzinie 16.00, a drugiej połowy o 17.00 nie jest zbyt realny, bo jak działać zechcą, to zawsze coś wymyślą, a piłkarze też mo- gą opóźnić wyjście z szatni i siedzia może tylko napisać o tym w protokole. A telekomu- nikacja, choć nie najbardziej idealna, to się przecież rozwi- ja i mamy już — chwała Bogu — sieć połączeń automatycz- nych. A jak się kogoś nie zia- pie za rękę, to i udowodnić trudno. Zresztą „brygady tygr- ызy” też może ogarnąć wio- senne osłabienie.

Wiosenne osłabienie ogarnęło działaczy Zagłębia Lubin. Za- kazali oni wstępu red. Darius- zowi Mikulowskiemu z krakowskie- go „Tempa”, bo się o nich kry- tycznie wyrażał. Jest to jawna naruszenie „Praw prasowego”, ale cóż to znaczy dla wspani- ących działaczy ogarnie- tych na dodatek wiosenną nie- mocą. Nawet pomoc nulić nie pomogła. Dyrektor klubu, Lech Łuczak wydał zakaz... i znik- nał! Red. Dariusz Mikus nie wszedł na boisko. O! cieka- wostka!

Jedyna nadzieja w kolarzach. Ostatnio dużo przebywali za granicą, a tam wiosna dotarła wcześniej i być może wiosen- ne zamroczenie już im prze- szło.

BOGDA MADEJ

ODGŁOSY 15

Wielki las

43

ZBIGNIEW NIENACKI

Zgasła światło, położyła się obok niego na drugim łóżku. Nie słyszał jej oddechu i po jakimś czasie odniósł wrażenie, że jest zupełnie sam. Wtedy doszedł go wreszcie głos lasu za oknem — ponury szum drzew rozkołysanych przedwiosennym nocnym wiatrem. Ten głos zdawał się nieść w sobie jakąś ukrytą melodię, przemawiał to głośnie, to ciszzej a pod powiekami Józefa Maryna pojawiła się skurczona sylwetka Ivo Bundera, potem zaś widział jak Bunder przekraczał jezdnię, odchodził coraz dalej i dalej, aż wreszcie odwrócił się do przyjaciela, aby przyjaźnie pomachać mu ręką na pożegnanie. Sennie zastanawiał się, gdzie i za ile można by kupić jakąś inną przeszłość, jakąś nową pamięć, poznać to, czego nigdy nie poznał — tę miłość wielką, czystą i prawdziwą. Wydawało mu się, że las zmienił ton swojego głosu, przemawiał teraz uspokajająco, a nawet czule, chciał ukłócić go jak dziecko, złagodzić cierpienie. I znowu przyszło się Marynowi, że został przyłączony do wykrywacza kłamstw, elektrody przyssane do jego ciała piją jego krew, a jemu jest dobrze, umiera bez bólu.

Gdy obudził się rano — Weronika w sypialni już nie było. Został ją w kuchni krzątającą się podczas przygotowywania śniadania. Ogolił się, wykąpał, zasiadł do stołu w ubraniu, w którym tu przybył.

Przejdąc się po lesie — oświadczył Weronice. Skłoniła głowę i zasiadła do śniadania. Ona jednak nie jadła, tylko wpatrywała się w niego. Wiedział, że chce mu coś powiedzieć i zbiera słowa. Nie zamierzał jej w tym pomagać, ponieważ nie miał pojęcia o czym pragnęła z nim mówić.

— Chcę wiedzieć, czy zostaniesz tutaj, czy też muszę zbierać swoje rzeczy — odezwała się w końcu.

— Nie wiem ci tego powiedzieć. Sam nie wiem. Byłem bardzo daleko i przeżyłem bardzo wiele. Nie jestem już tym samym człowiekiem, który pojawił się tutaj wiosną. Coś we mnie umarło, a coś ożyło.

— Tak jak i we mnie...

— Nie ma już Horsta — rzekł Maryn.

— To prawda. Nie jest i nie będzie nigdy tak jak dawniej. Ale przecież tu jest twój dom, twój sad, twój pies i twoja klatka. Horst tłumaczył mi, że takiego mężczyznę jak ty można zatrzymać, jeśli da mu się kobietę. Powiedz mi słowo, sprowadzę ci kłerkę z Gaud.

— Nie chcę — rzekł gniewnie. — Już ci to raz mówiłem.

— Horst zamierzał jechać do miasta po piękną kobietę dla ciebie. Po taką, jakiego lubisz. Mogę to zrobić za niego.

— Nie potrzebuję. Chciałem kiedyś przeżyć miłość wielką, czystą i prawdziwą. Ale to były mrzonki. Nie ma takiej miłości, a już na pewno nie mogą jej dać dżiwki.

— Twoja była żona Eryka opowiadała mi, że miałaś w swym życiu setki kobiet. W gruncie rzeczy niczym innym się nie zajmowałaś tylko kobietami.

— Bzdury. Zresztą, to było dawno.

— Masz jakąś kobietę?

— Nie.

— Dlaczego nie wzięłaś mnie tej nocy? Leżałam obok ciebie i czekałam na to. Brzydzisz się mną lub mną gardzisz, bo znasz moją tajemnicę.

— Jesteś piękna i podniecająca. Czy nie przyszło ci na myśl, że nie chciałem ci zadać bólu?

— Wzruszyła ramionami.

— Kobieta jest stworzona do bólu. Ty także powstałaś z bólu twojej matki. Czy mówila ci, jak krzyczała, gdy cię rodziła?

— To co innego.

— A może i ja chcę krzyczeć z takiego bólu? Postanowiłam, że będę miała od ciebie dziecko.

— To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Usunęłaś dziecko.

— Bo zrodziła je nienawist.

— A teraz?

— Nie czuję do ciebie nienawist. Szukałam cię po całym kraju i czekałam tu na ciebie. Chcę mieć od ciebie dziecko. Powstanie z miłości wielkiej, czystej i prawdziwej.

— Wierzę w te głupstwa, które kiedyś mówiłem?

— A ty? Przecież, że po prostu boisz się miłości. Przyzwyczaiłeś się do dżiwki.

— Dowiedz się, że przestałem być mężczyzną. Przeżyłem ciężkie chwile, został ze mnie strzęp człowieka! Mam Herwicę, która nie pozwala mi na to, co powinienem robić mężczyzną. To kiedyś przedzie. Ale teraz zostaw mnie w spokoju.

Odważył się spojrzeć na nią, choć wstydził się swojego wyznania. Spojrzała, ze surową twarzą Weroniki raptiem jak gdyby jaśnieje, uświadcza się na niej wyraz radości. Nigdy nie oglądał jej tak pięknie, z rozchylonymi jak do pocałunku wargami, z oczami, które zdawały się każdym spojrzeniem obejmować go czule.

Złożyła ręce jak do modlitwy, a potem zakryła nimi twarz, żeby nie odgadł z niej wypełniającego ją szczęścia.

— Czy wiesz — zaczęła cicho — że teraz kocham cię sto razy mocniej? Miłością wielką, czystą i prawdziwą. Wydajesz mi się tak bliski, jak gdybyś stał się mną. Tak, to możliwe, że jesteśmy jedną duszą jak mąż i żona. Gdybyś stąd odszedł, zabiliłbyś mnie, albo ja zabiłabym ciebie. Nie bój się mnie. Będziemy razem szczęśliwi, jak nikt inny na świecie. Ty i ja. Ja i ty. Tacy sami. Połączeni miłością, której nie nie potrafi zbrukać.

— To jest chore, Weroniko. A to, co chore nie może dać szczęścia.

— Boisz się miłości — oświadczyła.

Zobaczył, że przez palce, którymi zakrywała twarz, teraz wyciekają łzy. Nie potrafił znieść myśli o bólu, który jej zadał. Zerwał się od stołu, narzucił na siebie kurtkę, wdział futrzaną czapkę. Wyprowadził ze stajni osiadaną kłacz i pojechał w las.

Izabela wata kłacz drobiła kroki, prowadząc go w kierunku bagien Topnik. Chor wcale nie był pewien, że chce jechać w tym kierunku. Właściwie było mu wszystko jedno dokąd się udaje, pragnął tylko, aby spełniło się to, co sobie wymarzył przy barze na lotnisku: zatonać w wielkim lesie, jak w głębokim jeziorze, zatopić w nim swoje myśli i obawy, nieświadomościę pragnienia i poczucie klęski. Na mokradłach Topnika były wysypki, gdzie zdaniem Horsta Soboty kryły się trzy moce szatańskie wielkiego lasu. Ale Sobota już nie żył, umarła też jego nienawist, a Józef Maryn nie czuł niechęci do wielkiego lasu. Nie bał się też jego ogromu, ani nie odczuwał obawy, że las odbierze mu duszę. To przecież nie kto inny jak las właśnie chyba go tak bardzo uraził i uczłowieczył, że nie mógł być więcej tym, za co miał go stary Horst. Może zresztą dla każdego człowieka las stawał się czymś innym, jedynym leczył a innych zarażał bakcylem szaleństwa i zła. Czy Weronika też już stała się szaloną, proponując mu życie męża i żony, którzy mieli stanowić jedną duszę, ale nie jedno ciało? Czy w ogóle bylin takie współistnienie przez tygodnie, miesiące, lata? Kiedyś możliwe było takie współistnienie przez tygodnie, miesiące, lata? Kiedyś Maryn obudził się jako mężczyzna i wówczas, jak stary Horst, ona zaczęła mu sprowadzać dżiwki, aby tylko przy niej pozostał i bronił jej przed wielkim lasem. Kto wie, czy nie zechce go zmusić, aby zadał jej ból i zapłodnił, będzie wówczas miał dziecko, małą kruchą istotę, która już na zawsze zwiąże go z Weroniką. Do jakiego stopnia, po tym co przeżył i przemyślał, zmieniła się jego osobowość? Dlaczego nie powiedział mu tego psychologowie i psychoanalizy z firmy? Czy przestał być samotnikiem, uganiałym się za niebezpieczeństwem, owym wilkołakiem, jak go nazywała Eryka? Naprawdę pragnie opylać drzewa w sadzie, odpoczywać na starym pomoście i wypatrywać ogromnego sumu, a potem siadać do stołu z piękną i silną kobietą, mówić coś do niej i słuchać jej słów, wymieniać spojrzenia i czasami wyrwać się w las na przejażdżkę Izabelową kłacz. Cóż to za przyszłość dla Kristophera Bullowa? A najgorsze, że być może od dawna kochał Weronikę miłością wielką i prawdziwą, być może powiedziała mu prawdę, że takiej miłości boi się najbardziej, ponieważ ona czyni człowieka niewolnikiem. Wydawało się logiczne, że powinien stąd uciec jak najprędzej, zanim ta kobieta nie omoła go swoimi niewidzialnymi siłami, zanim on sam nie odkryje w sobie jakiejś perwersyjnej radości z faktu, że co noc ona będzie obok niego leżała. Oto wspaniałe rozwinięte ciało młodej kobiety o pięknej twarzy, a on nawet nie sięg-

Józef Maryn jest złym człowiekiem i dlatego potrafi zwyciężyć zio lasu. Nie był zły ani wielki las ani Józef Maryn, a nienawist Horsta Soboty stała się zapewne jakąś odmianą miłości. Podobnie i wielki las nie odbierał nikomu ani nie dawał duszy, ponieważ dusza — jeśli ją człowiek posiadał — należała do innego świata.

Zawrócił do domu i w kuchni zastał obcych ludzi. — Nazywam się Kozusznik i jestem tutaj współwłaścicielem tartaku — przedstawił się mężczyzna.

— To mój mąż — powiedziała młoda kobieta, jak gdyby dając do zrozumienia, że owego mężczyznę niewiele się liczy. Ona jest osobą, która przyszła załatwić sprawę.

Mężczyzna był wysoki, nie ogolony i gdy powiedział Marynowi, że prowadzi tartak, od razu skojarzył mu się z ogromną dżiwką, nie okerowaną, pokrytą mchem, na wpół martwą Tooną — ta kobieta — była w tym stadle czymś najważniejszym, owym trakiem, który przykrawał dłuższe wedle własnych życzeń. Miała dość ładną buzię, czarne, długie choć niechlujne włosy. Zniekształcał ją mały wzrost, szczególnie podkreślony przez ogromny zad i wielkie piersi. Ubranie też nosiła dziwaczne, jakieś długie kiecki i katany, jedna na drugiej wedle cebulkowej mody, która do niej zupełnie nie pasowała. Stojąca nieruchomo przy kuchni Weronika, w luźnej spódnicy i haftowanej bluzce z gołymi okrągłymi ramionami i piękną głową osadzoną na długiej szyi, wydawała się przy tej kobiecie jak uosobienie kobiecej urody, a nawet piękności. A przecież też miała szerokie biodra i duże piersi. To może wyższy wzrost nadawał jej lepsze proporcje, nie zniekształcał jak tamta.

Weronika patrzyła na gości niechętnie. Specjalnie chyba stała przy kuchni i garnkach, nie przysiadła do stołu, aby podkreślić, że nie chce im dostrzymywać towarzysztwa, ale wraz z nimi czeka na gospodarza. Kuchnię wypełniał zapach jedzenia, na patelni skwierczały kotlety; tę woń Kozusznik zdawał się wdychać z lubością.

— Przyszedliśmy nie w porę — powiedział. — Państwo mają obiad, a my już jesteśmy po obiedzie. Bo ja już taki jestem, że choćby mi się drugi raz tartak miał palić, to nie ruszę się, dopóki nie napelnę brzucha.

Zona skarciła go spojrzeniem za te głupie słowa, a on zaraz zamknął i już więcej się nie odezwał.

— Przyszedliśmy na krótko i nie będziemy przeszkadzać — zaczęła Kozusznikowa. — Rzecz w tym, że od września będę w tej wiosce pracowała jako nauczycielka. Nie mamy mieszkań, domu. Przybyliśmy tu ze stolicy i trudno nam żyć w wynajętym pokoju. Tartak daje duży dochód i musimy się go trzymać. Maryn sporo pieniędzy, a także własnościowe dwupokojowe mieszkanie w stolicy. Chcemy kupić ten dom i sad, dobrze zapłacimy, a także dorzucimy mieszkanie w stolicy. To chyba dobra propozycja, bo każdy chciałby mieszkać w wielkim mieście.

Maryn już wiedział z kim ma do czynienia. Oto były, jak ich w myślach nazywał, pewne siebie, miejskie chamy, dla których liczyły się tylko pieniądze. I fakt jakiegoś wyższego urodzenia w stolicy. Jeśli już jakaś potężna żywcowa konieczność zmusiła ich do życia na wsi, chcieli mieć najpiękniejszy dom w okolicy. — Zdjął czapkę, rozpiął kurtkę i dostawił sobie taboret do stołu.

— Czy mam rozumieć, że państwo chcą kupić ten dom i ten sad? — zapytał.

— Tak — kiwnęła głową Kozusznikowa. — Pan przecież został podobno właścicielem tej małej posiadłości. Myślę, że zechce pan żyć jak człowiek, kupić sobie samochód, mieszkać w stolicy. Zresztą przedzie czy później te posiadłości przejdą państwu albo lasy państwowe, gdyż mają na nią ogromną ochotę. Z nami sobie nie poradzają, mamy bardzo dobre układy w stolicy.

Maryn wykrzywił twarz tym swoim zawodowym uśmiechem.

— To piękny dom. Ma ganek z kolorowymi szybami. I sad. I stary pomost nad jeziorem, proszę pana...

Kozusznikowa mrugnęła do męża, ten zaś otworzył brzuchatą leżakę, którą trzymał na kolanach. Wyjął obanderolowane paki banknotów i zaczął je układać na stole, paczka obok paczki. Zajęło mu to kilka minut i pokryło jedną trzecią powierzchni stołu kuchennego. Maryn ostro spojrzał na Weronikę, a potem zrobił w jej kierunku ruch głową, który mógł oznaczać tylko jedno: aby wyszła. Ona natychmiast pojęła czego on sobie od niej życzy.

— Będzie tego ze trzy miliony — stwierdził Maryn.

— A tak, proszę pana — dumnie wyprostowała się Kozusznikowa. — Nie każdy, oprócz kasjera w banku, widzi na swoich stole taką ilość pieniędzy.

— To dużo. Faktycznie dużo — pokiwał głową Maryn.

— No więc? — zapytała.

Maryn powiedział po chwili zastanowienia.

— Horst Sobota nie lubił ludzi, którzy mieli coś wspólnego z lasem.

— My las niszczymy. Z drzew robimy deski — zachichotała Kozusznikowa.

— On nienawidził lasu, ale go zarazem kochał. To było jak małżeństwo. Trochę nienawist i trochę miłości.

— Uważano go za wariata — zdecydowanie stwierdziła Kozusznikowa.

Weronika wróciła do kuchni z odrapaną walizką. Otworzyła ją i na kuchennym stole zaczęła układać obanderolowane paki banknotów. Zajęły dwie trzecie stołu, a jeszcze walizka nie była pusta. Kozusznik i Kozusznikowa, jak urzeczeni, patrzyli na tę ogromną ilość pieniędzy. Oni też chyba nie widzieli aż tyle banknotów.

CDN



Rys. Janusz Szymański-Głanc